



WIE ABOINELESKA
GLORJA

WYDAWCA
KRAJOWA KASZA
KRAJOWA KASZA

W WARSZAWIE

WYDAWCA
KRAJOWA KASZA
KRAJOWA KASZA
KRAJOWA KASZA

MICHAŁ ASANKA-JAPOŁŁ

TREMBOWELSKA GLORJA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA,
POPZEDZONA LISTEM
STEFANA ŻEROMSKIEGO

(Z ILUSTRACJAMI TADEUSZA KORPALA)

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



II-45.4M

*List Stefana Żeromskiego
do Michała Asanki-Japołta.*

Szanowny Panie!

Najuprzejmiej dziękuję Szanownemu Panu za nadesłanie mi łaskawie zbioru Jego utworów pod tyt. Uśmiech Sokratesa. Czytałem je z prawdziwą przyjemnością — dzięki zarówno treści, jak formie. Nie jestem krytykiem literackim, to też „oceny” tych utworów wypisywać nie mogę.

Jak zawsze, tak i w tym wypadku, poprzestaję na wyrażeniu osobistego wrażenia, które jest jak najdodatniejsze. Jako dawniej piszący, śmiem wyrazić Szanownemu Panu wyrazy pozdrowienia i życzenia ak najpomyślniejszego rozwoju Jego pisarskiego talentu.

Raz jeszcze dziękując za piękną książkę, która ozdobi mój mały zbiór rzeczy doborowych, łączę wyrazy szczerego szacunku

sluga i brat

S. ŻEROMSKI.

Zakopane, dn. 7 VI 1918.

OD AUTORA.

Chcąc uczcić pamiętny rok 1675 w naszych dziejach, zapisany chlubną obroną tremblowskiego grodu, sięgnęliśmy po szereg studjów, aby zgłębić epokę, ducha czasu, a ująwszy całość w historyczny romans, rozsunąć przed czytelnikami tak bujną kartę historii, w której Trembowla, jedna z przedmurzy Chrześcijaństwa w Polsce, pozostawiła niezatarty ślad, skupiwszy dokoła rycerstwo i zaznaczywszy męstwem, że istotnie zasłużyła sobie na tę pamięć wielką wśród potomnych. W dobie Wolności i Zmartwychwstałej Polski, winniśmy się krzepić tak przemożną przeszłością, aby czynami współczesnych, zrównać się w jednym szeregu z dzielnymi obrońcami Trembowli. A równocześnie dajemy te słów parę, jako zadatek na powieść, na tej kanwie wspomnień, osnutej.

Najciekawszą z krain polskich, jej wschodnie kresy, z historją żywo przypominającą pełne, fantastycznych opowieści kroniki miast włoskich. Z historyj tych niewiele zapisano: w pomroce dziejowej zaginął często fakt wielkiej wagi, pozostała natomiast bogata opowieść ludowa; a wiadomem, iż przechodzące z ust do ust, wytwarza z biegiem czasu legendy, bajeczne podania o założeniu grodów, zamków, o pewnych postaciach, symbolizujących czy męstwo, czy dziejową tragedję, czy charakterystyczny objaw bujnego życia kresowego...

Trembowla sięga bajecznych czasów: nikt nie określi daty, kiedy powstała. Nazwa z rusińska, wskazuje, że wytrzebiono lasy (terebyty-trzebić!), a na ich miejscu założono jeden z najstarszych grodów czerwieńskich.

W zawierusze dziejowej należała to do Polski kolejno, to znów do Rusi. A stąd epopeja wojen, kiedy to gród trembowelski odgrywa rolę naprzemian stolicy, to znów, że niemal niknie ślad jej wielkości, ażeby naraz dochowana kronika opowiedziała o Bartoszu z Trembowli, nowym założycielu grodu...

W czasach napadów tatarskich Trembowla była jednym ze sławetnych: „Antemurale Christianitatis“. Wydała pogromcę dzikich hord, starostę Pretficza, o którym zachował się wiersz:

„Za czasów pana Pretficza, spała od Tatar granica“...

Wielki Stefan Batory (dyplom z roku 1576!) otoczył miasto opieką i byłoby się rozwijało, gdyby nie zajęcie i złupienie Kozaka, Nalewajki (1594 za Zygmunta III). Pomyślny rozwój za czasów Piotra z Ossy, Oźgi, zdawał się wróżyć przyszłość miastu, aliści „trwogi tatarskie“ zapisały się latami szeregu wojen i klęsk. Trembowla, jako obronna twierdza ze swym odbudowanym zamkiem (1631 za starosty, Aleksandra Bałabana) zakwitła tuż przed wojną kozacką, ale po to, ażeby niebawem upaść...

Słynne „laudum“ obywateli grodu związało ich przysięgą do walki z wrogiem — jednak na wieść o klęsce piławieckiej, upadli na duchu, a ocknęli się, aż w roku słynnej obrony przed nawałą turecką, przed zawziętym Ibrahimem Szyszmanem; zwycięstwo to zapisało imię wielkiej bohaterki, **Anny Doroty Chrzanowskiej** (nie Zofji), do której to postaci i epoki odnosimy naszą powieść historyczną...

Tak więc, obok imion niezłomnych rycerzy trembowelskiego grodu, jeszcze jedno, kobiety-obywatelki, tej — nie mitycznej „Grażyny“, ale historycznej: **Chrzanowskiej**.

Ale to nie przerwało dalszych klęsk, boć w roku 1687, prawie, że doszczętnie zniszczony gród, już więcej nie zasłynął!

Dzisiejsza Trembowla, swem położeniem romantycznym, należy do najpiękniejszych miejscowości Rze-

czypospolitej. Z ruin zamkowych prześliczny widok na panoramę miasta. Zwłaszcza imponująco się przedstawia dzielnica starej Trembowli, z kościołem karmelickim i starymi domami, których malowniczość przypomina średniowieczną miasteczkę z symetrycznym rynkiem oraz, gdzieś ginącymi w zaułkach, ulicami...

Jakieś dwa kilometry od miasta, na wzniesieniu, zachowany monaster; niesłychanie ciekawa budowla, a nie ustępująca w niczem podobnym, klasztorom, gdzieś w malowniczych, włoskich okolicach...

Oko bawi przecudny step, który od monasteru biegnie nieprzejrzaną dalą, a wśród niej, pagórki-kurhany, to znów dawne okopy, częścią zmienione, na zaorane pola, giną, w zieleni zasiewów, lub jesienią w przepysznych oparach mgielnych... Samo miasteczko, nader czyste, bogate, czerpiące miljonowe dochody ze słynnych kamieniołomów trembowelskich, których użyto i pod pomnik grunwaldzki w Krakowie...

Sięgając po tę przeszłość, sądzimy, że uraczymy Czytelników miłą biesiadą naszych opowieści o tym grodzie, jaką dajemy w powieści, aby — poza dzisiaj wyłącznie literaturą erotyczno-fantastyczną, lub egzotyczną, wrócić do tematów trudnych, ale wdzięcznych, o ile się ich szuka sercem i intuicją poety, który niejedną godzinę zadumy przeżył na ruinach, czy w samej Trembowli... Ukochałem tę przeszłość grodu, tę malowniczą okolicę w pół stepów, w pół kurhanów, a nade wszystko tę glorię roku 1675, który zaświadczył i świadczy po dziś dzień, żeśmy narodem wielkich charakterów, ludzi typu bohaterskiego, który — dumny z przeszłości — potrafi zbudować: **Wielką przeszłość.**

Trembowla — Kraków.

I.

Wicher szalał na dalekiej przestrzeni stepowej. Nie napotykał na drodze okrom zaschłych badyli, w kornej postawie przyziemnej, żadnych przeszkód, to też wzma-gał się, potężniał coraz bardziej, aby z siłą tytana, wpaść do wsi i tam miotać swój gniew o nędzne zapory chat, szop, czy nawet domów tu i ówdzie zbudowanych, jak z wyglądu, niezbyt dawno... często z niedokończonemi jeszcze wrotami, co pozwalało wichrowi przewracać je, a nawet wrywać ze słabych zawiasów... Nie pomogły kłody, podpórki, ani nawet kamienie! Wszystko ulegało sile wichru. Biada zaś pielgrzymowi lub zwykłemu przechodniowi, który odważył się w czas tego tańca piekielnego, iść naprzekór wściekłemu wiatrowi. Czaił się nań, aby w chwili niebacznego potknięcia się o ka-mień, lub, co gorsza, stoczenia się w rów, uderzyć weń, jakby pięściami, zamroczyć i pchnąć, aby się długo nie ruszył z miejsca, czekając chyba na chwilowy zanik gniewu wichru.

Przytem głosy straszne, świsty przeraźliwe, echa ze wszystkich szczelin, wypełniały powietrze złowrogo, że trudno się było oprzeć lękowi, albo wyraźnemu słysze-niu gołsów umarłych lub ginących gdzieś w ciemno-ściach — w walce z rozhukanym żywiołem... „Czarcie noc“ lub „czyścowych dusz pielgrzymki“, nazwano te tak długie, nocne tańce wichru na stepie... Niechętnie wówczas udawano się w drogę, a jeżeli już ktoś musiał, wieszał na szyi z pięć poświęconych krzyżów, chował w kieszeń i zanadra parę obrazków świętego Mikołaja lub Jerzego, brał do ręki mocny kostur, okuty w żelazo, zaś na głowę, prócz czapki, chustkę, aby się osłonić, za-

kwefić, jak to czynią Turczynki, lubo welonem muślinowym, a tylko przed ludzkim okiem...

Zaś musiał znać drogę od dziecka, aby nie zbłądzić, choć miał przed sobą godzinę drogi, lub krócej, gdyż zdarzało się, że mu wicher kazał do rana obchodzić, zwiódłszy go po manowcach, nieraz aż w stronę lasu lub zgola nieznaną, jakiej i za dnia musiał długo szukać, aby prawdziwą do celu, odnaleźć.

Widocznie Iwana Hleszczawę nie przestraszył wicher, skoro o tej porze wybrał się w dalszą drogę... Ruszył, jako starosta junaka, Hrycia Pawlenki, syna zamożnych rodziców, w swaty do chaty Oleńki Bandurównej, urodziwej córki zubożałych, pono ze szlachty, pochodzących, Bandurów, schłopiałych w dodatku, lecz dumnych ze swojego pochodzenia, rodziców, najpiękniejszej w okolicy dziewczyny.

Hleszczawa odmawiał pacierze, a gdy przebył już drogę do piania kurów, przystanął na chwilę, jakby w ciemnościach chciał dostrzec światelko, czy nie migoce gdziekolwiek w oddali... Lecz wicher znów szarpnął nim, omal, że go nie powalił: Hleszczawa oparł się o swój kostur, a przeczekawszy chwilę, szedł dalej. Trzeba mu było dotrzeć do ranka, dojść do zagrody znajomego Mysłowskiego, lubo szlachcica, lecz żyjącego i niegardzącego chłopem, Hleszczawą. Stamtąd już miał tylko dzień drogi.

Wtem usłyszał, jakby tętent koni: ale któżby o tej porze nawet konno podróżował? Wicher jakoś ustawał chwilami, jakby ostatnie gońce jego wiatronogie, uchodziły w inną stronę... Wtedy uderzenia kopyt po twarzym, przez wicher wypalonym gruncie, dolatywały coraz wyraźniej ku Hleszczawie, zdążającym szybko, jakby za jego śladem w pustym stepie szukano... Nie dostrzegł nigdzie w ciemności, sylwetek jeźdźców, czy jeźdźca, ale słyszał coraz bliższe echo. Nie próbował zaś ani się ukryć, tem bardziej schodzić z drogi, którą znał, choćby ze zamkniętymi oczyma. Ciekawość go nieco niepokoiła, ale, że przecież ludzie, nie duchy, jeżdżą po stepie, Iwan wcale nie uważał zatapiać się w domy-

ślach... jako rzeczą konieczną, raczej czekać, aby może czegoś się od jadących dowiedzieć... Opowie: Mysłowskiemu a i Bandurom. Zawsze ludzie radzi ludziom, przynoszącym spore garście nowinek...

Tak to sobie domysłami i niepotrzebną ciekawością płacząc myśli, usłyszał nagle — jakby poza sobą — parknięcie koni!

— Hej! na drodze ktoś żywy! — huknął jeździec.

Iwan pochwalił Pana Boga, a drugi towarzysz niewyraźnie odpowiedział, gdy pierwszy zaraz dodał, czy do Mysłowskiego daleko?

— Do niego idę, aby zejść na ranek! — Widzę, że nam wszystkim jedna droga! — ucieszony mówił głośno Iwan, gdyż jeźdźcy stanęli, a on między nimi.

— A poco zdążacie do Mysłowskiego? — znów zagadnął młody, gdy drugi milczał.

— Starzy znajomy, a poczciwy z kośćcami, więc i w drodze, bo mi dalsza przeznaczona, na postój zacny przystanek pod Mysłowskiego dachem!

— Czyście nie bakalarz, że tak mówicie gładko!?

— Swat i starosta, a wasz przyjaciel w stepie, i da Bóg pod dachem!

— Szlachcic, czy też zwykły, tutejszy chłop?

— Ni ja szlachcic, ni chłop! Ponoć pochodzę z obcych krajów, ale tutaj już pół wieku się przeżyło, zaś — sierocie, zapomniało, skąd pochodzę!

— A komuś swatem? — już jechali powoli, a Hleszczawa szedł rażno, rad, że z kimś, a nie ze samym sobą, mówi.

— Młodemu synowi gazdowskiemu, którego się zna już sporo latek...

Jakiś czas w milczeniu, jeźdźcy i Hleszczawa, zdążyli; nieco wypogodziło się na niebie i rozjaśniło, co też pozwalało rozpoznawać drogę, lubo naprzelaj między pustkami dokoła, na których, jak oko sięgnie, nic, okrom badyli i ciernisk nie tamowało wzroku, nie przykuwało go z prostej ciekawości... Wodzili trzej dokoła dalekimi spojrzzeniami: Hleszczawa patrzył ku niebu, czy też po wichurze nastanie pogoda?

— Znacie okolice i zżyty z krajem, naturą, pewnie wyprorokujecie nam pogodę? — zagadnął — jak zwykle, młody jeździec.

— Jutro będzie, ale czy pojutrze, wątpię, bo step lubi ęcić niebo, gdy suchy, paruje i sprowadza ulewy trzydniowe, a o tej porze i dłuższe...

— Znacie się, jak slysze na pogodzie nieźle! Ale, powiedzcie nam, którędy najbliższej do Mysłowskiego?

Stanęli wszyscy.

Hleszczawa podszedł ku młodemu jeźdźcowi, i wskazał drogę, a że na widnokregu zamajaczył las, więc dodał: — Nie otaczać lasu, lecz w bok, na prawo gdzie rzeka płynie, jej jarem jechać, aż ku wsi, potem minąć ją, gdy zobaczą drugi jar, wzdłuż niego, aż do Mysłowskiego domu, kres, czy początek waszej podróży?!

— Dziękujemy — ozwał się młody, stary coś mruknął i wówczas po raz pierwszy przyglądnął mu się Hleszczawa, ale ten, co rychlej odwrócił twarz; podcięli konie obydwaj i z okrzykiem: — „Bywaj stary swacie“ — popędzili w stronę wskazaną.

— U Mysłowskiego dowiem się o wszystkim! co za jedni i poco się wałęsają, a tymczasem trzeba Boga pochwalić: zdjął czapkę, ukląkł, przeżegnał się łacińskim zwyczajem i modlił się, a powstawszy, zaintonował pieśń poranną na chwałę Bożą...

Jeźdźców dojrzał, już skręcających podle lasu, gdy i on raźniej stąpać zaczął. Świtanie tymczasem budziło „ducha stepu“. — Zrazu cisza i martwota, jakby po pogrzebie nocnego wichru, a potem radosny wietrzyk ze wschodu, ale odmienny od nocnego awanturnika, jakby ten z nieba, a tamten z piekieł...

Zdał się naśladować szum rzek dokoła: Dniestru, Smotrycza, Zbrucza, które płyną miarowo, spokojnie, nawet w dniach powodzi wiosennych... A potem szeptał cichemi westchnieniami tę dolę i niedolę Ukrainy, Podola, a słuchały go jeno szuwary i badyle, przytakując melancholijnie głowami, że prawdziwemi są powieści tego rannego rapsoda...

W dali, gdzie najwidoczniej moczar, a może i jakiś staw, zalegał sporą przestrzeń, wtórowały rannemu wietrzykowi stada kaczek, naradzających się nad wędrówką, czy też nad sposobem ukrycia się w lepszych gęstwinach, gdzieby żaden śmiałek nie zdołał dotrzeć... Wtem świst przeszył powietrze...

To suseł, nadbrzeżny mieszkaniec tajemnych nor, wspiął się na swych łapach tylnych, dając hasło, że bezpiecznie o tej porze hasać po stepie, ich włości bezpieczeństwa... Świsty coraz częstsze zdradzały, że w państwie susłów, zaczynają się gody, czy też narady nad spędzeniem dnia, zapowiadającego się pogodnie, wesoło... Już też niejeden ze śmielszych susłów wypadał, aby przemierzyć przestrzeń jego terytorjum, aby się przekonać, że stej wolny wcale, nie strwoży jego oczu najeżdzcą, czy bodaj przygodnym, jak Hleszczawa, wędrownikiem... Czuł suseł, że ten, o tej porze, człowiek w stepowej okolicy, wcale nie nastawa na jego życie, to też mknął, tuż podle niego, nie spojrzawszy nań nawet.

Słońce nieoczekiwanie przedarło się przez skąpe mgły, aby opromienić zlekka ten rozkoszny bezmiar, ale niebawem jego tarcza krwawa, jakby od pożóg i lun, nigdy nie tracąca czerwieni przerażającej... przejmuje step grozą, przypomina bowiem jego dzieje krwawe, trwożne, pożarne.

Purpura zaczyna coraz bardziej mienić się w liljowe odcienia, aż wreszcie znika oblicze tej tarczy krwawej, by darzyć niebo i step złocieniami hojnych promieni. Nadewszystko las, do którego zbliżał się Hleszczawa, czując jego gościnne wnętrze, a że znał go dobrze, witał jak każdorazowo milczeniem, by nie zmącić uroczystej ciszy, nawet szeptem pacierzy... Teraz szybkimi krokami, jakby go skrzydła niosły, mijał ścieżynę po ścieżynie, a dotarłszy do jaru, szedł nawprost, aż mu zamajaczyła w rozjaśnionej dali, słonecznej, chatka, czy zagroda Mysłowskiego... Zaczął też marzyć o gościnem przyjęciu, gdyż czas i droga powoli nasuwały

myśli, które powoduje głodny żołądek! A Mysłowski, zawsze mu rad, nie przyjmie go samą solą... Stary Hleszczawa, zwany Iwanem Dobrym, wszędzie podejmowany, przecież nie odejdzie głodnym z pod dachu Mysłowskiego! Już i o jeźdzcach zapomniał, a raczej o swojej misji swata, nieco rozmyślał, czy też go przyjmą i w domu Bandury, jak przystało... Bo że córka rada junakowi, to nie nowina, ale czy starzy swatowi, to jeszcze pytanie... Z tak odległej miejscowości niechętnie widzą swatów, boć jak oddadzą córkę, to jakby za morza lub w jassyr... Lecz ufał Hleszczawa swojej wymowie i ostatecznie nie pierwszej misji swata, zawsze pomyślnej, toć i tym razem po myśli dobrej, jak to słoneczko, które mu wypogodziło do cna myśli, a wszystkie nocne, straszne wśród wichru, do ostatniego schowku, wydarło i rzuciło gdzieś na daleką przestrzeń beztroski podolskiej... Hleszczawa nie czuł tej ciężącej nad stepem melancholji, gdyż nie był on synem tej ziemi, a tylko jej pasierbem. — Przytulila go ta matka tęskliwem sercem, ale pogodna, daleka, gdzieś z nad brzegów Wisły, kołysała marzeniami, jakie pozostały z zarania młodości, gdy stamtąd go zabrano, a nową, oddano...

Gdy się tak rozczulał, to znowu naprzemian radował, przemyślał i z powrotem szedł w beztrosce, jak z pod ziemi, o paręset kroków, stanęła mu przed oczyma chata, z szeroką polaną dokoła, ogrodzoną w cieniu drzew, tutaj wprost rzadkich, ta oaza niemal na stepowej pustyni, gdyż i wioska gdzieś zginęła u wygona, a tam jej gospodarz, serdeczny druh, Mysłowski... Staremu jakby sił przybyło, że te kroki skracał, aż stanął u furtki otwartej; najwidoczniej, że ktoś albo wszedł lub odszedł ranną porą. Ano: przypomniał sobie jeźdzców!

Witały go psy, zrazu ujadaniem, potem skomleniem, aż go przeprowadziły pod same progi. Pchnął drzwi, lecz zamknięte, więc tylko drgnęły. Stuknął dosyć silnie, a z głębi posłyszał, znany mu głos starej Marty, niby żony, niby krewnej Mysłowskiego.

— Kto tam? — mówiła czystym językiem, a nawet akcentem nadspodziewanie nieskażonym w tych stro-
nach, polskim, że mile te słowa lechtały Hleszczawę,
który już z ruska zaciągał.

— Hleszczawa, czy Mysłowskiego zastałem!

Rozwarły się wrota, Marta, wzrostu wysokiego,
jednak milej, uśmiechniętej twarzy, poprosiła znanego
jej swata, Dobrego Iwana.

— Wy, Dobry Iwanie, radzi was, chodźcie — My-
słowski wyszedł, bo miał gości, pono i wam znanych,
ale wieczorem powróci...

— O! do wieczora mnie nie będzie! Komu droga
daleka, ten z wichrem ucieka....

— Zawsze składnie mówicie, jakby was książki
Bóg wie jakie uczyły. Odpocząć możecie, a i coś strawy,
jaką mam, podzielicie się w domu, wam z serca radym.

Jąkała się Marta, ale serdecznie i gościnnie zapra-
szała.

Hleszczawa próbował podejściem Marty dowiedzieć
się, coś niecoś bodaj o rycerzach, czy zwyczajnych
„konnych“ gościach“, ale ta milczała uparcie.

— Cóż to wam naprowadziło nieznanomych? — za-
gadnął chytrze.

— To sprawa nie moja! — odparła Marta, a już
tem samym dała mu do poznania, aby się nie kwapił
pytaniami, „gdyż od niej nic, okrom takiej odpowiedzi,
nie wydobędzie.

Hleszczawa, podjadłszy sobie i naopowiadawszy
o różnych sprawach Marcie, jął dziękować i zabierał się
ku wyjściu.

— Zostańcie do wieczora! — zapraszała Marta.

— Nie czas temu bawić długo, gdy się śpieszyć
musi! — dziękując za gościnę, pożegnał się i opuścił,
nierad, że się niczego nie dowiedział, dom Mysłow-
skiego. Marta zamknęła za nim furtkę, przyparła do
niej duży drąg, widocznie, że nie chciała, aby ją ktoś —
samotną odwiedzał!

Hleszczawa ruszył w drogę.

Minął wieś ukrytą w jarze, minął las, a już nie szukał krótszych dróg, ale obrał gościniec, aby sobie wygodniej odbywać drogę ku zagrodzie, jeszcze za siódmą górą...

Wlokły się wozy, najwidoczniej kupców, naładowane. Dokoła szli pacholkiwie uzbrojeni, ze szramami, świadczącymi o stoczonych walce. Za wozami, sunęła wcale okazała kolasa, wioząca chyba — pomyślał Hleszczawa — kogoś dostojnego. Hajduki, dwaj zbrojni na koniach, a obok czterech chłopców rosłych, z bandoletami, przewieszonemi przez ramię, skąd zwieszały się wcale sążniste pałasze.

— Kogoś nieźle pilnują — pomyślał nakoniec Hleszczawa.

Wtem gdy już napotkanych stracił niemal z oczu, sam zostawszy na drodze, ciągle jeszcze rozmyślał o dziwnie nocą spotkanych jeźdzcach, a te myśli zdołały mu skracać drogę...

Znowu go otulał swą bezkresną melancholją step... Szedł od Trembowli ku Tarnopolowi, aby hen za grodem — miastem, dotrzeć do Zborowa, gdzie za niecałą godzinę mógł już się dostać do Bandurów...

Zeszedł do jaru rzeki. Malownicze stoki jarskie przypomniały mu okolice Łoszniowa, Krowinki, Janowa, Skomorosza, a i samej Trembowli. Jaki tu wszędzie kraj piękny, lubo obrazki niemal te same, ale każdy z nich czarujący swoją złudą, nie krainy rzeczywistej, lecz baśni, których tyle się nasłuchał a i sam nieraz, jakby widział w tych jarach, w oparach — jakieś dziwne postacie, które mu się wydały czartami, lub dziwożonami... Raz tak na własne oczy widział czarownicę, która przed nim uciekała, a raczej tańczyła i tylko krzyżem zdołał ją odpędzić, aby mu drogi nie zmyliła...

Zaczął i teraz modlić się, aby przypadkiem nie zobaczyć czarownicy, boby i podróż była daremną!

— Kto z Bogiem w stepie, toć go czart pominie... Bóg stoczył walkę z szatanem, by ludziom dać przykład i zachęcić ich do zwycięskiej walki... filozofował Hleszczawa.

Step mu szeptał coraz barwniejsze dziwy, opowieści w szumie cichych, dalekich ech, jakie niósł po świecie, aby tu, na stepie, mogły się przemienić w mowę upiorną, aby przejmowały człowieka, który chciał ten step nawskrós poznać, wydrzeć mu tajemnicę jego uroczej melancholji...

Chciał ominąć Tarnopol, bo ostatecznie nie musiał tam wstępować, ale, że miasto nęci ludzi, więc mimowoli zboczył z drogi, na przelaj, krótszej, obierając gościniec, wiodący ku miastu. A zresztą to miasto, spokrewnione z Trembowlą, gdyż Gniezna wpada do Seretu, nad którym założył ten gród warowny Jan Tarnowski, wojownik sławetny w bitwach z niewiernymi w Hiszpanji i Portugalji, za co mu król hiszpański, Karol V, dał ówczesną godność rycerza Europy „hrabiego“, a powróciwszy do Polski, po Mikołaju Firleju, otrzymał buławę hetmańską, by z nią w rękę pobić Petryłę, gospodarza wołoskiego, na głowę, pod Obertynem... (1531). Hleszczawa o tem wiedział od lirników, którzy opieśnili w swoich dumkach, przy wtórze liry, czyny hetmana — kniazia, jako że każdy wielki rycerz na rusko-polskiej ziemi, kniazem przewany, a uczone książki i Stanisława Orzechowskiego i Otwinowskiego, opowiadały wszędzie, że „był to, wielki mąż, jakiego dał Pan Bóg Ojczyźnie, by ratować ją w dniu niebezpieczeństwa jego ramieniem, podobnem do skrzydeł archaniola“.

Chciał się i swat przypatrzeć miastu, które się mądremi prawami hetmańskimi rządziło.

Wchodził z lękiem, czy go też wpuszczą: ale, jakoś strażnicy nie zatrzymali go, a przeszedłszy wzdłuż, podle zamku, zaglądnął do gospody, by i tam się nieco pokręcić, a dowiedzieć, czy bezpiecznie w kraju, nie zanosi się na wojnę... W gospodzie prawie, że miejsca nie było, ale usłużny Ormianin, czy też Grek, bo z obca zgoła wyglądał, przybyszowi podsunął zydelek, aby się przysiadł do kompanji gwarzących pięciu, widocznie rycerzy, bo zbrojnych i wcale rycerskim animuszem podnieconych...



— Siadaj pątniku, czy też kupcze lub bakalarzu...
— witał go jeden z towarzyszy, Gedeon Mirecki.

— Jestem swatem i jako taki idę do Zborowa —
odparł Hleszczawa.

— Swat, brat, to jedno, jeżeli szlachcic i bez tego!
— wtrącił Włodzimierz Okulski.

— A czy przypadkiem nie do Bandury?...

Hleszczawa wahał się, czy powiedzieć prawdę, więc
zrazu odparł:

— Czyż niema u niego godnej pięknej i statecz-
nego męża, córki!

— Ale dla rycerza!

— Czyżby?! — oniemiał Hleszczawa.

— To jeżeli jej, a raczej po nią wasza, swacie,
droga, lepiej zawróćcie, bo córka Bandury, daleko, już
do kogoś innego należy.

— Ej! czy nie fantazja tak wam każe mi opo-
wiadać!

— Jakem Gedeon Mirecki, komendant trzeciego
działa forttecznego, że prawdę, jak kulę podle mej ar-
maty, niewystrzeloną, lecz prawdziwą... mówię!

— Ha, ha, ha! — gruchnęli towarzysze, a Hle-
szczawa, coprędzej wypił i pożegnał się z kompanją,
która mu życzyła innych swatów, pomyslniejszych.

Teraz już nie szedł, ale pędził, ile mu sił starczyło.
Gryzła go wiadomość o Bandurówniej, niby ten jad, są-
czący naprzemian truciznę i jakąś dziwną, ukojną
mieszanieę z narkotyku i równocześnie środka uspa-
kajającego... Lecz ostatni trwa chwilę, aby pierwszy
działał zabójczo... Hleszczawa wolałby był nie wiedzieć
o tem, aniżeli tak odrazu usłyszeć, że Bandurowej nie
zastanie.

Wszak Pawlenko obiecał mu w dożywocie chałupę
i wcale spory kawał ziemi, coby go uczyniło nie swa-
tem, ale już kumem, a nawet może z czasem zamoż-
nym... I on, miał ambicję, aby raz skończyć z życiem
przypadkowego szczęścia i uśmiechów losu, zależnego
od różnych junaków, którzy wysyłali starego na swaty,
a potem, zaledwie go okiem dostrzegali czy w gospodzie,

czy we wsi, na naradach lub weselach... A i Bandurów kochał szczerze! Czyżby nie chcieli Pawlenki, lubo nie szlachcica, ale z fantazją niezgorszą od szlacheckiej!

Z takimi myślami gnał, jakby mu połowę lat ubyło, a był, conajmniej Pawlenką, który na skrzydłach mknął po szczęście, lubo utracone... Nie chciał wierzyć słowom Mireckiego, ale znał na tyle ludzi, że odróżniał oblicza kłamliwych, od mówiących prawdę. I to go podniecało w pewnem rozdrażnieniu, czy podrażnieniu, iż nadarmo przemierzył drogę, aby z pustemi kieszeniami wracać, a może jeszcze w złości Pawlenki i życie swoje postradać, iż był złym swatem...

Lecz ta wrodzona natura mazurska, w duszy, kazała mu się i z przeciwnym losem godzić...

Więc szeptał modlitwy, gdy znów wchodził w lasy, gdy mijał jar po jarze, tutaj tak częsty, że się dziwił, jaki to kraj jarów, gdzie pewnie wiosną lub jesienią wody sobie szumią na dnie. A o tej porze pięknej, pogodnej jesieni, wcześniej, gdy jeszcze latem pachło w borze, lśni się po zboczach jarów zieleń i cudna murawa zdobi ją, niby żywym kobiercem, nietracącym barwy żyjących i młodych wiecznie trawników... Bo, gdy je śnieg okryje, to z pierwszym słońkiem wiosny, już się budzą, jakby wczoraj je okrył biały całun, lubo tutaj nieraz leżący cztery i pięć miesięcy...

Już go myśli zwątpień opuszczały, ale niebawem wracały, by go znów męczyć niepewnością i smutnym końcem, gdy piorunującą zanieśie wiadomość Pawlence. Aliści układał, że wszystko przecież będzie można jeszcze naprawić, co się złem stało, przemienić na dobre...

Tak, nie zważając na nic, szedł bez wytchnienia, aż minął Zborów i dotarł na krańcu do obszernej, niby dworku, zagrody Bandurów.

Jakaś cisza złowroga go otulała; Hleszczawa nie wróżył sobie wcale szczęścia, a może go już tutaj spotka nieszczęście... Lecz ufał przysłowiu: „gość w domu — Bóg w domu“, by nie stracić ostatniej wiary w myślach, zawsze pogodnych na dnie swojej czystej duszy.

II.

Dworek Bandurów, a jak głosiło podanie: Bandrowskich, szlachty, lubo nieco schłopiałej a raczej żyjącej w atmosferze półwiejskiej, półmiasteczkowej, należał do okazalszych domków wraz z zabudowaniami dokoła, tworzył zagrodę bogatego zresztą Bonawentury Bandury.

Ożeniony z Rusinką, urodziwą Praksedą, miał jedy-naczkę córkę Oleńkę, a raczej Olgę, jak matka wołała na nią, a tylko pan Bonawentura, pieśczośliwie Oleńką, przezwał. Zdarzyło się, że pan Bonawentura, zląko-miwszy się na dalekie kresowe włości, po zmarłym bracie, wraz z rodziną wyruszył w drogę (miał trzech synów: Mikołaja, Bonawenturę i Iwana, wszystkich kształcił w wojennem rzemiośle)... a że Tatarzy grasowali, zatrzymał się w bezpieczniejszym grodzie trem-bowelskim.

Tutaj, niby to z racji posług, ale nie jako hajduk lub pajuk, ile przyjaciel, Pawlenki, zamożnego kmiecia syn, upodobał sobie Oleńkę, ale, że ojciec zbyt córkę kochał, mówił, że czas jej, aby dojrzała, a wówczas Pawlenko może po nią przysłać swata...

Niby to nie gardził kmiecim synem, myśląc, że i tak ich dzieli droga, więc obiecać można, a spełnić, o ile Bóg pozwoli...

Fantazja pana Bonawentury kazała mu jechać, nibyto spokojniejsze nastaly bowiem czasy... Ufny w szablę swoją i trzech, na schwał, synaczków, a i wiernej służbie, pocztowi wcale licznemu, bo z czterdziestu ludzi, których zamyślał osiedlić, by zabezpieczyć sobie placówkę, dziedzictwo, ruszył w drogę. Pawlence nie mógł odmówić, by mu, raczej Oleńce, towarzyszył, a że syn kmiecia miał niezgorszą od szlacheckiej, fantazję, przeto pan Bonawentura nie oponował, ile tylko kazał baczyć synaczkom, aby w amorach nie przebrał miary, natręt, lecz w drodze potrzebny...

I tak sobie jechali, swobodnie, bezpiecznie, a że droga otwarta i szeroka, pogoda sprzyjała, więc cieszył się Bandura-Bandrowski, że będzie mógł dotrzeć z po-

mocą Bożą i wcale nie do pogardzenia, ludzką, w te własne, dzikie strony...

Jechali ku Kamieńcowi Podolskiemu, gdzie za twierdzą, zostawił brat wielką majątność panu Bonawenturze.

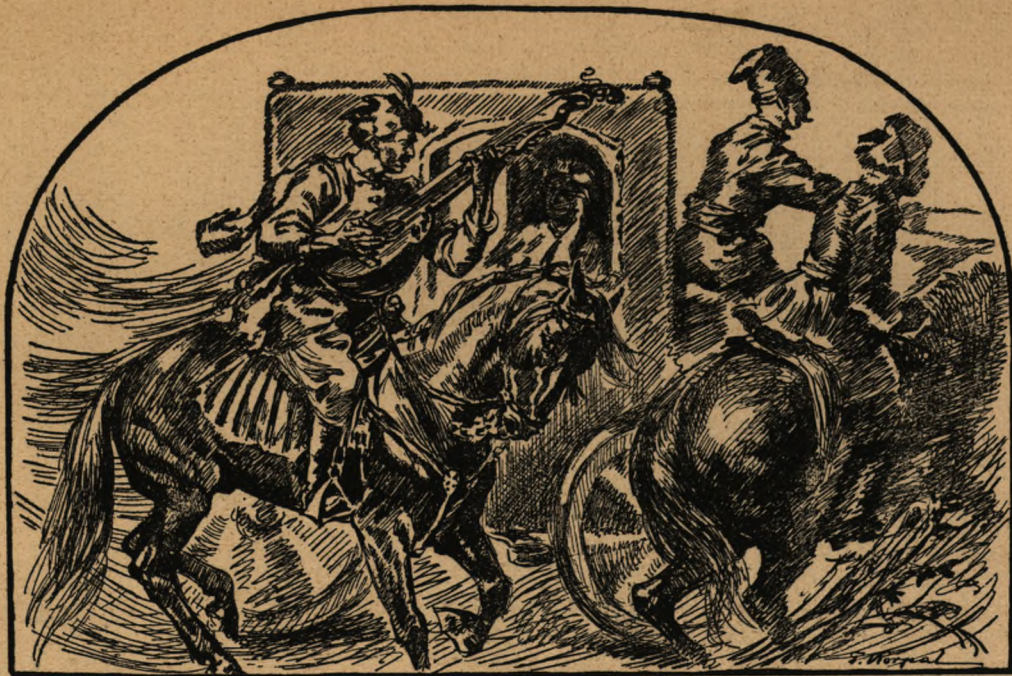
Okolice, prawie puste, że ledwie w głębi jarów kryły się niskie zagrody, ale tak niewidoczne, że trzeba było przetrząść cały jar, aby najść na osadę i ludzką głowę w niej dostrzec, która niechętnie się pokazywała... Pawlenko jechał przy wozie, ciężkiej kolasie, gdzie Banderówna z matką naprzemian nucily, albo pytały się ciągle, czy jeszcze daleko, nudząc się do ostatnich granic cierpliwości, nużącą drogą, bezkresną...

Pawlenko znał nieco ostępy tych okolic, boć raz z ojcem też ją przemierzył na własnych nogach, aż do Kamieńca, tylko w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć szczegółów, jakie tu, wśród stepu, zatarły się, nie zostawiając ani śladu... Zabawiał, jak umiał, rad, że Oleńka go słucha, a obiecał, gdy wydrze pierwszemu lepszemu dziadowi lirę, że grał jej będzie, jako że znał piosnek na lirę, sporo tych ballad, tak jedynych w okolicach Trembowli, Tarnopola czy Kamieńca... I nie długo czekał na spełnienie obietnicy... Jak tylko bowiem minęli jar, tuż na drodze spostrzegli dziada z lirą, ślepego, wraz z dziewczyną... Pawlenko podjechał: targ w targ, odkupił — odebrał lirę dziadowi, mówiąc: — „Ty i tak bez niej śpiewać możesz, a ja tu grać muszę, bom mojej doczce i pani obiecał“...

Dziad, rad nierad, choć skomlał, jak pies, gdy mu wydziera się powoli mięsiwo, oddał, raczej wypuścił lirę, a dziewczę, zobaczywszy pieniądz, jakiego nigdy w życiu nie widziało, uspokoiło starca:

— Tatulu, my tak kupim lirę złotą, za ten złoty pieniążek“...

Przypędził z lirą, Pawlenko, ale go zgromił pan Bonawentura, że dziadowi krzywdę wyrządził i nie prędko się udobruchał, aż junak zagrał, okazując w pełni talent muzyka, i niemiejszy śpiewaka, gdy zanucił dumkę: — „Kocham ja step i moją tęsknotę“...



Oleńka ze łzami dziękowała za śpiew, niby w cerkwi, a pan Bonawentura począł rozmyślać, czy też niewartoby może i takiego posiąść zięcia... Tylko w duszy, że to: „cham“ i dziegiem zalatuje, psuło mu nastrój i oddalało zbyt chamskie myśli, aby córka została... Pawlenkową, a nie herbową żoną, jak z herbowego stanu pochodzącej się godziło...

I synaczkowie polubili Pawlenkę, bo i dla nich wesole śpiewki wymyślał i składnie do nut, jakby do tonów liry, dodawał... a już dziadowskie tak naśladował, iż Iwan myślał, że w nim czort siedzi, co to nieraz człowieka i przemienić zdoła, jak zechce.

Jechali sobie wcale grzecznie i spokojnie, gdy wtem raz, pod wieczór, dostrzegli, niby watażkę małą... Ano pan Bonawentura wrzasnął:

— Wszyscy do szabel, jako żywo, albo Turkowie, albo Tatarzy, jedni i drudzy na nas pędzą...

Wskoczyła i Oleńka na konia, a Pawlenko, obok niej, jak paż lub pacholę; albo jak ten pies wierny, przy swoim panu i w niebezpieczeństwie.

Istotnie groziło!

Chmara, boć na stepie, nieraz ją kilku, gdy w pojedynkę jechało, tworzyło, waliła na orszak pana Bonawentury.

— Hej, a nie strzelać, aż dam znak, bo może się obejdzie i bez tych ceregieli, jeżeli to jacy ludzie, a nie psi synowie.

Gromił tak pan Bonawentura, gdy już najwidoczniej godził w niego pogański syn, pędzący wraz z Tatarami, ku jeźdźcom, jakby wojskowego zastępu, z Bandurą na czele.

Wtem huknął strzał.

— Bój! na Boga! A bij w psich synów, nie puszczaj tym poganom, darł się i walił Bandura i jego, już otoczeni nieliczną, ale nieoczekiwane, więc niełatwo dającą się pokonać, watahą.

Gdy ją lekko, ale dobrze poczęstowali, zwłaszcza synaczkowie pana Bandury, nieco im się odniechciało zaczepki i też zmykali, aby nie dostać się snadnie

w ręce, co by im płazem nie uszło, silniejszych i wielce odważnych ludzi...

Pawlenko, widząc, iż mają zamiar umykania, puścił się w pościg, co też i zachęciło prawie wszystkich, ale za watahą pokazała się druga, niby tej w pomoc pędząca.

— Żle, gdy dwóch na jednego — pomyślał pan Bonawentura i ściągnął synaczków oraz część swoich ludzi, a Pawlenkę z dziesięcioma tylko zostawił losowi i pościgowi za pierwszą watahą.

Z drugą jednak walczyli przy wozach, co się okazała zbawiennem, boby nie zdołali tak łatwo i szybko się uporać; wtem zmrok skrył niedobitków, zaś Pawlenko przywiózł jeńców, czterech i dowódcę, jakiegoś zaniejszego kawalera, czy może i samego beja, boć strój, szablica, a nadewszystko fantazja okrutna, zdradzały, że to nie z pochodzenia niewolnik, ile wódz, a nawet basza, próbujący może rycerskiego szczęścia na dzikich polach... na stepie, który należał do Polski, ale był wiecznym teatrem wojennym, na którym Turcy, Tatarzy i Polacy się bili i ćwiczyli... Ostatni stawiali wśród pożogi i słupy kulturze, jako to zamysłał uczynić i pan Bonawentura.

— A toś się spisał — niczem syn szlachecki! — witał go Bandura.

— Niechże panna Oleńka sobie weźmie ten podarek pierwszy, a moi ojciec dobrodziej, niech za okup, bo sądzę, że za kawalera dostanie, nie szczędzi podarku, jakby odemnie...

Aże zdumiał pan Bonawentura, iż chamski syn ma takie giesty i tak się spisać potrafi, a co do stanowień i szlachcicby nie lepiej a może i chytrzej aniżeli on, co tak szczerze, uczynił...

— Co do jeńca, że i moi synowie coś tam pomagali, więc się zgadzam, ale, że okup w lwiej części twój, więc do woli będziesz mógł rozporządzić.

„Kawaler“ — jeniec wpił oczy w Bandurównę, że aż go Pawlenko szturchnął, ile że był jego jeńcem...

— Patrz lepiej, byś mógł zobaczyć swoją ojczyznę, a nie w oczy cudze, których niegodzien, by cię oglądały,

pogański synu! — wrzasnął zrazu, a potem łagodniej, ale stanowczym głosem, zdał się mówić, jakby do rozumiejącego polskiego wyrazy, jeńca...

Ten, nieco pohamował swoje oczne zamiary, a powiedziawszy coś do jednego ze swoich podwładnych, usłyszał nagle wcale niezłe po turecku wymówione pytanie, jakie doń skierował pan Bonawentura:

Kim jesteś, czy kawaler, czy też zwyczajny sobie zawalidroga?

Tu tłumacz objaśnił, również niezłą polszczyzną, iż jest synem baszy i jechał wraz z dwoma oddziałami po wykup jeńców, a tylko nieostrożna odwaga, że na bandę natrafił, kazała mu strzelić i tak niefortunnie walczyć...

— U nas nie tak łatwo sprzątnąć obywatela na jego własnej ziemi! a jak się wydostać z rąk naszych, to się dowiesz i bez tłómacza, synu baszy! — znów olśnił turczyzną pan Bonawentura istotnie osłupiałego Derena, jak zwał się młody syn baszy, który też natychmiast rozpoczął pertraktację okupową, aby się wydostać z niewoli...

Zajechali do natrafionej karczmy, wydobytej jakby z czeluści ziemi, w miejscu, gdzie step, nieco kurhanowaty, znęcił jakiegoś odważniejszego Ormjanina, aby tutaj otworzyć, założyć gospodę... Pan Bonawentura zajął ją prawie całą, ile tylko miała skrytek, oprócz jednej, w której drzymał sobie szlachcic, Mysłowski, podróżujący samotnie, najwidoczniej z Kamieńca. Na hałas zbudził się, a przypasawszy kord, zeszedł do gospody, aby zbadać, kto tak ją wypełnił głośno, licznie i hucznie.

Z natury raczej milczący aniżeli lubujący gadulstwo nadmierne, jako zazwyczaj szlachcic przystało, czy stało się ich drugą naturą, widząc jednak i jeńca, jął się rozpytywać, nadewszystko samego pana Bonawenturę, ażę pierwszą ciekawość zaspokoił, by ją gasić i sycić miodem, gdy się wkrótce zbratali ze szlachcicem, nieco już schłopiałym, ale w każdym razie lepszym, aniżeli zwyczajny sobie chłop...

— A to i grosz będzie nie do pogardzenia! — kończył Mysłowski dyskurs.

— Kiedy jeniec w części i do zwycięzcy należy — odparł Bandura.

Lecz, gdy się dowiedział Mysłowski, kim jest Pawlenko, otrzymał odpowiedź Bandura:

— Tacy, nie mogą jeńcami rozporządzać, gdy nimi są sami!

— Lecz to zacny, jakby kawaler — nie wiecie, mości Mysłowski, że w naszych stronach bogate chłopstwo, to szlachta schłopiała, — a i jabym do takich się liczył, gdyby nie fortuna, co kołem się stoczyła do mojej kieszeni.

Tu już wiedział Mysłowski o celu podróży, a nawet coś niecoś, że Pawlenko ma się ku Oleńce, a i o tem, jak Deren wpatrzył swe ślepie pogańskie w jej twarzyczkę niebiańską...

Mysłowski wziął w końcu na siebie pertraktację w sprawie wykupu Derena i ten miał wraz z ludźmi czterema Bandury u niego pozostać, aż okup nadejdzie, po który zaraz z rana wysłał czterech Deren do Turcji.

Pawlenko zgodził się, zwłaszcza, że go Mysłowski spiorunował, iż wobec tak bogatego Bandury, a pań, nie może inaczej, jak za wolą szlachecką postępywać, lubo i oni cenią jego zdanie chłopskie.

— Zawsze ci szlachta, a ja nic! — pomyślał i zgrzytnął, ale się zgodził Pawlenko, zaś już nie oponował, gdy go dopuścili do rozmowy i wcale o córce nie mówili inaczej, jak sama, komu względnie, kto się jej spodoba, temu się dostanie... Ufał Pawlenko, iż Oleńka nań łaskawie spoglądała, a rada, że się spisał, więc można oczom wierzyć.

Rano się pożegnali istotnie: Mysłowski odjechał wraz z Derenem i czterema jeńcami, a Bandura, ze swoim poczem, jak mówił już odtąd, odkąd Mysłowski go tak przezwał, w stronę spadkowej włości...

Mysłowski, po drodze, jał wypytywać Derena, a że coś niecoś rozgadał się po turecku, więc odsunął tłómacza, aby nie potrzebować świadka.

Dowiedział się, że syn baszy, wcale w dostatku żywot sobie pędzi, a bogactw ma on ci tam sporo, że mógłby niejeden raz się wykupywać, czy też „wykpić“, bo zauważył Mysłowski, że ten ci Deren szczywany i filut zawołany.

Zeszła rozmowa i na kobiety; tu wybadał, względnie wysondował Mysłowski, że Deren zapalał afektem nieskończonym ku Oleńce, a szlachcicowi wydał się godniejszym, lubo poganin, ale zawsze z szlacheckiej krwi, aby za pan brat żyć w towarzystwie Bandury...

Coś niecoś słyszał Mysłowski o tym Bandurze! Pono było jego nazwisko przybranem, co też okrył tajemnicą, że się tam jakieś gravaminum spełniło, a że gardłem groziło, więc jazda na kresy, by tutaj w skórze Bandury bezpiecznie żyć i jeszcze się wzbogacić na końcu...

Tak sobie gwarząc i myśląc, jakby nizając paciorki na nitce, jechali powoli, jakoże droga, nienazbyt dobra, pagórkowata, tamowała szybko, wolną gonitwę, aż dopiero, gdy step się znów otwarł, by niezmierny pas ładu nad brzegiem morza, przyspieszyli jazdy... Deren coś mamrotał ze swoim towarzyszem.

Mysłowski, nie znając narzecza, w jakim mówili, zdał się zresztą nie zważać, co tam bębnią baranim językiem, nucił pobożną pieśń, odjechawszy nieco w bok, by w towarzystwie poganina nie chwalić Boga...

A syn baszy zręcznie uknuł plan, jakby za powrotem wykraść Bandurównę, bez której żyć nie mógłby, tak mu w serce ugodziła strzałą amora...

— Gdy nadejdzie okup, pojedziemy go oddać obydwaj, a tymczasem zdołamy znaleźć sposobność, jakby wykraść Bandurównę... Niejeden raz podobnych sztuk dokazywałem! Nagrodzę cię stokrotnie! Będiesz mógł osiąść na Kaukazie wraz z całym dobytkiem...

— Po woli waszej! — i omało nie skoczył z konia, by paść do stóp Derena, ale ten rzekł: — Lach nas widzi!

— Dobrze, że nie słyszy! choć to twarda sztuka, ale jak wszyscy, gdy ich podejść serdecznie, już tracą spryt i można im z przed nosa dmuchnąć, choćby dziesięć dziewczek...

— Nie mają haremu, — zauważył Deren — ale bronią ich czci, a podobno daliby się krajać za niewinność, ojciec córki, a mąż żony...

— Jak którzy! Znałem i takich, co niemal haremy mają, jak u nas, tylko, że jednej wierność w meczecie — czy ich kościele ślubują...

— Znasz Polskę?

— O! nieraz już z Polakami się stykałem...

Byliby dłużej sobie gwarzyli, gdy wtem Mysłowski, skończywszy modły i śpiewy, podjechał, aby coś znów się dowiedzieć z ust Derena i towarzysza. Mówili o skarbach w Turcji, o haremach, aż znudzeni, jechali znów w milczeniu, zwłaszcza, że zmęczone konie nieco powolniej szły...

III.

Pijany rozkoszą Deren, wołał tylko, co chwilę na swojego quasi giermka, czy Laszka żywa i czy jest nadzieja, że ją szczęśliwie dowiozą do Turcji. Sługa, w nadziei wolności odzyskanej, czy też zaszczytów, a i hojnej nagrody, zaglądał we wnętrze kolasy, gdzie leżała Bandurówna, a spojrzawszy na jej oblicze, zresztą zdrowej a tylko wylekłej kobiety, szeptał, pocieszając swego Pana, dodając, każdorazowo, utarte wschodnie życzenia, rymowane:

„Obyś był panem, jak ten możny świata,

„Któremu, przed kim, szczęście nie ulata“...

Deren bał się zbliżyć do kolasy, zresztą musiał czuć, by nie natrafić na jezdnych, a co gorsza, że się pogoni zbyt rychło spodziewał...

Coprządca cały ten kunszt porwania, obmyślił istotnie wschodnim sposobem! Gdy jechał do Bandurów, wioząc podarki, jako wykupu zapłatę, nadto sporo pieniędzy, olśnił szlachcica, który aczkolwiek odziedziczył wcale niezły kęs ziemi, jednak nie wzgardził Derenowemi skarbami, a oczy, aż mu kociem światłem spłonęły, gdy ujrział, że dla niego tyle, aby wykupić syna, przysłał, widać bogacz niemały, rodzic Derena...

Więc sporo materji jedwabnych, adamaszkowych, kobierców, szali, a dopiero złotych puharków, naczyń, jakby z pałaców królewskich, które to wszystkie wymował Deren, a kłaniając się, rzucając afektu spojrzenia ku córce, układał, powoli, aby w miarę sycenia wzroku ojca i matki, oraz synaczków, on kąpał się w głębi óczu Oleńki, którą już, co tylko, że nie obejmował, tak go dziwnie przykuła do siebie...

Rad, że w jej oczach, odrazu urósł na bogacza i to nie z opowieści lirników, ale z rzeczywistych, przed jej oczyma skarbów, jakie składał jej właściwie w dani...

A też nie zapominał o Pawlence, tylko temu, przyrzekał sam zawieźć, bo chciał go bliżej też nieco poznać, jako kawalera i junaka...

Że miał dobrego tłumacza, i bitego w interpretacji słów, zresztą kwiecistych, więc wraz ze skarbami, łączyła się przemożna fantazja, która powoli zjednywała sympatję Bandurów dla tego cudzoziemca, nie gorszego od kawalerów nawet gdzieś z królewskiego dworu, lub tych, którzy od czasu do czasu zbłądzili w te strony, aby ludziom przypomnieć kortexję i maniery dostojnych, a rycerskich ludzi, jakich tutaj twarde życie przeobrażało jeno w ustawicznych wojowników, doznających rzadko szczęścia spokojnego życia przy kominkach...

W Bandurze odżyła szeroka natura, wraz ze wspomnieniem lepszych czasów, toteż nie uważał już Derena za jeńca, ile gościa, którego, lubo to poganin w mniemaniu jego, przecież o manierach zacnych, więc go trzeba też podejmować serdecznie.

Jakoś nie dojrzał kryjącego się nieszczęścia w swem goszczeniu rozkochanego w córce, Derena; raczej imponował mu, że tak bogaty kawaler obcy, konkuruje zalotnie, a i przelotnie (boć nie podejrzywał go o chęci wcale krewkiego porwania mu córki), do Oleńki, której nie radby, aby wyszła za Pawlenkę, chyba, żeby go można uszlachcić, a o co nie tak znów trudno było podówczas w Rzeczypospolitej..

Deren, rad z tych gościnności, obcych mu u siebie, ale tak miłych tutaj, gdzie go trzymała miłość, równa

chorobie, a na nią lekarstwem były rzadkie, lecz mu tak czarująco kojące ból, spojrzenia Oleńki, siedział, nibyto, nie chcąc zapomnieć, że gościem, a tem samem na dłuższy czas, wtóre: Bandura nie naglił, owszem zapraszał, by nie opuszczał domu, że lepiej wyczekać, aż się uspokoi, lub sposobność nadarzy, by wrócił bezpiecznie do swojej ojczyzny...

— Wszak oto teraz u nas, coś się ma ku wojnie...

— Może dopiero z wiosną, lub latem, gdy to łagodny świat a krew gorąca... odrzekł Deren, chcąc jednak przygotować, że się nie boi podróży, by znów, nie sprzątnięto mu Laszki.

Słyszał, że jej czas, by mogła opuścić rodzicielski dom... — I szukać życia rozkochanego!

Tak się wpatrzył, gdy ojcu odpowiedział, a tłumacz w mig przełożył, w oczy Oleńki, że ją, aż zamroczyło...

Jużci Deren zapomniał wykupu jeńców, jakich miał przywieźć z Polski, mówiąc, że ma zjechać osobliwa mi-sja, która łacniej to od niego uczynił

Oswoiwszy się z domem, poznawszy otoczenie, począł teraz nieco częściej przestawać sam na sam, wraz ze swoimi, aby uplanować ukradzenie, a raczej nieoczekiwane porwanie Oleńki.

I tutaj też okazał mistrzostwo, wschodni sposób, aczkolwiek bardzo ryzykowny.

Postanowił podpalić całą zagrodę Bandurów. W porę taką, gdyż na nią wcale nie przygotowani, nie odgadną wszyscy, jako podstępu, a tylko jako rzecz naturalną przyjmą i to mu nieco ułatwi czyn uprowadzenia Laszki...

Bandura często wyjeżdżał, mając sporo spraw z kłopotami nabytej świeżo spadkowej posiadłości. Więc zdarzało się, iż dwa, trzy dni bawił poza domem. Kazał baczyć synom i służbie zaufanej na obcych, ale tu Deren, znał sposoby gaszenia znów czujności, a zjedyniania sobie zaufania.

Górował swoim sprytem południowca, który w matni lepiej się wyznaje od ludzi, przywykłych do wojenki,

ale nie znających zbytńo arkanów intrygi lub nie łatwo odkrywających śmiałyń zamiarów; wprost niesłychanego podstepu, zasadzki czy gwałtu!

Wszak nieraz taki pozornie spoufálny jeniec, czy nawet udający przyjaciela, jak Deren, obcy, wyprawiali niespodzianki, jakie często drogo kosztowały brata-szlachcica...

Deren zatem oplół wszystkich łatwowiernych, pozorami przyjaźni, zaś uroczyście obiecujący wyjazd, aż się sposobność nadarzy, wzbudził zaufanie i wprost odsunął od siebie oczy podejrzeń, aby móc tem wolńiej plan sobie obmyśleć i wykonać.

W stronie południowej zagrody była szopa. Tam stała olbrzymia kolasa, wygodna, którą właśnie Bandura podróżował, a która okazała się i wygodną i wcale obszerną. Zaprzęzoną w cztery lub sześć koni, szła, niczem skarbnik-bryka, wożąca mienie z podatków, z szybkością ówczesną największą, jaką można było od kołowej jazdy wymagać. W tej kolasie zamysłał ją uwięzić!

Szopy, tuż obok domu mieszkalnego, miały spore zasoby siana suchego, nadto i tarcie, które też były dobrem paliwem. Te zamysłał podpalić, gdy przyjdzie chwila ostateczna...

Jakoż ją przyspieszył osobliwy wypadek, arcypomysłny dla Derena, któremu — jak potem mawiał Bandura: „piekło snadńiej sprzyjało w piekielnych zamiarach“...

Oto czeladź Bandury, złapała osobliwej wielkości raroga, a że taki ptak uważany był za czarciego wysłannika w tej okolicy, więc rada poszła w radę, trzeba go tylko spalić, a popiołem wysypać drogi, by czart, zważchawszy swoje spopielone ścierwo, więcj nie ważył się wchodzić w ludzkie zagrody!

Zleciało się sporo ludzi, by oglądać istotńie wielkiego ptaka, związanego, ale żywego. Niektórzy, słysząc jego głośy, jakie z bólu dobywał, mówili, iż to słowa czarcie, coprędzej uszy zatykali, oby też nie utracić własnej mowy...



Inni, a było i takich wielu, znosili, co tylko suchego napotkali, by stos usypać na spalisko czarciego ptaka...

Rad był z tego obrotu rzeczy Deren, który od siebie wmawiał w synaczków Bandury, iż to ptak złego ducha, i trzeba go spalić tak, aby śladu po nim nie pozostało...

Czeladź, bojąc się, by przypadkiem rarów nie wymknął się, jako że mógł go zły duch, czarcim sposobem okryć przed nimi, nie czekała zbyt długo, ale, kiedy stos był już gotów, wywlekła raroga, zaś zaraz pod wieczór, podpalono go...

Gdy wybuchł ogień, przy sprzyjającym wietrze, odrazu rozgorzał płomieniem miotanych języków, Derena służba i szopy podpałiła, tak, że prawie cała zagroda stanęła w ogniu.

Na krzyk, na lament domowników, i co tylko mogącej wrzeszczeć matki Oleńki, Praksedy, wpadł Deren ze swoimi, odrazu zdołał Oleńkę wyprowadzić, a strwożoną, przy pomocy swoich usłużnych sług i w mig spełniających rozkazy, wsadzić do kolasy, gotowej i spokojnie, nawet nie baczących na to domowników, którzy gasili szopy, opuszczającej w cztery dziarskie bachmaty osadę, która w płomieniach oświeciła im drogę w stronę lasu.

Bandury na dobytek nie było w domu. Prakseda, nie mogła się ze strachu ogarnąć, chwilowo zapomniała o córce, zaś synaczkowie, wraz ze służbą zajęci gaszeniem szop, nawet nie spostrzegli, iż Deren uprowadził w stronę oddalonej szopy siostrę, a wśród krzyków dookoła spaliska raroga, nie zauważono, ani też słyszano turkotu kolasy, zresztą ginącej szybko po spadzistej drodze, z obszaru horyzontalnego, w jakąś ciemnię podleśną...

Dopiero nad ranem, kiedy zdołano ugasić pożar, Bonawentura Bandura wrzasnął: — A Deren, i jego słudzy zniknęli!

— A z nimi i Oleńka... — ryknęła Prakseda!

— Co żywo za nim! — ryczał Mikołaj, gdy Iwan wpadł:

— Na Boga! świętego Mikołaja! tatar czy turek, ten Deren porwał Olenkę...

— A tyś ją dał sobie tak porwać... wy, zamiast baczyć o niej! — tarzała się w gniewie i szlochu Prakseda!

Synowie przetrząśli wszystkie zakątki, jakie tylko było można, ale ani śladu córki, ni też dawnych gości...

Coprawda wszystko pozostawili. Osiedłali konie, nie czekając na ojca, kiedy powróci, pędzili w stronę Mysłowskiego.

Tam jednak, okrom, że raroga schwytano, nawet o pożarze nic nie wiadano, a tylko, że pozostał jeden ze sług Derena, którego Mysłowski gdzieś posłał, a obiecał związanego, dostawić do Bandurów!

Na zapytania w okolicy, nie otrzymali żadnej odpowiedzi niemal, bo Deren, aby zmylić pościg, obrał wprost przeciwną drogę, ku południowi, aby potem dopiero skrócić, zboczyć ku wschodowi, gdy już pościg będzie chybiony.

Kolasą dojechał do jaru rzeki, a gdy tutaj, zaczęła nieco utrudniać drogę, obrał sobie inny sposób, by wieźć Laszkę, a i sami, aby mogli, na koniach jedynie, w pojedynkę sześciu, zaś czterech z Derenem razem, pędzić, nie zwracając przytem zbytnej uwagi, jako że strój zmienili, ubrawszy się w szaty Bandurowych synów, i co lepszej czeladzi, a zostawiwszy własne na pamiątkę...

Tylko mądry sługa Derena, jego szaty zdołał w tłumoku zabrać, co oczywiście oddało potem należne usługi synowi Baszy.

Bandura zjechał, i zastał lament oraz nieoczekiwaną niespodziankę. Wraz z synami pognali w stronę Tarnopola, ale tam też nie wiele wskórali, a tylko rozgłosili, że Deren uprowadził ich córkę.

Wrócili zpowrotem, postanowiwszy z innej strony szukać pomocy. Oto poselstwo miało — jak słyszeli w Tarnopolu, za tydzień jechać do Turcji, więc z niem udadzą się po córkę, względnie jak Bandura mówił: „po sprawiedliwość!“ — — —

W taki, obumarły po wypadku i bólu, dom, zapukał szarą godziną, wysłannik — swat Pawlenki, Hleszczawa...

Stary swat, omało, że nie oniemiał z fatalnego obrotu rzeczy! Wszak nigdy tak mu się nie przydarzyło, by wracał z okrutną dla młodego wiadomością, iż jego oko i serce, zostało tak strasznie wprost wyrwane...

Więc tylko, że wyciągnął nogi z podróży, by prześpawszy się, wracać do Pawlenki, aby ten może znalazł sposób, czy odnalazł Oleńkę, choćby w sercu piekła...

Wracał szybko, aż go dławilo, boć to sforsowanie wcale niemłodemu Hleszczawie dokuczyło, ale co począć?

Nigdzie nie wstępował, a co mu dali u Bandurów, jakby na pustelnicze życie, starczyło mu, że jakoś nie czuł potrzeby, aby wstępować gdziekolwiek. Odpoczywał na kamieniu, lub koło przydrożnych studni, by się wody napić...

Spotkał nagle lirnika, widać nie ślepego, ale kulawego.

— Bóg i święty Jan z wami! ojcie — dziadku!

— A z wami Matka Najświętsza i Synek Jej Najmilszy! dokąd droga? — krząkał lirnik.

— Daleko, ale z ciężkiem sercem, więc też przedłuża się!

— Więc bólem obciążone plecy, zamiast podarkami...

— O! tak, dzidku, ale, choć też mi swatem wypadło iść, a wracać z wieścią, że narzeczoną ukradli...

— Komu! czy Bandurze?

— To wiecie! — tak, jakby, istotnie Hleszczawa myślał, iż on tylko o tem wie! — odrzekł zdziwiony.

— Wiemy! my tu we wsiach słyszeli, to jest moi ludzie, a ja, zda mi się, widziałem uciekających...

— Mówcie, gdzie i kiedy?

— O! już cztery doby, jak pędzili nad Seretem, a potem zniknęli w stepie...

Lecz lirnik usiadł, a Hleszczawie, coś darło wprost myśli, by nie ustawać; przemógł nawet ciekawość i jął się żegnać z lirnikiem.

— A gdy ta będziecie w domu, powiedzcie narzeczonemu, aby południem szukał, a może dogoni tych, którzy uciekli z Bandurówną...

— Powiem! a tu za dobrą, choć późną wiadomość!

— Zapłać Bóg wam i temu, który zna też serce dla drugich, niechaj utracone znajdzie!

Cóż się Hleszczawie wydał nienazbyt dziadem ten lirnik, ale, nie rozważając tajemnicy, ani też szukając w podejrzeniach, szedł, aby coprędzej stanąć przed Pawlenką!

I, gdy już świtało, nucąc pieśń poranną, dochodził ku tej samej drodze naprzelaj, od Mysłowskiego, na której spotkał owych jeźdźców, a wtem z nad jaru zobaczył cwałującego Pawlenkę.

Spotkanie ich było nieme!

Wtem Pawlenko, widząc, że Hleszczawa za długo ukrywa tajemnicę, niemal krzyknął: — Co, czy nie żyje?

— Ukradł ją Deren. — — —

Pawlenko, omal, że nie runął z przerażenia, aliści, że w nim zaraz coś spotęgowało, jakby myśl z przeciwnego bieguna, siłę, więc stanął:

— Muszę ją odszukać! Wracajcie i powiedzcie, zem pojechał w pościgu za Bandurówną!

— Nie szalej bracie! Bandura z poselstwem pojedzie i odbierze ją!

— Ja przedtem, bodaj zobaczę! Znam drogę do Turcji a po drodze i Derena znajde!

Uściskał, niemal całował Hleszczawę, a potem zrobiwszy potrójny znak krzyża, wsiadł zpowrotem, pędząc, że go niebawem stracił z ócz Hleszczawa.

Step rozległy, jakżesz się wydał ponurym Hleszczawie! Stado wron z dali obsiadło dokoła najwidoczniej ścierwo, a wcale nie lękały się Hleszczawy, który obok nich przechodził, zaciekawiony ich sejmikiem... Tymczasem była to ich ucztą; rozrywały dziobami konia, najwidoczniej postrzelonego...

Hleszczawa, coraz to uważniej się przypatrywał, jakby chciał w zwierzęcym trupie odszukać znajome mu zwierzę: istotnie widział tego konia! Ten sam, na którym ongi jechał jeździec, ów niemy, w drodze do Mysłowskiego...

Musiał, widocznie napadnięty, stracić konia, a sam albo ująć, albo dostać się w czyjeś ręce... Lecz za koniem ślady, jakby dwóch jeźdźców; szedł Hleszczawa teraz, mniemając, że go zawiodą ku rozwiązaniu zagadki, lecz za jarem zginął ślad, jako że po wilgotnej ziemi, urodzajnej a zbyt miękkiej, zatarł się wraz z jeźdźcami, którzy tutaj zboczyli w niewiadomą stronę, aby zapewne zmylić wszelkie tropy za sobą... Hleszczawa, nieco tem zaciekawiony, ale i losem Pawlenki, przejęty porwaniem Bandurówniej, biadał, że w tej Rzeczypospolitej „zgubna wolność“, a jeno przypadek i fantazja tworzą życia koło, o ile braknie mu osi, łamie się i grzęźnie, a o ile ją zachowa, pędzi z djabelskim wozem ku przepaści...

Bo i czasy go też przejmowały! Od Tatarów nie śpi spokojnie granica, a Turczyn, zda się niedługo, a nawiedzi nasze granice, by znów siać ogień i spustoszenie dokoła... Wtem, tak rozważając nad losem Rzeczypospolitej i wypadkami dokoła, dotarł do trembowelskiego zamku, do miasta..., którego mury zobaczył z dali w szarej mgle, która je oskrzydliła, niby anielską pieczę przed wrogiem pogańskim. — — —

V.

Stary to gród lacki, ta Trembowla!

Lubo Rusini lubią się szczyścić, że to ich, prastara twierdza, ale historycy ruscy, zarówno jak i najstarszy z nich Nestor, kronikarz i mnich z Ławry Peczerskiej w Kijowie, w swoim „Litopisie“ (kronice) twierdzi, że te kraje odwiecznie do Lachów należały, a Ilnicki (również pisarz ruski), zaliczył Trembowlę do lackich grodów, przez Włodzimierza Wielkiego w roku 981 na Po-

lakach zdobytych... A iluż śpiewało i gawędziło na lirach, pieśń:

„Trembowla, gród to lacki, stary,
 „Bronił Polszcę przed Tatarzy — — —
 „Choć po rusku tam mawiano,
 „Polskę w sercach jeno miano — — —

Jej dzieje i sława datują się pod skrzydłami Rzeczypospolitej, gdy król Władysław Jagiello, wydał sławny, sieradzki dyplom, mocą którego Trembowla uzyskała prawo magdeburskie, z tem, że w ważniejszych sprawach, udać się musi do Lwowa, gdzie wyrok „mądrzejszego i sławetniejszego grodu“, przyjmie, jakoby go sam Król Jegomość, wydał — — —

Wdzięczna Trembowla, za ten akt królewskiej łaski, pośpieszyła z pomocą, gdy to w 1410 wojowano z Krzyżakami, a Bartosz z Trembowli, odznaczywszy się zaszczytnie, uzyskał nowy akt łaski królewskiej, mocą którego mógł założyć nowe miasto w roku 1415...

Wiek XV zapisywał niemal z każdym dniem wzrost dwóch miast, po obydwu brzegach Gniezny; nadewszystko zyskiwała twierdza zamkowa na znaczeniu, jako że stała się obroną wyborną, przed nawałą tatarską.

W roku 1453, około Wielkiej Nocy, Tatarzy złupiwszy łucki i oleski powiat, uderzyli na Trembowłę. Aliści zaledwie Tatarzy pomyśleli o odwrocie, gdy na ich karki spadły polskie szablice, łup odebrali im wszystko, a rozgromiwszy, wyciąwszy w pień sporo pohaństwa, wrócili w triumfie do Trembowli.

W 16 lat później, gdy to trzema szlakami horda najechała rubieże tamtejsze, Rafał Jarosławski, na czele sił zamkowych, pod owy czas zgromadzonych z całej Rusi, odparł z pod murów Tatarów, którzy zdołali tylko czterdziestu jeńców wprowadzić.

A i gospodar moldawski, Stefan, najechał miasto w roku 1498, a wzięwszy snadnie jeńca, niepewny czy go doprowadzi do swojej ojczyzny, wyrznął — jako te barany — w Podhajcach...

„Riżał gospodar ludzi, jako te barany“...

śpiewał długo ślepy did, aby przypomnieć straszny rok 1498, o którym długo mówiono, jako krwawym...

Ludzie przywykli do „trwóg tatarskich“, boć stawały się one, jak zmiany księżyca na niebie, nieraz w tempie szybszem, aniżeli by sobie ktoś mógł wyobrazić w Rzeczypospolitej, gdzie spano w pieleszach, chadzano bez broni, a wiwatowano w beztrosce, niby to święte czasy złotego wieku, sprzyjały pokojowi — ale nie tu, w Trembowli, gdzie ledwie kur przepiał północ, a już pożoga krwawą luną zwiastowała najazd hordy i dzikiej pohańców watahy. — — —

Więc w roku 1515 z Perekopu wtargnęli Tatarzy. W liczbie przeszło dwóch tysięcy, gdy w Trembowli, że ledwo trzystu mogło tej nawale opór stawić! I tak, 13 marca, gdy w grodzie spano, nagle wrzask i swąd spalenizny zbudziły mieszkańców: Tatarzy, Tatarzy...

Nie zdołali do miasta wtargnąć, boć ich dzielnie odpierał hetman, Jan Tworowski, wiodący swój ród z Buczacza. Że zaś śmiały, jako i jego huf — był, wysiekli Tatarów do nogi, a ci, co uciekali, jeszcze ich chłopstwo dosięgło, by się z nimi zabawić do woli!

Nie zażnali i po tym wypadku, zaszczęśliwym, błogiego spokoju ludziska, gdyż w 1516 znowu czambuł tatarski, wcale sobie pokąźny, dotarł pod Trembowlę! Lecz go odparł walnie, Marcin Kamieniecki, wojewoda podolski, wraz ze Stanisławem Lanckorońskim...

W tymże samym roku, wojewoda krakowski, Krzysztof Szydłowiecki, z rycerstwem z całej Polski, poraził tak Tatarów pod Trembowlą, że długo o tem mówiono w Turcji, na Krymie, czy w Perekopie, jak to polski oręż niezwyciężony, a ufać fortelom nie zawsze można w Polsce, z całą głową...

Hej! a za pana Pretficza, co to życie spędził na czatach, a tak znał Tatarów, że jego nazwisko o lęk przyprawiało, iż truchleli, albo zgoła się poddawali, umocniła się granica Polski, a Trembowla spała, bodaj w tym czasie, w śnie bezpiecznych od najazdów hord, zaś długo powtarzano sobie:

„Za czasów Pretficza, spała od Tatar granica — —
Lecz zabrakło puklerza Trembowli, gdy sławetny Pretficz legł w grobie, toteż w 1575, najechawszy Tatarzy na Trembowłę, nie bojąc się „wielkiego starosty Bernarda“, boć go w ducha przemieniono, spalili Trembowłę, jako i wsie okoliczne, aże się pod Budzanowem oparli!

Potem, upozorowawszy swoim sposobem ucieczkę, cofnęli się istotnie, aby wrócić i zniemacka napaść na Trembowłę, którą zniszczyli, zaś wielu wyrznęli; nawet kroniki o tem milczą...

W latach 1618—1630 trapił Ruś Kantemir, a ten nieraz szczybił miecz na karkach trembowelskich, jakże ta twierdza zawsze solą w oku najeźdźcy, przecież trwała, by puklerz ze szczerej stali czynów i piersi trembowelskich ludzi, którzy nie znali, co ujęcie z pola walki, a tylko śmierć albo zwycięstwo. — — —

I to nietylko szlachta, która rzemiosło wojenne znała od kolebki niemal, aliści i włościanie, nieraz też się dzielnie stawili, okrom zdrajcy, Łażeczki, chłopca z Kobyłówek, który sprzedał swych braci Tatarom, wydawszy ich kryjówki, skąd aże 200 ludzi dostali, by w jassyr pędzić...

I w czasach kozackiej zawieruchy nie obeszło się bez rzezi i rabunku, gdy to chłopstwo zbuntowane, złupilo klasztor Karmelitów, a i zamek też splądrowali tak, że podobno wszystkie sprzęty poniszczyli, odznaczyli się w tej, wandalów godnej, sprawie mieszczanie ruscy, a z nimi popi: Kiryło, Teodor i Oleksa...

Ofiarą padli mieszczanie łańciskiego obrządku, a i też szlachty nie oszczędzili; Jerzego Piekarskiego sromotnie zamęczyli, rodzinę Stanisława Bieleckiego wyrznęli co do nogi, a w budzanowskim zamku szlachta, zdradzona przez Hawryłę Siemiginowskiego, męczona i katowana, wyzionęła ducha ku radości tłuszczu, zaś ci, którzy przetrwali katuszę, szli w Tatarów ręce, których, jakby chudobę, sprzedawali ruscy chłopci.

Obok ludzi, pastwiono się niemilosiernie nad wszelką kulturą, jaką tu wieki polskiego pługa, miecza, pióra,

pozostawiły... Chłopi, zobaczywszy akta ziemskie, jakby sępy na ścierwo, rzucili się aby je drzeć, krajać, a potem palić, oblawszy dobrze wódką, by te „lachów pysma“, coprędzej pożarł żarłoczny ogień, ku uciesze tańczących z kozakami, zbratanych ruskich chłopów.

Lecz wnet się Trembowła dźwignęła i już 8 lipca 1651 roku, stawiała mężnie czoło — pod wodzą Gabrjela Zamiechowskiego, komendanta zamku, który odnowił mury, cały zamek przywrócił do chwały lat minionych...

To też znowu spała granicą, a wraz z nią Trembowła, aby przetrwać same trwogi bez pożogi, bez krwi i niewoli — czasy, po rok 1655.

A odtąd — gdy to Turków zaczął gromić marszałek i hetman koronny, Jan Sobieski, Trembowła czuła skrzydła wielkiego rycerza, który tu w roku 1670, na polach Plebańskich, rozbił obóz...

Te dzieje spisywali mnisi klasztorni w swoich zapyśkach, aby kiedyś były dla potomnych kartą grodu chlubną i zaszczytną, że był tarczą i puklerzem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

IV.

Pawlenko pędził po odludnym stepie, nie dostrzegając nigdzie śladu stopy ludzkiej, ani końskiej. Zdało mu się, że może w głębi leśnej, lub wśród zarośli, natknie na ślad, to też zboczył, zwolniwszy biegu snadnie, w obawie, aby mu koń nie padł, skręcając w stronę lasu. Tam odpoczął, a że noc zapadała na stepie wcale szybko, postanowił tutaj przepędzić ją bezpiecznie, aniżeli na wolnem polu... Konia rozluźnił, a sam, zmęczony i głodny rzucił się na trawę, lecz po małej chwili — jakby głosy, zbudziło go coś niespodziewanie... Myślał, że las zalega cisza... Lecz nie na stepie, gdzie on jest zazwyczaj schronem ludzi i zwierząt! Zerwał się! Istotnie gdzieś w oddali dały się słyszeć głosy, potem rzenie koni, aż nagle wszystko ucichło. W mroku bał się odchodzić od konia, a też nie chciał go

dosiadać, to też, gdy znów cisza, niby schowana w głąb lasu, uskrzydliła go zpowrotem, wyciągnął się, jak przedtem i niespodzianie szybko zasnął...

Można go było wówczas nietylko swobodnie przenieść lub pozbawić życia, ale robić z nim, co by się komu tylko podobało... Zmęczenie, wzięwszy górę, od razu powali człowieka. Pawlenko, otulony mrokiem, zaś powalony zmęczeniem, wypoczywał na powietrzu, nie czując wokół żadnej zmiany, nawet, gdy dzień zaczął przenikać nawskróś ciszę i ciemną ustronń leśną... Aż krzyk ptactwa zdołał mu przypomnieć, że jawa dnia, nie pozwala na beztróskę snu, zresztą całonocnego. Obudził się z szalonym głodem... Jednak, co jeść, gdy tu, okrom liści i trawki, nic nie napotkał dookoła. Powoli, lubo zmęczenie brało górę jeszcze, z wysiłkiem dźwignął się, aby dosięść swojego konia i opuścić gospodę leśną, a szukać gdzieindziej, ludzkiej. Poczul, że posiada kieszkę, dobrze ukrytą w zanadrzu. A też i małą broń w rodzaju sztyletu, względnie noża... Tem się zupełnie nie zadowolnił, a marzył, aby przecież natrafić, bodaj na futor.

Zbaczając z drogi podleśnej, istotnie dojrzał w oddali futor. Z radością doń pędził, a że koń wypoczął, jak i jego pan, więc niedługo zmierzył drogę do upragnionego celu. Sad w głębi, którego ocieniały lasu resztki, okopany, a w tej zieleni, niby plama, dach, zresztą bardzo niskiej raczej szopy, aniżeli domu. Rów trzeba było przesadzić, aby się dostać na ścieżkę, a potem spotkać psy, ujadające na nieproszonego gościa.

Z nędznej, okrytej słomianym dachem wpół lepianki zapadłej, wyszedł rosły mężczyzna, podgolony, z posuwistym, zamaszystym krokiem, ku jadącemu.

— Czolem waszmości! witam w mojej nędznej, acz gościnnej szopie!

— Dzięki za dobre słowo i za tę chęć przyjęcia obcego — odrzekł, skłoniwszy się Pawlenko; zsiadł z konia, aby podejść ku, najwidoczniej szlachcicowi, który zmierzwszy Pawlenkę, wyciągnął, aczkolwiek z wyraźną nechęcią rękę, aby ucisnąć, ale nie jak brata

szlachcica, ile „gościa“, który bez różnicy, przecież był tutaj gościem.

— Skądżeż ta droga, aż do mojej ostoji! — spytał wynioślejsz szlachcic.

— Daruj Waszmość, że go najechałem, ałem zmęczony, a głodny, niczem ten pies, a że mi droga daleka, więc rad z gościnności, skorzystam i wypocznę, zaś kim jestem, niechcesz mi będzie wolno pod dachem powiedzieć — i skłonił się znów Pawlenko, na co szlachcic kiwnięciem raczył odpowiedzieć, ale zaraz odprowadził konia, a wróciwszy, jał teraz mówić: — Różni ludzie w stepie, a Waszmość, mi bardzo dziwnie wyglądasz? — — — chlusnął podejrzliwie na straszliwie powalanego błotem, Pawlenkę, który, leżąc nocą na ziemi, w lesie, oblepił się gliniastym namulem leśnym obficie.

Lecz wprowadził go w głąb, nie znów nędznej, jak z zewnętrznego wyglądu szopy, ale do wcale wygodnych izb, ozdobionych i kobiercami, gdzie zydle i ławy, stoły a nawet sepecik mały, świadczyły i o pewnem bogactwie. A był ci tam pawiment, lubo z desek, zaś z pod stropu zwieszala się wcale nienajzgorzszą meluzyna, okna z szybkami, tak, że Pawlenko zdumiał, gdy wygodnie rozsiadł się na ławie.

Niebawem wniósł gospodarz misy, dzbany, a potem chleb, suszone ryby i spore plastry miodu, obok gomólek sera i suszonych owoców. Nalał kubki, a podsuwając, rzekł nieco serdeczniej:

— Niewiem, kim jesteś, waszmość, ale, żeś gościem, więc rad mi i z duszy serca, obyś tylko nie odplacił się złem za dobre!

— Bóg mi świadkiem, jestem Pawlenko, syn kmieci, a droga mi w pogoni za porwaną córką Bandury!

— Widzę, żeś szczerze powiedział, bo wzrok utopiłeś we mnie, dotarłszy myślami do serca, niechże ci Bóg da, abyś córkę Bandury odszukał, co zasie w stepie trudnem, ale u Wszechmogącego wszystko i na stepie możliwem! Więc chylę na Waści zdrowie i na życzenie jego!

— Dzięki, a że nie taję niczego, niech mi będzie wolno, na moją religję i krzyż święty przysiąc!

— Bójże się Waszmość Boga i tego nie chcę, wierzę, jako każdemu szlacheckiemu słowu, chociaż nie znam Waszmości herbu, ani też rodziny.

— Ponom ze szlachty ruskiej, jeno już schłopiałej, zubożalej. Pił teraz Pawlenko, niczem gospodarz, co świadczyło, iż musiał istotnie mieć znaczniejsze, a nie chamskie podniebienie, a i łeb wcale mocny, gdyż już trzeci dzban, jaki napelniał gospodarz, wypili do dna, i zjedli wszystko, co na stole było.

Ale już też milczeć zaczął, co, widząc szlachcic, jął go nieco i trącać, zaś nie mając dowodów rzeźkości, ile raczej zmęczenia, czy też może jakiego usposobienia melancholika, więc podjął go pod ramię i odprowadził ku ławie, a tam ułożył, jak dziecko do snu, okrywszy go wielką skórą niedźwiedzią, czy wielbłądzią, bo nieodgadnąłby przebudzony Pawlenko, i tak zresztą nie znający się na jakości skór... Teraz chrapnął, to znów kichnął, aż otulony, zasnął. Szlachcic wysunął się, aby go zostawić ciszy i samotności.

— Śpijże Ruski szlachcicu i marz sobie o Laszce, którą ci widocznie znaczniejszy od ciebie kawaler, sprzątnął, a ja za ten czas upoluję może, abyśmy mieli, coś godnego spożyć... — prawił do siebie Grabowski, którego losy rzuciły na dół tego futornika, choć w samotności, ale zawsze szczęśliwą, gdyż zdołał tu już dwadzieścia lat sobie przeżyć, nie doznawszy losu strasznej — jak na stepie, doli, wśród mieczów i ognia, lub, co gorsza, w ustawicznym lęku przed napadem. Jakoś omijano go, może z tego powodu, iż był nie przy trakcie, ale na drodze, którą jeno tacy, jak Pawlenko, lub bardzo zbląkani, przebywali, aby doń zaglądnąć...

Futor, a raczej jego mieszkanie, z zewnątrz, jak szopa, nie budziła ciekawości, więc i wróg, o ile tu zboczył, nie kwapił się, aby dotrzeć i może, z zapłotka otrzymać kulą, zamiast zdobyczy. Czambuły zaś nigdy nie szukały pojedynczego lichego futuru... Stąd Grabowski, jakoże samotny, wcale nie czuł tutaj pustki, boć często

ktoś ze znajomych go nie ominął, a nieproszony, chyba w rodzaju Pawleki, z konieczności zawitał. Z Pawlenki był wcale rad! Przecież, gdy wypocznie, coś mu opowie, a może i o wojnie, na którą myślał Grabowski się wybrać, gdyż znudziło mu się pustelnicze życie, więc po weselszą kulę chciał iść naprzekór lat i kiepskim nogom... A bo ta miał ślub uczynić, że za winy, odpokutuje, nietylko w pustelni, ale i na wojnie... Za ojczyznę, której się dość za młodu dał we znaki.

Lecz nie pora, aby wydobywać z lamusa wspomnień, różne obrazki, które go trapiły, nieraz w samotności, gdy wieczorami leżał w swoich kilku izbach, mając u nóg strzelbę, a charcica, jaką dziwnym trafem w lesie spotkał, czuwała, by panu oznajmić każdy szmer, lub zbytne szczekanie psów. Teraz, spokojny, o towarzysza, czy gościa, dosiadł konia, aby w stepie nieco ulżyć naturze, którą przecież rwało w świat, a tylko, jakaś tajemnicza siła zniewoliła, aby tutaj więcej dumać, aniżeli się kumać z niebezpieczeństwami. I tak nieraz ich szukał, ale napróżno... Więc wracał do siebie, i tam się z myślami mozolił, lub często tak zamęczał, iż był bliskim obłędu, ale znów step go leczył i wracał, względnie bujał po nim — aby zapomnieć, iż jest, jak zakonnik, lub więzień w tej swojej chacie...

— Ej, mości Grabowski, nie trzeba było tak szaleć... nie trzeba ci było się zakochać, ale służyć, jako że miałeś być duchowną osobą, Bogu, a miałbyś teraz godność kardynała, lub bodaj biskupa...

A tak jęcz i hasaj znów w stepie, to biczuj myślami własne życie, albo je rozwijaj na dalekich polach, niby te nici pajęczce w oczeretach na cierniach nie mające długiego spokoju nigdy, bo cierń je szybko rwie, a wicher niesie wdal, by ginęły — rozdarłe na części.

Zamknięty Pawlenko zaczął się trząść, niby osiki liście... Rozebrała go febra; leżąc na ziemi wilgotnej, zgrzany i zmęczony, dostał jej, pomimo zahartowania... Widocznie, że go coś może i zmogło, w rodzaju chorób, jakie na stepie często powalały i ludzi, jak dęby, aby je trzymać nieraz i długi czas w niemocy. Zaczął maja-

czyć... Zerwał się, by runąć jak długi na ziemię, to znów chciał uciekać, ale zawałona izba sprzętami, wprost go usidliła... Więc runął zpowrotem, ale już bez pamięci i przytomności, a tylko, drżąc na całym ciele, trząsał się i bezwiednie przewracał. Zmogło go wkońcu to szamotanie się, więc nieco uspokoiwszy pozornie wnętrze, w gorączce znów zaczął majaczyć, szamotać się, aby wkońcu zasnąć...

Niebawem pod wpływem snu, w którym widział Bandurównę w objęciach Derena, zerwał się Pawlenko, ale poto, aby znów trząść się w niemocy i leżeć wyprężony, to znów się rzucać w kurczach i drganiach konwulsyjnych. Choroba i ból duszy pod wpływem snu, zatrzęsły nim, aby teraz nim miotać, niczem listkiem po stepie, gdy go wichur porwie i niesie, to znów rzuca na wszystkie strony...

Zaczął krzyczeć, to znowu coś mówić, niby skomleć, prosić... Lecz nie trwało to długo. Sen go znów zmorzył. Ale teraz przyszła wizja: Bandurówna leżała skępowana, jęcząc cicho o pomoc... Więc co miał mocy, zerwał się ze ziemi, by jej ulżyć, jął teraz gryźć palce, znów rwać sobie włosy, aby, tak nieco wyczerpany, odpocząć... Sapał, a potem zaczął płakać...

Nieoczekiwanie wszedł Grabowski. Przy zachodzącym słońcu zobaczył towarzysza-gościa na ziemi. Podszedł, a widząc jego blade oblicze, jął teraz się wsluchiwać w płacz, a potem w oddech... O! coś go zmożyło! Biedaku, golniesz nieco silniejszej gorzalki i nic ci nie będzie... Trzeba cię ratować...

— W imię Boże

Podszedł do alkierzyka, czy też lamusika, skrzesał ognia, aby wyciągnąć właściwą flaszę. Nalał kubek setny, a nachyliwszy się nad Pawlenką, lał go, rad, że chłopce i to wcale grzecznie...

Jeżeliś nie lżył, iż jesteś z ruskiej szlachty, nic ci nie będzie... ileżto razy wyleczyła mię ta ostra lekarka... Ale więcej już ci nie dam... i głowę obwiążę i oczy, byś tak przeleżał, a rano cię ocucę, choćby wiadrem wody...

Grabowski ciągle mówił, nawykłszy do tej jedynej możliwości nie zapomnienia języka w gardle. Wszak tutaj, ilekroć miesiącami sam, li tylko z psami przeżywał chwile, gadał, co mu na język przypadło, a gdy go to sam na sam gadanie, bajanie, już i zmęczyło, wyjął książkę i niby czytając, śpiewał z pamięci wszystkie pieśni, aż znów zmęczony, ochrypli, odpoczywał, aby nazajutrz przemierzać stepy w najdalszą drogę bez kresu...

Ułożywszy potem gościa na wygodnem posłaniu, okrywszy go starannie, sam wyciągnął się nieco na ławie, aby za małą chwilę chrapnąć, że aż psy, strzegące dwóch panów, od czasu do czasu warczały lub niepokoiły się na takie głośnie chrapanie, które podobno wywoływało złudę w ciszy, że ktoś obcy się skrada... A podobno, że na stepie ciągle się włóczą duchy, których psi węch snadniej zwęszy i oznajmia warczeniem ich obecność... Wobec śpiących mogły całem stadem tutaj sobie hasać, bo Grabowski i Pawlenko spali, nie wiedząc zgoła nic o Bożym świecie... Rano, jak tylko pierwszy brzask wdarł się do wnętrza, zerwał się Grabowski. Zrobiwszy znak krzyża na piersiach i uderzywszy się w piersi, a i w czoło podszedł, wymawiając półgłosem słowa modlitwy ku Pawlence. Ten leżał w gorączce, a raczej w potach po niej.

— Żle, widocznie cię zmoгло coś gorszego, skoro ci moja apteczka nie pomogła. Ale spróbujemy jeszcze jej rady wtórej...

I zowu czarękę pełną wlał Pawlence...

Ten nieoczekiwanie otwarł oczy, gdyż i światło jaśniejszego dnia się zakradło, lecz niebawem jęknął, stęknął, opadłszy, niby bezwładny.

— Ano! miły bracie, poleżysz, odleżysz i odmierzysz spoczynku chwilę, aż wstaniesz zdrow, by leczyć drugą chorobę... — pomyślał również głośno, jak zazwyczaj, Grabowski.

Zaczął się krzątać po swoich kątach, wyszukał sporo różnych ziół, jakie miał ułożone w drewnianych skrytkach w rodzaju szafy, oceniał ich wartość powonieniem, niektóre językiem, wreszcie, zebrawszy ich dobrą garść,

stał palcami. Wyszukał naczynie w rodzaju garnka, tam wsypał zióła i roznieciwszy ogień, uwarzył choremu lekarstwo. A kiedy nieco ostygło, wlewał z tej samej czarki w usta Pawlence, aż ten się dławił, pijąc mimo wszystko. Tak trzy razy w tym dniu leczył gościa, w najlepszej wierze, że ostatni środek musi mu przywrócić zdrowie. A miał w tem i pewne zadowolenie. Przypomniały mu się czasy, jeszcze w domu rodzicielskim, gdy podobnie z rozmaitemi zaklęciami dawał pić różne odwary znachor, czy też lekarz, podobno żyd z pochodzenia, znający tę sztukę w okolicy, a uchodzący za niezwykłego człowieka — czarownika... Zióła te poznał tu na stepie. Nauczyli go tej sztuki przyprawiania z nich lekarstw lirnicy lub wędrowni znachorzy, którzy często przemierzali step, nibyto w różnych celach swojej włóczęgi...

I tak trzy dni z rzędu leczył, aż wyleczył Pawlenkę Grabowski, boć w czwartym dniu przetał Pawlenko oczysam i jął się pytać, co się z nim działo?

— Byłeś ta bracie w ciężkiej opresji, a w jakiej nieraz człowieka czort trzyma; na szczęście byłeś tylko trzy dni w jego mocy.

— To, dziękuję tylko Waszmości, bobym chyba musiał djabłu duszę oddać... jąkał się Pawlenko, a mówił, jakby po chorobie odzyskał mowę nie ruską, ale wcale dobrą, polską.

— Ale nie radzę wybierać się w drogę, aby się nie przydarzyło coś gorszego... U mnie przebyć można wygodnie, więc i mnie będzie weselej, że nie jestem pustelnikiem...

Pawlenko tylko uśmiechem i kiwnięciem głowy dał odpowiedź, gdyż nie mógł się zdobyć na słowa. Z wysiłkiem chciał się dźwignąć, ale nie mógł, to też zsunął się wgląd i zasnął. Wypawszy się do syta, wypociwszy, a pochłonawszy kilkanaście czarek grzanych ziół i naprzemian mocnej wódki, Pawlenko przychodził do zdrowia; wracały siły, a pewna chęć wynurzenia się przed tak serdecznym gospodarzem. Ostatecznie liczył, że mu Grabowski i coś dopomóc może w odnalezieniu

Derena lub dotarcia bodaj do kryjówki. Wszak kochał Bandurównę gorącą duszą uczuć syna stepu, a i ambicja zaczęła go drażnić, że mu ją obcy z pod nosa uwiódł. Kiedy nazajutrz wrócił Grabowski ze swojej zwyczajnej wędrówki-gonitwy, zastał Pawlenkę, siedzącego przy stole i wcale ruszającego się nieźle o własnych nogach, które coprawda trzęsły się jeszcze, dźwigając spory ciężar rosłego junaka. Chciał powstać, aby powitać Grabowskiego, ale ten objął go serdecznie:

— Dobrze, że waszmość siedzisz, żeś się już ruszył, co znakiem, iż ci choroba nic nie nadwyreżyła w lędźwiach, kościach i mięśniach... No, teraz nieco innego trunku przypić się należy!

Wydobył zacny, omszały gąsior, gdzieś z tajemnego ukrycia, a tak okazały, iż Pawlenko zaczął podejrywać, że tu Grabowski posiada i niezłą piwnicę.

— O! mości gościu! jakoś ta Bóg nie zapomniał o szlachcicu, skazywanym na tulaczkę czy tę pustelnika dolę, jakąbym bez tej flaszki przeklął, a tak — jak mię widzisz, chwałę i wcale nienajgorzej cię podejmuje...

Również znalazły się i suchary, jakie zmoczył Grabowski gościowi, aby ten je łatwiej zjeść mógł. Pawlence rozwiązał się język i jał mówić: — Wdzięcznym jest za te Waszmości troski i gdyby nie traf, iż tu z lasu skierowałem mojego konia, byłbym niewątpliwie zginał, albo w lesie, albo dostawszy się w ręce lotrzyków, jakich tu nie brak... Choć mi wszystko jedno, kiedym utracił skarb... — I zamyślił się, zadumał Pawlenko, aż się żał Grabowskiemu zrobiło.

— Da Bóg, że jeszcze nie przepadła! Niejedną ci ukradli, więzili, a wróciła do tego, komu ją Bóg Wszchemocny przeznaczył... Nie trzeba biadać, gdy się nadziei nie straciło, boć inaczej i nadzieja wpadnie, jak w ten głuchy step, bez wieści...

— Ej! obym tylko nie został bez nadziei, bo mię takie sny tu trapiły, iżem onę do reszty, jakby zatracił... Ale szukać jej będę, póki żyw we mnie duch i krzepkie członki nie opuszczą mię, jako oto tutaj, u Waszmości...

Ej! Olenka, moja luba... goni cię myśl ma, tyś już moja może zguba... Ej, Olenka moja luba...

— Słyszę, że z Waszmości i śpiewak, szkoda, że u mnie niema żadnej liry, bo pewnie i w struny waszmość uderza...

— Oj! grałbym i noc całą, aby zapomnieć, jak to boli, jak to kole, i w żaden sposób nie ustaje... Oj!...

I znowuż Pawlenko dumiał, a Grabowskiego też jakoweś myśli pokrewne niby pajęczyna muchę, jak zdobywcz usidlili, boć i on miał taką Olenkę, a tylko nie w stepie, lecz w Rzeczypospolitej dla niego przepadła..., lubo nie drogą porwania, ile, że sama nie chciała go, a on naprzekór o mało, że nie zginął, a poturbowawszy wielu, zabiwszy też kilku zuchów, uciekł, aby się wyrzec szczęścia, ale też nie dać się złapać za swoją fantazję... I teraz w stepie hasał lub pokutował za tę fantazję...

I gdyby nie chęć złożenia ofiary ojczyźnie, aby zmazać srogą winę, a okryć pierś znakiem triumfu, jak jego przodkowie, a nie hańbą splamić ród swój, umknąłby z tej pustelni, aby Pawlence towarzyszyć, nie tyle z współczucia, ile z fantazji, która już rwała się w starym synie stepu, aby go przemierzyć do krańców, aby w nim znów szukać przygód, bo te, w cichej, beztrwójnej pustelni, dnie już mu zupełnie omierzyły...

Lecz Grabowski zdołał już i okielzać zbytnią fantazję, zdołał się tutaj przemienić w człowieka woli, którą kierował rozum, a tylko ten rodzaj starej nawyczki, tak go na chwilę uspokoił, by jednak wnet hamować zapędy nie na czasie...

Rad z pobytu Pawlenki, wcale go nie naglił; owszem zalecał gorąco jeszcze przetrwać czas jakiś u niego, aby mógł wypocząć i: „zgoła wypędzić chorobę przed siebie“, żeby go więcej w stepie, czy wogóle w życiu nie szukała... Pawlenko słuchał gospodarza, a tembardziej, że poznał w nim szlachcica gościnnego i znów nie tak stroniącego od nieherbowych, lub niewyraźnych ludzi, jak inna szlachta, nawet go pokochał i gotówby mu służyć tu, na stepie, gdyby nie ta chęć dotarcia do siedziby Derena i bodaj raz w życiu jeszcze zobaczenia Olenki...

Przychodząc do zdrowia, dzień po dniu, a już się wybierał, aż nakoniec wraz z Grabowskim, który go postanowił jak najdalej odprowadzić, wyjechali świtem pięknego słonecznego ranka.

Grabowski witał dzień pieśnią, a Pawlenko mamrotaniem też pacierzy, aczkolwiek czuł, że mu się i modlić nie chce, czy może nie jest w stanie, gdyż go dziwna tęsknota, nieokreślona, jakby za gardło schwyciła, iż prawie, że niemy, towarzyszył raczej, aniżeli sam torował drogę własnym myślom i celowi, zgoła innemi, aniżeli towarzyszący Grabowski, którego fantazja niosła z tym Pawlenką...

VI.

Deren, czując nad wyraz zmęczenie nieopisane, rzucił się na tapczan, jaki zastał w futorze, gdzie musiał nareszcie po trzytygodniowej ucieczce po stepie odpocząć.

Właściciela, jako że bronił się, usiekła jego służba zastawszy ponadto głupkowatego sługę, który niebawem znikł, a pomimo poszukiwań, jakby rozplynął się w białych mgłach, hen za jarem; to też nie kwapiono się, aby go nadal szukać... Najlepszą komorę, jak mogli słudzy, tak ją oporzadzili, zdoławszy uczynić bodaj pozornie mieszkaniem, choć na to zgoła nie zasługiwała! Tam odpoczywała Oleńka Bandurówna, a biedny Deren, niby wierny z najwierniejszych, to śpiewał, to znosił, co jego towarzysze-słudzy mogli w tym stepie wydobyć „cudem“, aby jej, bodaj w myśli kochanka, na niczem nie zbywało. Kiedy go przejmował lęk o jej życie, bo leżała blada, kładł wodę na jej głowę, to znów przygotował zioła najrozmaitsze, jakie mu zalecił wierny Luilkasim, znający też nieco i język polski, więc służący jako tłumacz parze zakochanej.

Luilkasim wkońcu orzekł, że byłby aszemaogha, to jest najgorszym kłamcą, gdyby mu nie powiedział prawdy, a obecnie jaką mu wyznaje, że piękna róża,

a najpiękniejsza w sadzie wielkiego Derena, nie uschnie, ale rozwinie się w cudny kwiat, jaki zna Gulistan.

I bo też Bandurówna przychodziła do siebie; rumieniec wracał jej i krasa w pełnej okazałości tego piękna, jakiem ją obdarzyła natura, a oswoiwszy się nieco z losem, ostatecznie wiedziała, że jej się nic złego nie stanie, ze strony kochanka i jego wiernej służby. Pewne oburzenie ukryła narazie, okazując pewną wyższość, czuła, że pomimo tego Deren gotów jej we wszystkim dogodzić.

On przysiadł koło jej łoża, wcale wygodnego, gdyż zasłanego co najlepszymi pokrowcami, dywanami i kudłatymi skórami, nucił jej cicho miłosne pieśni, lub wołał najwierniejszego Luilkasima, aby tłumaczył lub w tajemnie oznajmiał wolę pięknej Laszki.

Wieczorem czuwali wszyscy niemal, nadewszystko Deren, aby nie dostać się w ręce „Lachów“ lub Tatarów, boć i ci ostatni, chętniejby ich porwali, aniżeli im nawet w niebezpieczeństwie, pomogli.

Wieczorem, gdy słońko jeszcze rzucało złote blaski ze swojej dali królewskiej, wszedł Deren z Luilkasimem i oznajmił Bandurównę, że jutro wyruszą: — Musimy, różo moja, dążyć coraz dalej, boć nie nazbyt bezpiecznym w pustkowiu trawić czas nadaremnie... A kiedy tłumacz to wyłożył „róży rozkwitniętej“, Olenka odrzekła cicho: — Czy wrócimy do domu ojca mego?

— Wprzód poznasz mój dom, a potem wrócimy, ukorzę się, a pewnie rodzic twój nie odepchnie mię — jako i ty, od twoich stóp...

Olenka nic nie odrzekła, a tylko łzy popłynęły jej z ocz.

Wówczas Deren zanucił cicho pieśń, gdy wtem wpadł rosły Kawen, który pilnował domu, oznajmiając, że w dali jakiś rycerz lub włóczęga stepowy pędził, a jakby konia ku futorowi skierował.

Deren z Luilkasimem wyszli za Kawenem, aby sprawdzić, czy prawdę ostatni mówił, oraz by się przygotować na przyjęcie nieproszonego gościa... Z mroków jednak nie można było dojrzeć, czy i gdzie ów jeździec...

Wówczas Deren, nie chcąc ewentualnie stracić kogoś z nielicznego orszaku, rzekł: — Bądźcie gotowi, a tymczasem, nie czekając dnia, ruszymy jarem dalej, zostawiając futor i tę nędzną lepiankę następcom...

Szybko i bez szemrań, gotowali się słudzy, a niespełna w pół godziny gotowi byli do drogi. Wszedł Deren do Oleńki, która smacznie spała. Lekko ją dotknął, a towarzyszący Luilkasim rzekł cicho, że muszą wyruszyć w dalszą drogę...

Nawpół przytomna, odrzekła: — Dziej się wola Boga! — a płacz, wcale tym razem głośny, dokończył czy stłumił resztę jej słów.

Deren otulił ją, a Luilkasim związał cały zapas okryć w jeden toból. Objął Deren Oleńkę i wyniósł ją lekko na dwór, gdzie czekał koń osiodłany, osadził swoją „rózę rozkwitniętą“, a sam ujął cugle, zaś dosiadłszy swego rumaka, ruszyli wszyscy cicho, mknąc wzdłuż jaru, bez najmniejszego szelestu, gdyż woda szumiała, miejscami w głośnych spadach, głuszac zupełnie tętent koni, mogących tamtędy swobodnie cwałować...

Noc i szum w jarze rzeki sprzyjały w ucieczce naszej beztrwożnej drużynie, lubo nie dostrzegła, że w ślad za nią skradał się ktoś niedostrzegalnie, prawie tuż za nimi... Lecz jar gościnny kończył się, gdyż niebawem zamknięta rzeka skalistemi brzegami, coraz to węższa i głębsza, zaczęła trwożyć naszych jeźdźców, więc zadecydowali wyjście na dalszą drogę — z jaru.

Z trudem przedarli się przez skały, z trudem zdołali też wyszukać drogę możliwą, gdyż gęste zarośla tamowały wszelką jazdę. Ale, że synom stepów nigdy na nim miejsca dogodnego i odpowiedniego w podróży nie zabraknie, więc też zdołali przebrnąć poprzez gęstwiny i znaleźć niebawem szeroką — jak morze rozlane od od brzegu po brzeg, przestrzeń trawiastą... Powoli nad nią i gwiazdy zaczęły wschodzić, a migotem jasnym nieco krzesać światła, że jeźdźcom otwarła się droga wcale wygodna i bezpieczna, bo widna i po drodze, niby podłodze... Jechali wolno, nie oglądając się poza siebie... Wtem znów Kawen, jadący na ostatku, dopędził Derena,

na przodzie pędzącego nieco, aby mu oznajmić, względnie wskazać, że ktoś ku nim się zbliża.

Istotnie od strony jaru, pozostającego poza nimi w odległości kilkumilowej (rzeczywiście była to przestrzeń nie więcej nad czterysta sążni, którą tu na stepie zwyczajne złudzenie nocą wydłużało w nieskończoność) jechał ktoś wolno, jakby nie zważał na nich, a tylko sam również odbywał podróż ku niewidomej dali.

Deren, dostrzegłszy jeźdźca, machnął ręką, a tylko kazał mu go śledzić i o bliższej odległości natychmiast powiadomić...

Dziwnem mu się wydało, że ktoś w pojedynkę — tak sobie, jakby gdzieś w gościnę jechał na tym stepie, gdzie od szeregu lat horda za hordą, wojsko za wojskiem przechodzi, łupi, grabieży lub umyka przed armją wielkiego bohatera polskiego, Sobieskiego, którego nazwisko nie obcem było i Derenowi...

— Może ktoś zbłąkany, więc nieźle byłoby języka zasięgnąć...

Ale i takiego się obawiał, lubo w przewodzie był liczebnym nad jednym... stanowczo. Poniechał wszelkiego zetknięcia się i przyspieszył nawet pędu, bo Bandurówna nieco stękała, czując się niezdrową, czy zbyt znękaną bądź co bądź niewygodami takiej podróży...

A tymczasem jeździec w oddali, jakby coś przemierzał wzrokiem, to znów rezygnował z zetknięcia się z oddziałem, czy tam ludźmi, wędrującymi sobie nocą po stepie! Raczej ich oglądał, czy śledził, aniżeli dopędzał lub też chciał wyminąć...

Coraz jaśniej, jakby budził zbliżającą się zorzę, niedaleki świt, w brzaskach jaśni porankowej. Deren, nie pamiętając wcale, że ktoś go śledzi, czy za nim jedzie, nachylał się ustawicznie ku Bandurówniej, a nie mogąc dowiedzieć się niczego, przywoływał od czasu do czasu Luilkasima, by ten mu tłumaczył jej wolę, a jego troskę o ukochaną różę...

Tak w blaskach świtu minęli sporą przestrzeń, skoro w dali zniknął już jar zupełnie, zresztą okryty

i mgłami, a które znów strzępił lekki wiatr, roznosząc je po całym stepie! A kiedy słońce przedarło się w blaskach, by je rozprószyć, niby strzały błyszczące dokoła, Deren wraz z towarzyszami-sługami, powitał je hymnem cichej melodji, widocznie milej uchu Oleńki, skoro rozpogodziło się jej oblicze i zdała się słuchać tonów obcej jej pieśni, ale przecież kojącej i los, i dolę, w jaką wpadła usidlona, aby poprzez tony pieśni o jednym i drugiej zapomnieć... Jechali najwidoczniej nie drogą, ale naprzelaj, gdyż nie było widać śladu żadnej stopy, okrom zajęcej lub innego zwierza. Stąd dziwniejszem, że za nimi ktoś mógł ślad w ślad postępować. Nieco to stropiło Derena.

Był na spotkanie przygotowany, lubo wolałby, aby się bez tego obeszło. Jak mógł, tak pędził lecz w zmagającym się cieple musiał zwalniać, a nawet całkiem powoli jechali... Woddali, chwilowo znikł jeździec, aby go z innej strony znów zobaczyli, on najwidoczniej okrążając, chciał w ten sposób znieczulić wzrok swoich, na przodzie jadących przyjaciół... Ludzie stepu znali się pod każdym względem, nadewszystko z wszelkich ruchów.

Niespokojny Kawen, nieco odbiegł od Derena i sług, aby raz rozedrzeć tajemnicę przed jeźdźcem. Zbliżał się, jakby już był odeń niedaleko, gdy wtem z przed oczu znikł mu zupełnie. Zaklął, bojąc się czy to nie duch, skoro tak przepadł naraz z przed oczu jego... Lęk go ogarnął, ale przewyciężył strach i pędził nieco w kierunku, skąd widział w oddali jeźdźca; naprózno: nie zobaczył nawet śladów na zdeptanej trawie! Znowu zaklął nawróciwszy, a w tem wprost z przeciwnej strony, okalał swobodnie jeździec ów, zarówno Derena ze swoimi, jak i jego, co wzmogło wiarę w Kawenie, iż musi to być jakiś duch zły, mający moc znikania z przed oczu, aby gdzieindziej się pokazać...

Już też pędził w kierunku Derena, aby mu oznajmić spostrzeżenie, gdy oglądnąwszy się, jakby dostrzegł jeźdźca, który niebawem znowu najspokojniej dążył w dawnej stronie... Oslupiał! Ale, by nie doznać gniewu

ze strony pana, zaniechał dociekania, czy pogoni, czy spotkania, a zbliżył się — zrównał z orszakiem. Znowu step zdawał się kończyć, a gęste zarośla wskazywały, że rzeka w tem miejscu. Powoli ku niej zdążali, gdyż i upał, zmęczenie, zaczęły się dawać we znaki. Zarośla rzuciły nieco cienia, ale i ten słabo chłodził, zaś cisza, bez poszumu, zaczęła niby palić, niby przejmować złowrogo, rój much i wprost chmary komarów, obok różnych rozgrzanych w słonecznym żywiole owadów, stawał się niepożądanym natrętem nietylko dla ludzi ale i dla zwierząt!

Musieli odpocząć! Na szczęście przepadł tajemniczy jeździec, a oswobodzeni odeń, Deren i słudzy, swobodnie się rozłożyli. Spiekli z trudem resztki strawy; Deren, że ledwie wziął do ust, zostawiając Olence, którą głód zmógł należycie. O źródle nie było mowy, zaś pragnienie należało zaspokoić. Więc Kawen poszedł szukać spadu, gdzieby można zaczerpnąć czystszej wody do picia.

Kiedy się nachylił, padł strzał. I byłby niechybnie go utrafił, lecz ten na szczęście swojej głowy, przechylwszy ją dostatecznie, uniknął strzału, a tylko z lekka osmalony odbiegł, aby wyrzec się i wody. Strzał posłyszeli i odpoczywający; natychmiast dosiedli koni, a szukając brodu, starannie się oglądali, ktoby ich atakował. Niezawodnie tajemniczy jeździec, który znów znikł w nadbrzeżnych zaroślach.

Dzięki brodowi niedalekiemu przebyli nurty rzeki, aby dopaść brzegu, a gdy minęli już bagniste długie drogi, najwidocznej znane, bo znaczone śladami, puścili się, docierając do drogi, wiodącej ku osiedlom ludzkim. Istotnie jakieś domy, czy dachy zamajaczyły, ale niekorzystnie dobre dla tych, którzy uciekają przed ludźmi. Nadomiar złego, jeździec znów wyłonił się, niby z pod ziemi, ale buńczuczniej teraz, lubo na długą metę, lecz tak, jakby chciał się zrównać z nimi.

— Co robić — spytał się Deren najwierniejszego z wiernych mu, Luilkasima.

— Pan wraz z trzema pojedzie dalej, a ja z Kawenem, dotrę do osiedli, aby nieco żywności wydostać... i oddał należyty ukłon, jak to czynił każdorazowo.

— A może lepiej, gdy wszyscy się udamy do samotnej na uboczu sadyby? — zaniepokojony nieco, rzekł Deren.

— Nigdy, wasza gwiazda mogłaby upaść w przestrzeń, jakiej się nie godzi, by wasza stopa ją dotknęła... — odparł kwiecicie Luilkasim.

— Więc niechże twoja rada i mądrość ócz oraz głowy nam dyktują.

— Nie moja rada, ni mądrość, a tylko troska i wpa-trzone w wasz los panie, serce moje, należące z głową moją do ciebie!

— A co począć z tym oto zawalidrogą? — wskazał na jeźdźca.

— Tego miecz tylko powalić zdoła, bo to nam wcale nieprzychylny człowiek, który o mały włos, że nie strącił w czeluści Kawena. Spotkamy go niebawem, gdyż kto kogo szuka, raczej znajdzie, aniżeli zgubi ślad jego...

— Owóż jedź, panie, a ja zbiorę, by zapelnąć sakwy, aby róża twoja i ty, wielki, słoneczny, nie doznali ubytku, gdym ja przy waszej stopie, najwierniejszy z wiernych.

— Idź w szczęśliwe ostepy, a wracaj, jako ten Arab syty z perłami.

Deren istotnie minął parę niby domów, jakby tworzących stanicę wojskową, a że jechał wolno, więc nie doznał żadnej przeszkody.

Tymczasem Luilkasim podjechał ku rodzajowi bramy, a stuknąwszy głośno posłyszał psy, a niebawem zobaczył człowieka z brodą siwą, który coś rzekł: — Kogo witają moje niskie, wcale niskie progi?

— Swojego, lubo z obcej ziemi! odrzekł wcale dobrą polszczyzną.

— Niech i tak będzie! — rozwarł wrota, a obaj wjechali: Luilkasim i Kawen. Za kiesę złota wydobyli nieco chleba i trochę wina, a nadto kilka plastrów miodu. Pożegnali coprędzej sędziwego właściciela, aby odejść, dosiąść koni i pędzić za Derenem. Tuż za nimi

„tajemniczy jeździec“ wszedł, a raczej wjechał w oborę, czy poza bramę sędziwego gospodarza.

Lecz nie długo zabawił, skoro zdolali go dostrzec, wyminawszy domy, Luilkasim i Kawen.

— To wróg! A przyjrzyjcie mu się druhu słonecznej drogi!

— Hej, na słońce, co nigdy nie zagaśnie, że skądś znana mi twarz...

— Czy nie z przygody, gdyśmy się w niewolę dostali...

— Tak! odrzekł Luilkasim, dostrzegłszy oblicze, o zgrozo: Pawlenki.

Nie z obawy przed Pawlenką, ale z radości odkrytej tajemnicy pędzili jeźdźcy, obarczeni obfitym zapasem, do Derena.

Ten wprost oniemiał, gdy usłyszał kim jest ten, tak tajemniczy, nie cień lecz człowiek wraz z cieniem, prześladowający ich od doby!

— Musimy jego drogę skrócić! — ozwał się, ochłonawszy snadnie.

— Powierz mi panie ten rozkaz, a spełnię go, niby w myśl życzeń waszego serca! — rzekł wierny Luilkasim.

— Nie godzi się tobie zacny i wierny, boć to ten, który pragnął mnie sprzątnąć z przed oczu Laszki, jeszcze w dniu pierwszym jej porwania.

Wezmę cię za tłumacza, aby wiedział z kim i o kogo się bić mamy!

— Nie będę się sprzeczał z wyższą mi wolą mego pana, więc tylko to, co mi rozkaże, uczynię!

Zdawszy opiekę nad Laszką, Kawenowi i wiernym jak psy gończe panu, sługom, Deren z Luilkasimem pościli ku Pawlence.

Niespodziewając się wcale takiego obrotu sprawy, wstrzymał konia, nie mając czasu na jakikolwiek plan, Pawlenko. Poznał odrazu Derena, więc tylko krzyknął: — Gdzie, niewierny, moja Oleńka?!

Luilkasim w lot przełożył, zresztą domyślnemu, co mogło zawierać takie zdanie w treści, Derenowi, a ten



odrzekł: — Nie czas, abyśmy dowodzili praw ku niej, a tylko miecz niech je rozstrzygnie! Tłumacz temu giaurowi!

Kiedy usłyszał Pawlenko, zawył boleśnie, a krzywą szablicę potrząsnawszy w powietrzu, przypadł do Derena, który mistrzowsko odparł atak. Dalsza walka była zmaganiem się Pawlenki, a odpieraniem w lot ślepych cięć Derena, aż znudzony taką bezowocną walką Deren, zmienił nagle, ściągnawszy cugle, położenie wobec przeciwnika i uderzywszy go w twarz, silnie ją rozplątał, tak, że zwałił się Pawlenko z konia.

— Tłumacz mu, że Olenka ze mną, a bez niego! — — —

Co żywo wrzasnął mu nad uchem Luilkasim, a niebawem, nie tracąc czasu, umknęli hyżo, zwłaszcza, że od strony zagród ktoś, a za tym, drugi i trzeci konny, ku nim zmierzali.

Deren z wiernym sługą, już dopadli swoich, aby teraz popędzić w chłodzie, a po miodzie, spożytym, wesoło i bez troski.

Trzej jeźdźcy, napotkawszy Pawlenkę z rozplątą twarzą, zalanego krwią, przypadli doń, podnieśli go, a widząc, że dyszy, jeli coprędzej zabiegać, aby zatamować krew, zaś, wzięwszy go między konie, odwieźli, nie kwapiąc się wcale o tamtych, którzy zniknęli w oddali, niemal bez śladu, zdolawszy się ocienić gęstymi zaroślami, które bujne, nieraz już podobnych ocalały od oczu i pościgu, na tem bezpieczniejszem miejscu dla swawolnych synów stepu.

VII.

Było to późną jesienią roku pańskiego 1673. W Polsce trzeba było obrać nowego króla, gdyż schorowany król, Michał Korybut Wiśniowiecki, zmarł 10 listopada, kiedy to nazajutrz oręż Jana Sobieskiego, okrył się chwałą chocimskiego zwycięstwa, pokonawszy baszę Husseina tak sromotnie, że w ciągu dwóch godzin znik-

nęła doborowa armja turecka, a czterysta sztandarów i buńczuków wraz z zieloną chorągwią cesarską, obóz, działa, namioty i bogactwa, z jakimi wyruszali Turcy na podbój polskiego kraju, Lechistanu, stał się lupem wojska, które triumfowało z wodzem ukochanym, Janem Sobieskim...

Zwycięski wódz chciał wykorzystać tę glorię chochimską; ruszył też w głąb Mołdawji, ale 21 listopada, na wiadomość o skonie króla, musiał się cofnąć, aby wszyscy wzięli udział w elekcji nowego króla.

Elekcja króla odbyła się w zwykłej grze, gdzie wielu się klóci, tam jeden, z ubocza zwycięża. Sześciu kandydatów cudzoziemskich zmógł Jan Sobieskich, a dnia 21 maja 1674 roku wśród okrzyków: „Vivat król Jan“, dokonano jednomyślnie, nawet za zgodą opornego Paca, elekcji Sobieskiego na króla. Chocim utorował mu drogę do Korony, a król, lubo czekała nań koronacja i świetne przyjęcie w kraju, poniechał tego wszystkiego, by orężem okupić otrzymaną Koronę, zwłaszcza, że Turcy wcale nie myśleli o zwrocie Kamieńca Podolskiego, który był przeciw symbolem władzy Serenissimae Reipublicae na wschodnich rubieżach...

Radosnem sercem powitały wybór Sobieskiego królem Polski, jej rubieże, wschodnie kresy, które on zasłaniał puklerzem bohatera, a ocalał genjuszem, jakim go obdarzył Bóg i zesłał, by w dniach rozprężenia i już w onczas upadku Rzeczypospolitej, nie dał jej zginąć; ratując Kresy, ratował całość tak bardzo znękaney Ojczyzny...

— „Gdyby nie Jan III, nie byłoby Polski! a pewnie rozszarpaliby ją wrogowie: Turczyn z Tatarzynem, Moskwa w sukursie im, a cesarz niemiecki z chytrnym Brandenburczykiem, nie mówiąc o tych warchołach, zdrajcach, w łonie samej Rzeczypospolitej“ — mawiał ówczesny mąż stanu, a lud czcił wodza-króla, niczem dawnych Kazimierzów, Chrobrych, czy to z pamięci dobytých, czy to niedawno żyjących, jak króla Stefana Batorego...

Bo Sobieski był tym mocarzem, duchem-królem, wcielonym z genialnego człowieka, który umiał niejedną pokonać przeciwność, przed którą setki innych, dawno-by legło w pyle, on, z odwagą, by polski Aleksander Wielki, rwał wszelkie tamy, będąc naksztalt rzeki, gdy wzbierze w siłę fali, a nie zna przeszkód na swej drodze...

Sława wielkiego wodza, a nowego z obozu elekcyjnego króla, Jana Sobieskiego, dotarła i do Klasztoru OO. Karmelitów w Trembowli. Brat Symeon jeszcze przed trzema laty, czy czterema, opuścił klasztor w przebraniu, gdy to w pamiętnym roku 1651, w samą niedzielę czwartą po Wielkiej Nocy, Kozacy i Tatarzy, napadli na klasztor, a mnisi, przez dziewięć niedziel, zostawali pod grozą, że przyjdzie im wszystkim głowę położyć lub zginąć wśród męczarni, jakich im nigdy nie szczędziło kozactwo, ni też Tatarowie dzicy...

Brat Symeon, znający wybornie język tatarski, jako że wyrósł w niewoli jassyru, a tylko cudem powrócił w ojczyście progi, zaś za ocalenie, dziękując Bogu, wstąpił do klasztoru, teraz, przebrawszy się za Tatara, nibyto laził podle obozu, a zdolawszy wybadać pozycje nieprzyjaciół, zaniósł wiadomość do wojsk polskich, co uratowało niebawem klasztor i gród, Trembowlę.

Symeon nie wrócił atoli, lecz dziwnym trafem dotarł do Szczebrzeszyna, do ojców Franciszkanów, by tam służyć Bogu i oddawać swoje usługi Ojczyźnie, jako że znający Tatarów zwyczajem, nadewszystko język, mógł niejednokrotnie zdać się nietylko na tłumacza, ale i na badacza arkanów, częstokroć przedzierając się do obozu tatarskiego, narażał się, lecz zawsze szczęśliwie!

On też uczestniczył na radzie generalnej w dniu 23 listopada, kiedy to Sobieski tworzył nową konfederację szczebrzeszyńską, dzięki której w rok potem 1673, odniósł król, wówczas jeszcze hetman Sobieski, pamiętne w dziejach zwycięstwo chocimskie...

Był świadkiem Chocima, a z obozu króla posłem, skąd go ten wysłał do Trembowli, by przygotowano się tam godnie na nową wojnę, jaką miał stoczyć z wro-

w życiu zagrobowem!), na rozkaz, czy bodaj słowa wonczas hetmana, jako to było u OO. Franciszkanów, w Szczebrzeszynie, — umilkła, a korna, jako te baranki pod wodzą pasterza, słucha jeno jego rozkazów i wprost mu oddawała się pod opiekę, boć ci też król, a wonczas hetman, mówił, co pamiętam, jakbym codopiero usłyszał z ust jego: — „A że wojsko przy honorze i powadze mojej stawać obligowało, więc i ja wzajemnie przy interesach wojska i każdego, który się przy mnie stawać obligował, statecznie stawać będę“...

Potem byłem już — jakoże mię hetman wcielił do armji, mówiąc, że służę równie dobrze Bogu, gdy Ojczyznę wspieram w takiej opresji, z nim, a w wojnie pod Chocimem, napatrzyłem się, co miara może tylko ogarnąć okiem ludzkim, a snadnie rozumem po wszystko sięgnąć, że ci to wódz nad wodzami, słusznie by był i królem między królami...

Szedłem tam nieraz w przebraniu, zaś trzykrotnie uciekałem, bo wrogowie, jakoże więcej takich im sztuczek podejścia i zmylenia zgoła, iż ich, a nie polskiej armji żołnierzami, jesteśmy, zmiarkowali i nie chcieli mieć takich synów, zwąc ich sobaczem nasieniem o la-szej, czarцей krwi...

Po zwycięstwie roku pańskiego, który na wsze czasy zostanie w pamięci Polski, 1793, hetman, a dzisiejszy król nasz i pan wielki, nie mógł ścigać wroga, jako nam mówił, iż po granice Turcji, a nawet w ich kraju, chce się rozprawić z poganami, ale wracał na Sejm, gdzie — jako że świadkiem byłem, obrano go ku radości serc wszystkich, a nadewszystko tych, którzy patrzyli oczyma na tirumfy nieśmiertelne... A teraz oto śle mię król, abym niósł rozkazy do zamku, a ojca, czcigodnego Przeora naszego, prosił o przebaczenie, iżem się wymknął z posłuszeństwa, świadcząc się Bogiem, iż dla Jego Chwały, a Ojczyzny dobra, pełniłem tę powinność obywatela, który zasię i pod suknią duchowną, nosi obowiązek służby Bogu i Ojczyźnie na ziemi, jakoże i Chrystus nam każe miłować brata, któryż nad tego w ojczyźnie najbliższym jest.

— Tu błagam Cię, ojcze Przeorze, a teraz chcę jedynie klasztorowi służyć, a że wypadnie ciężka służba, więc i w porę nadchodzę. — Runął do kolan, a pogodny, wcale nie gniewny wyraz Przeora, znaczył, iż nietylko mu przebacza, ale w równej mierze chwali, że tak służył: Bogu i Ojczyźnie.

— Musimy się udać do refektarza, bo ci się i posilić należy, a tam, opowiesz wszystkim, gotując ich na cięższe czasy spokojną rozważą, jakożes uniósł doświadczenie lat krwawych, a okupione zwycięsko, może im wleje wiarę, że przetrwamy, skoro król, a wódz wielki, taką glorią się już okrył! — Jutro rychło świt, udasz się do zamku wraz z rozkazem!

Zeszli obydwaj, aby w refektarzu powitać zebranych. Starcy, młodzi, obok w sile wieku, zakonnicy, całowali ręce przeora, a z bratem Symeonem, w pozdrowieniach serdecznych się witali. Stary, wiekowy braciszek Gedeon, który podobno setkę dawno przekroczył, cieszył się jak dziecko, a z drugiej strony obok Symeona usiadłszy, łowił każde jego słowo, niby ten rybak, perły. Wszakci był Gedeon w młodości junakiem i rycerzem zawołanym, a teraz, lubo wiek nosił na barkach, odżyły w tej czerstwej naturze, wspomnienia, — jakby lat dwudziestu, trzydziestu, gdy on tu, za syna Pretficza, Jakóba, który w 1575 roku odpierał najazd tatarski, o mały włos, że nie dostał się w jassyr a tylko temu, że wpadł w studnię, gdzie na szczęście, trochę wody było, uratował sobie życie, a gdy dostali go zakonnicy, już nie opuszczał ich, aż po ten dzień żywota, który liczyli mu na sto piętnaście lat...

Śluchali też młodzi, którym często krew się burzyła, czekając by rozmowy modlitewne zamienić na okrzyk, a dopasawszy miecza, bić pohańców, jakoże i klasztor sukursów nie szczędził zamkowi, będąc poniekąd jego, wysuniętą przed wrogiem placówką...

A kiedy Symeon, już kroć razy powtarzał i odpowiadał na szereg zapytań, nagle braciszek Stanisław, szepnął mu coś do ucha!

— Ano i chorym trzeba użyzyć pomocy! Pozwólcie czcigodny Ojciec Przeorze, i wy bracia, bym też niósł ulgę — jak braciszek Stanisław szepcze, bardzo poranionemu, w jakiejś widać bitwie, bliźniemu...

— A któż to taki? — spytał Przeor.

— Przynieśli na noszach skrwawionego i mocno poturbowanego Pawlenkę, zaś Hleszczawa, znany tutaj swat, błaga, by mu nie odmówił brat Gedeon pomocy. — Wyłuszczył jeden z braciszków furtjanów.

— Idźcie bracie Symeonie, niech znają i tam twą sztukę, której się wyuczyłeś w latach wojennych, a my, módlmy się, gdyż godzi się przedewszystkiem dziękować Bogu za ten powrót szczęśliwy Symeona.

Śpiew zaintonowany, kończył modły, a bracia w milczeniu, ojcowie w żegnaniu, opuszczali refektarz. Przeor wraz z ojcami, udali się do wnętrza kościoła, by zwyczajem zakonnym, upaść na kolana w przybytku pańskim.

Symeon, aż się przeraził, gdy ujrzał Pawlenkę. Prawie, że twarzy widać mu nie było, czarna, zaskorupiała, by zastygła masą nabrzmień i puchliną dokoła, z poza której oczy, że ledwie punktami, usta zczerniałemi wargami, znaczyły swoje ślady, na tak zeszeconym do cna obliczu junaka... Obmywszy ją starannie naprzód wodą, a potem zgotowanemi ziołami, kazał brat Symeon okładać plastrami miodu, aż skłębnie, a gdy nieco wypogodzi wyraz sromoty, w przyrodzoną gębę człowieka i fysis jego właściwą, kazał Hleszczawie zmywać oto z ziół zrobionym odwarem, jaki i najszeptniejszą twarz zdoła przemienić w pierwotną...

— A skąd to pochodzi taka szrama? — spytał ciekawie Symeon, Hleszczawę, gdyż Pawlenko, nie mógł ni zębem ruszyć, a z trudem mu wlewano napoje, by nie upadł do szczętu ze sił.

— Dostał w przygodzie, broniąc skradzionej Bandurówniej.

— A któż to za kawaler, co skradł Bandurze córę?

— Syn pogański, ponoć jakiegoś wielmoży tatarskiego, zwą go Derenem.

— Coś mi się w oczach, w obrazach, przypomina... Pilnujcie go, bo rana ciężka, ale miód ją zmoże, że zniknie, zaś kawaler będzie potrzebny w niedalekiej obronie Trembowli...

Pożegnał brat Symeon Hleszczawę, który go obejmował za kolana, a potem wraz z czterema ludźmi ostrożnie zabrali Pawlenkę, by przy pochodniach zanieść już w ciemnej nocy do zagrody rodzinnej.

— To i tutaj ludzie dosyć nastawiali karków, a ten już i w przygodzie zaczęj, bo za białogłowę... pomyślał brat Symeon, a wpadłszy do świątyni, runął na ziemię, całując ją i dziękując w modłach z płaczem, że wrócił znów w te mury, które ukochał tak sercem i tyłu okupionemi przygodami żywota.

A kiedy opuszczał dom Pański, zdala echo nawoływań straży, rozległo się mącąc ciszę, to znów tętenty końskie oznajmiały, że na dalekim stepie wcale nie cisza, lecz zamęt, jak zwykle panuje; tam jedni jeżdżą, drudzy szukają szczęścia, a jeszcze inni, skradają się, aby ocenić wartość zamku, który niebawem będzie w ogniu dział wroga... Ten zamek, który tu trwał, niby twierdza twierdz, niby oczy Rzeczypospolitej czujne, patrzący na wroga równie odważnie, jak i te mury, pod którymi niejeden raz załamały się szyki nieprzyjaciół, a naprzekór ich, stał ten gród i patrzył, jak i oczy króla-bohatera: w przyszłość jasną, wielką — triumfalną...

VIII.

W mrocznym jeszcze zmierzchu porannym wstał brat Symeon, a odmówiwszy poranne modlitwy, corychlej opuścił klasztor, aby zanieść ważną wiadomość do zamku. Szedł dookoła, aby się przypatrzeć twierdzy zamkowej. Widać było, że gorączkowa praca uzupełnia jej braki, że mądra ręka kieruje nią, aby zabezpieczyć każde miejsce tej warowni, która corocznie niemal stawiała mężny opór, nieraz stokroć przewyższającej sile wroga. O! znał tu każdy kamień, brat Symeon, to też

witał go oczyma, rad, że nieusunięty, przetrwał, jak i on, aby służyć ku obronie... W zamku też już nie spano. Na obszernym dziedzińcu ćwiczone ludzi nowych, których zaciągnięto do załogi, w bocznych szopach płatnierz kuli broń, zbroice pancernym, tarcze, w zamkowych salach robiono naboje, zaś na wałach osadzono armaty, odczyszczone, które w pierwszych blaskach słońca drgały lśnieniami czystej jak złoto, miedzi i spiżu, mieniającego się tysiącem barw o tej porze. Za wałem, rośli jak dęby chłopcy, kopali rowy, fosy, a jeńcy tatarscy, wynosili i wywozili ziemię, aby nią zasypywać stare doły, gdzie należało uczynić przejście wygodne.

Chłop, mazur zacięty i sierzysty, wrzeszczał na tę chołotę tatarską, a obok niego Kozak, od czasu do czasu, przeciągał plecy jeńców batem, czy harapem, co wzmagalo w leniwych, małych tatarach, gorętszą chęć tak im obmierzłej pracy...

Sążnisty olbrzym, kanonier najwidoczniej, bo z twarzą osmaloną, jakby wyszedł z pożogi, cudem ocalony, przeglądał, lustrował działa, a dwóch chłopów, w mig spełniało jego rozkazy, zresztą ochoczo, bo to pewnie byli towarzysze z wojny, o czym świadczyły podobne ich oblicza, jak tego mistrza-puszkarza... Brat Symeon, poznał odrazu w puszkarzu, dzielnego Rogowskiego, toteż powitał go kordjalnie: — Mości Rogowski, a Bóg nas razem znów gwoli przyjaźni starej, łączy!

— To brat Symeon! a widzę, że wraca, a myśmy myśleli, że dawno poległ lub w Turcji czeka cudownego ocalenia! O chwała Bogu, że żyw i zdrowy! A do nas pewne z nowinami.

— Czy w zamku jest komendant? — spytał odrazu brat Symeon.

— Jest! ale pewnie nie wie brat Symeon,, że mamy nowego pana, w osobie cnego, walecznego, pułkownika Karczewskiego.

— Wiem ja ci, boć go sejm mianował, a ja mu tylko dalsze rozkazy przynoszę.

— O! to brat Symeon, jako ten poseł od królewskiej Mości!

— Ano, jakby i on, to jest sługa pokorny, a poseł, bo znający się nieco na sprawach wojskowych.

— Dobrze, że i słudzy Boży chętnie nam pomagają, boć i większe stąd błogosławieństwo i szczęście dla nas! — odrzekł z pochlebstwem Rogowski.

— Niech Bóg pomaga, a nieraz nam przyjdzie się zobaczyć, bo gorące nadejdą chwile na ten gród i to miasto, tak często nawiedzane przez wroga naszej Ojczyzny!

— W Bogu nadzieja, że przecież to wszystko przezwyciężymy, a o mnie pamiętajcie, braciszku Symeonie!

Teraz pędził Symeon ku głównej bramie.

Poznał, stojący przy bramie, Kozak, brata Symeona, to też odklonił mu się na jego ukłon, a potaknął, że pułkownik, IMCI Karczewski, już wstał i że można go o tej porze zastać.

Kozak wybiegł na górę, a wróciwszy rzekł po rusku, że pułkownik właśnie czeka na brata Symeona.

W sali narożnej, skąd z okien otwartych, widok na miasto, a i na zamek, może najpiękniejszy się roztaczał, okrom z okien wieży głównej, siedział na wysokim zydlu, wsparty o stół, na którym leżały różne części broni ówczesnej, smagły mężczyzna, z wąsem od ucha do ucha, , czarnej, jak heban barwy, wygolony, o oczach bystrych, znać, że to był zasię kawaler wielu przygód wojennych, ale i obyty, szlachcic, Karczewski, oboźny wojskowy i pułkownik dragonów, ale niezły też i artylerzysta, a rzadki znawca harmat, jakie od niedawna udoskonalił pan Kątski, a co wprowadzono ze skutkiem do starego autoramentu i dział trembowelskich.

— Witam i czołem zacnemu braciszкови, który to i służbą wojenną nie pogardził, a jako nas słuch nie mylił i odznaczył się — niczem najznakomitsi w tej Serenissimae Reipublicae!

— Sługa Boży służył i Ojczyźnie, którą Bóg nakażał nam, jako i obowiązki zakonne spełniać w miłości i poświęceniu, co też spełniłem z rozkazów Serca, gdzie

Bóg meszka prawych i znających officia (obowiązki) wszelkiej kondycji!

— A tak! widzę, że z Mości brata Symeona i mówca nielada, widzę, że kazał żołnierzom, jako i grzesznikom, na ambonie!

— I tak bywał! gdzie trzeba było, aby słowa pokornego sługi pełniły rozkazy, trzeba je było rzucać, gromić, czy prosić, a jakoś Bóg pozwolił, że skutecznymi radami były!

— No, mości bracie Symeonie, lecz musim ad rem przejść, gdyż wiem, co Was do mnie sprowadza.

— Oto pismo, a resztę waszmości, panie pułkowniku i komendancie objaśnię, jako mam rozkaz samego Króla Jegomości.

Tu położył arkusz przed zaciekawione oczy pułkownika, lecz ten, mając wzrok zepsuty, ozwał się: — Czytaj mości Symeonie, gdyż oczy moje, od jakiegoś czasu nie mogą dojrzeć liter, lubo wypisane gracko, ale nie mogą mi trafić w źrenicę...

Wziął zatem Symeon pismo i czytał głośno wyraźnie:

— „Mając na względzie ważność twierdzy w mieście Trembowli, która była ostatnia po Kamieńcu forteca, jest dzisiaj okiem w głowie Rzeczypospolitej, do której wrogowie nasi celować będą z całej pasji swojej, zaprzysiężonej nam chęci odwetu za klęski, jakie z pomocą Boga i naszego rycerstwa zadaliśmy, polecamy ze szczególniejszą ważnością naszego rozkazu, a uchwały Sejmu, aby też twierdzę obwarowano, aby jej należną dano obronę, nie żałując kosztów, ani też nie wahając się ku tej potrzebie zwiększenia danin i podatków, na takie cele chwalebnych. A obok naprawy przykazane baczyć, na wszelką ze strony wroga operację, aby istotnie wiedział, że Trembowla na straży czuwa, a ludzie jej nie znają, jak dotąd lęku, czy też jakowejś innej chęci od tej, że bronić się będą, by do ostatniego obrońcy, a grodu nie oddadzą. Uchwałę niechaj wykona zarówno starosta grodowy jak i Komendant zamku, powierzonych im pieczy i obrony, jako zresztą cnót, a nie

obowiązków, a o ile pierwsze w ich sercach, niechaj drugie będą w ich czynach, które spełniają ad maiorem Dei et Rei Publicae gloriam, co niechaj im będzie przykazem przez Majestat Boży, a nasz królewski“.

„Dan w zamku, w obecności rady wojennej, a opatrzonej Królewską pieczęcią i podpisem. Joannes Rex“.

— Jako żywo, część spełnialiśmy, i spełniliśmy do tąd, a tylko zwołam radę, aby jeszcze raz odczytać, zaś starosta, IMCI Rafał Kazimierz Makowiecki, niechzesz usłyszysz też na własne ucho.

I klasnął w dłonie pan pułkownik, a tak doniośle, że aż Symeon, lubo nie nawykł się lękać, czy drzeć, mimowoli się stropił, lecz niebawem zobaczył, jak sześciu Kozaków, by z pod ziemi wyrosłych, stanęło, aby odebrać rozkazy Komendanta.

— Widzę, że wcale zacny rygor u Waszmości! co na pochwałę i najlepszą wróżbę przyszłości.

— Tak w twierdzy być musi, inaczej bylibyśmy zawadą, a nie zaporą przed wrogiem! Ale waść, bracie Symeonie, widzieliście i króla, czy też nie zmienił się, aby to, jak przysłowie mówi, że honores mutant mores.

— Nie! takim wodzem pozostał, jak dawniej, a tylko większy posłuch i co najważniejsze powagę królewską posiadał, boć nasz król Jan, był królem już pod Chocimem, a i wcześniej, Podhajcami, gdy królewsko gromił wroga, a też po królewsku rzucał rozkazy podwładnym, chociaż go wszędy kochali, jak ojca i dobrego przyjaciela...

— Z takim królem, to i naród może się dźwignie, bośmy myśleli, iż już koniec naszej Ojczyźnie, gdy tylu wrogów zewnętrznych, a moc też nie miała wewnętrznych.

— Bóg dał, iż tamtych odparł i odpierać będzie, a tych zmoże, boć siła i jego słów, wzroku działa czarująco...

— Waszmość się dobrze widać przypatrzył Naszemu Królowi?...

— W kilku bitwach, a zasię w częstych usługach, mogłem i też poznałem, chociaż niezwykły to człowiek,

ten niby sobie szlachcic, jako i my, a dzisiaj król Rzeczypospolitej, Władca najwyższy na ziemi...

A potem rozgadali się na temat różnych spraw codziennych, gdy niespodziewanie zapytał się brat Symeon, czy zna pułkownik owego Pawlenkę: — Boć to jakaś rogata dusza, a zgoła, jak szlachecka, skoro się o szlachecką córkę upomina, a wcale mężnie...

— Waszmość wie, że nie nawykł chłopów wenerować, odkąd nieraz, jak przekłętej pamięci ponoć ruski szlachcic, Hawryło Siemigowski nas zdradził, ale ten Pawlenko tęgi i lgnie ku nam, gdyż mówił, że skoro wyzdrowieje, zaraz się zgłosi do służby zamkowej. Zna trochę tatarskiego, a i turecka mowa mu nie obcą, więc przydać się może!

— A któż to Bandura?

— To raczej Bandrowski, w skórce Bandury, pokutuje za grzeszki, o jakich mi opowiadał jeden z oficerów, który go znał za młodych lat. Człowiek buńczuczny, a że coś tam groziło mu ciężkiego, więc tu osiadł. Ma synów, którzy zgłosili się do nas.

Więc zaczęli teraz mówić o szeregu postaciach, jakie znał dobrze brat Symeon, a pan pułkownik rad je odświeżał w żywej pamięci. Przerwało im ten obiegły na różne strony dyskurs serdeczny, wejście pana starosty i kilku szlachty, o postawie rycerskiej, a przytem i serdecznej w obliczach pogodnych, lubo na czołach z bruzdami ciężkich przejsć.

Wszyscy witali radośnie dawno niewidzianego brata Symeona, wynurzając mu swoją za nim tęsknotę, chwytali skwapliwie jego słowa, które dla nich były nowiną, zwłaszcza o króla pytali natarczywie.

Brat Symeon, znany z prawego charakteru, gorący patrijota, nie szczędził słów pochwały, a że widział czyny Sobieskiego, a również słuchał jego mów do żołnierzy, czy szlachty, a nawet i te do dygnitarzy po elekcji, jako świadek wiarygodny, obudził tam cześć dla siebie w tem kole rycerzy Trembowli.

A byli tam: Młody Mirosław Zamiechowski, syn Gabrjela Zamiechowskiego, ongi komendanta trembo-



lewskiej załogi, brat też dawnego komendanta, Hieronima, Zbigniew, Stanisław Kawecki, wielki strateg, postrach tamtejszych okolic, człowiek prawego charakteru, Onufry Pankracy Gozdecki, dalej sędziwy Romuald Rafał Hipolit Koziobrodzki, paru młodych i starosta grodowy, Rafał Kazimierz z Bożymia Makowiecki. Wszyscy, zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, wysłuchali jeszcze raz słów odczytanego rozkazu, czyli uchwały Sejmowej, a po skończonej recytacji, bo tak ją odczytał brat Symeon, jak gdyby wykladał lub cytował wyjątki z Pisma świętego, zabrał głos starosta, Makowiecki:

— Mości Panowie i Zacny nam, miły ze wszech miar, bracie Symeonie! Godzi się spełnić polecenia Króla — Pana Najjaśniejszego, godzi się słuchać woli narodu z orędzia Sejmowego, godzi się służyć Ojczyźnie! Ja tu podatki ściągnę, a zarazem dam baczenie, by w mieście było wszystko gotowe, ty, cny Komendancie przygotuj nam twierdzę, aby stała się pierwszą w Polsce, a jak król miłościwy mówi, ostatnią po Kamieńcu, niezdobytą!

Wszyscy gruchnęli okrzykiem: niech żyje król, Jan Sobieski, niech żyje brat Symeon, wysłannik jego, a potem wiwatem na cześć Trembowli-zamku, potwierdzili, jakby gorąco aprobując, słowa pana starosty.

— Po wiwacie i akcepcji tak ważnego aktu, godzi się i wychylić zdrowie, choćby na chwałę zamku, a z radości, że wśród nas mamy brata Symeona, który, acz sługa Boży, nie gardzi orężem, zaś jako poseł Jego Królewskiej Mości, daje nam, niby Jego żywe słowa! Mości panowie, przejdźmy do sali, gdzie oto czeka śniadanie...

I znów klasnął w dłonie, a tym razem rozwarły się podwoje na oścież, a w głębi czterech czy pięciu sal, z oknami ku frontowi zwróconymi, rozlało się w potokach światło, lubo okna wszędzie wysoko, niewielkie, ale, że to dzień słoneczny, nie poskąpiły światła.

W dużej sali narożnej, jakby z przeciwnej strony, skąd wyszli, stół dębowy i zydle dokoła. W szafach pełno zbroić i ich części, a że z rozwartych, więc mogli je wszyscy oglądać. Duży krzyż z Chrystusem na ścianie, a też i konterfekt niezły jednego z Komendantów.

Rozsiedli się przybyli wygodnie...

Podano polewkę winną z serem, a potem suszone ryby, wreszcie połacie mięsne, lecz nie wszyscy je jedli, nasyciwszy się rybami.

Puhar wcale zacnego i złotem lśniącego węgrzyna rozochocił brać, a języki zaczęły się rozwiązywać ku serdecznej oracji w stronę komendanta, mości starosty i brata Symeona. Wtem Kozak stanął przed komendantem. Szepnął mu coś do ucha, najwidoczniej coś bardzo ważnego, bo mars oblicza nieco się schmurzył, ale po chwili odrzekł:

— Pewnie sprawy twierdzy — ktoś ciekawie zapytał.

— O! jak w służbie! — niechętnie chciał mówić o tem komendant, więc zwrócił się do młodego Zamiechowskiego: Waszmość mógłby się wybrać może i na step, aby stamtąd języka zaczerpnąć...

— O ile potrzeba, choćby i zaraz, a wyruszę!

— To mi się podoba i kto wie, czy nie zajdzie potrzeba, zgłoś się Waszmość wieczorem do zamku!

— Dam mu swoich, znanych z czujności ludzi — ozwał się przyjaźnie pan Rafał Hipolit Koziębrodzki.

Dziękuję, lubo moichby mi starczyło, ale od przybytku głowa nie zaboli — odrzekł rezolutnie młody ryccerz Zamiechowski.

— Książd dawno nie oglądał mojego nowego dworku, gdzie się obwarował nieźle... — mówił Onufry Pankracy Gozdecki.

— Może się uda wydobyć u Żydów, którzy tu kramy chcą zakładać, też nieco grosza — prawil teraz starosta Makowiecki Komendantowi. — Obecnie jest ich już w miasteczku wraz z Ormjanami do stu! — I od Ormjan grosza wydobędziemy za łaską Bożą!

— Dobrze, że mi waść o Żydach wspomniał! Ponoć tam jest jeden, który powrócił z Turcji, a po drodze widział jakieś dziwne poczty.

— A! istotnie, mówił jeden z ławników, że wrócił dosyć z ciężkiej opresji ten Saul, z ryżą brodą... Wieczorem go posłę do waszmości...

Warty na wałach dawały znaki. Dolatywały echa głosów komendy, szczęk broni, a tymczasem dzionek już na dobre zionął słonecznym blaskiem upalnego dnia.

Pierwszy brat Symeon, pomodliwszy się, wstał, a za nim reszta zgromadzonych, żegnając się z panem komendantem.

Ten, rozstawszy się z gośćmi, przywołał kozaka, Iwana, ślepego na jedno oko, aby z nim pomówić widocznie o ważnych tajemnicach, bo szeptem doń mówił, a potem coprędzej go wyprawił, zaś sam udał się, aby zobaczyć, jak tam pracują w prochowni, gdzie obecność komendanta była bardzo potrzebną. — Praca wrzała, jakby istotnie w przededniu bitwy, chociaż jeszcze rok czasu, aż wybuchła... straszna dla Trembowli.

IX.

Deren dotarł nareszcie do swojej zacisznej siedziby, gdzie mógł ukryć Oleńkę przed całym światem. Była to wioska na Krymie, rzucona nad morzem. Jego mieszkanie tworzył szereg zabudowań, a pośród nich rodzaj zameczka (rezydencja) ukrytego poza skałą, a tylko z widoczną stroną od morza, gdzie był rodzaj zatoki, lecz też schowanej w zaroślach, a tylko wiadomej dla wtajemniczonych. Tam mieszkanie wraz ze wszystkimi rozkoszami ludzi wschodu. Wśród krążganków ogród, pełen róż, czerwonych i żółtych, obok wieńca mirtów, lauru i pnących winogron, które zasłaniały oczom wieżę zamku, cały dom, od tej strony zwróconej ku słońcu południa. W ogrodzie fontanna i sadzawka, gdzie rybki złote lśniły swoją łuską w blaskach słonecznych, a znów nocą księżycową, zdaly się pieścić zimne blaski księżyca cieniami złotych obrazków... Komnaty miękkie od bezliku kobierców, dywanów najczystszej roboty smyrneńskiej, wzorzystych, pełnych tajemniczych arabesków i znaków wschodnich. Na ścianach rozwieszona broń, a pośród niej amulety i tarcze obok kindżałów, toporów i nawet buńczuków, a również... polskiej buławy, nie zdo-

byczy rycerskiej, ile skradzionej lub kupionej na tym bazarze, gdzie nigdy nie brakowało i z Polski cennych towarów. Niemó tam było, gdyż okrom zaufanych sług Derena, czasem haremowych dziewczyc, oraz eunuchów, wylegujących się, niby barany, spasionych, z ogłupialemi oczkami i wiecznie mlaskającymi wargami, a to jedynie w dniu świątecznym, nikt nie śmiał zakłócić ciszy, nawet, gdy pana nie było w domu, w tej części pałacu, a cóż dopiero, gdy odźwierny zahuczał w róg, żeby oznajmić co wieczór, co rano, jego przybycie całemu otoczeniu, całej wiosce.

Deren lubo młody, ale pełen rycerskiej fantazji, otrzymał zaszczytny tytuł baszy trzybuńczucznego, jako wielkorządca turecki na olbrzymiej polaci Krymu, a jako syn kapudana-baszy, głównego dowódcy siły morskiej, mógł sobie zatrzymać w dożywocie rezydencję nad morzem, a mieć też trzy, po kraju rozsiane, ilekroć jeździł celem zbadania stosunków, a raczej z tytułu baszostwa, ściągnięcia danin, jakie w części odsyłał do Stambułu, ale w lwiej sobie przywłaszczał, głosząc zawsze, tradycyjnie, że kraj jego najuboższy, a nawet w święto Proroka, nie mający garstki ziarenk owocu, by rzucić w ogień, ani też kawałka materji, by z niej okręcić dokoła głowy zawój, turban, a tak skamłąc, niósł stumetrowe sukno, lub złotem tkanych kilkanaście ciężkich makat na jedwabiu, jako skromny dar najniższego z najuboższych sług sułtana... Otrzymałszy za podziękę kopnięcie w brzuch lub przy fantazji władcy, pałaszem, że aż zawył z bólu, ale też nisko się kłaniał, załamując ręce, jak w przedSIONKACH meczetu, gdzie otrzymywał w odpowiedzi zdanie:

— Obyś psie, więcej mógł dowlec do naszych komnat, a mniej ukryć dla siebie...

Rad i z takiej łaski pańskiej, gdy mu skinęła ręką, by wyszedł, szukał z rozkoszą drzwi, aby niemi zginąć z oczu, nie przywieźć przypadkiem na pamięć swojej osoby, kiedy władca zagniewany, mógł jej głowę, snadniej od ręki, uciąć...

Przypomniawszy sobie Deren, że czasby było objechać kraj i zawieść daniny, aby też nie doznać srogości gniewu sultana. A tu ta Oleńka, nadomiar złego chora, co go o zamęt myśli najstraszniejszej przyprawiało. Z jakąż rozkoszą otrzymał wiadomość, że w zapadłej wiosce Lietasan, żyje Laszka, znająca się na ziołach lekarka, wprost cudotwórczyni, a której bali się mahometanie, ale cenili jej wiedzę, a że wyzdrowiały już ciężko chore kobiety, gdy jej rady i lekarstw zasięgnięto, uważano, że prorok, lubo to nie była jego wyznawczyni, złał na nią łaski szczególniejsze... Deren posłał po nią, a obiecał Luilkasimowi wspaniałe podarunki, jeżeli tylko Laszkaznachorka przywróci Olence zdrowie.

Niech twoje słowa będą łaską dla sługi, wróć z Laszką, jeszcze trzeciej doby zpowrotem! — wyrzekł te słowa wierny sługa.

— Niech cię poniosą skrzydła, a gdy powrócisz, obietnica moja uszczęśliwi cię! — odrzekł Deren.

Luilkasim pędził do Lietasanu noc całą i pół dnia, z małą przerwą, by dać wytchnienie koniom, a czuł, że gdyby Laszki nie zastał, raczej mu w morze wskoczyć, aniżeli wracać do rezydencji pana.

Lietasan leżał w cudownej okolicy górskiej, okolony szczytami, które słały mu lśnienia swej bieli i gorejącej w słońcu jaśni. Był osadą winnic i ogrodów samych. Kiedy mieszkańcy zobaczyli wysłannika trzybuńczuznego baszy, zaniepokoiłi się, że pewnie posłan po dary nienasyconego władcy, więc, co rychlej chowali, rzucali w wyschłe studnie, co kto posiadał cenniejszego, a nawet lepsze szaty żdzierali ze siebie, wkładając najgorsze — podarte...

Właśnie do namiotu w winnicy wpadł zziębły, spocony Luilkasim, gdy poczciwy właściciel przebierał się. Ze strachu rzucił szaty na ziemię, a sam w skłonach, wyrazach pokory, zaklinał się, że od trzech lat nieurodzaj i motylca zniszczyły winnicę, że nie sprzedał do Lechistanu ani kropki... Zaś owoce w czasie kwiatostanu zniszczyła burza...

— Nie po twoje skarby, psie, które schowałeś przed oczyma twego Pana, przybyłem, ale, żeś znany w okolicy, mów, gdzie się znajduje Laszka, która wam leczy chore kobiety! — a przytem dał mu takiego kulaka, że biedny, w podartej oponicy, Ormjanin, tutaj osiadły, aż runął przed posłańcem Derena na ziemię...

Wiedząc, że trzeba odpowiedź dać pomyślną, lgał: — Będzie u twych stóp, ale pozwól niewolnikowi twego pana, oto ten turban, ostatni skarb mój, przewiązać, bym nie przestraszył Laszki, iżem napadł na nią!

— Czyń corychlej, abym nie okazał gniewu pana twego — i znakiem wdał, dał mu do wyraźnego poznania, iż nie tu jego miejsce.

Właściciel winnicy, obowiązawszy turban, wyszedł, mrużąc zakłęcie przez zęby, jakby życzył Derena posłańcowi, co tylko może być najgorszego, a potem zrazu pędził, a zoczywszy, iż winnica już daleko, szedł powoli, jakby mu na nikim nie zależało, a najmniej na wyszukaniu Laszki.

Szedł stary Berbardys, właściciel winnicy, wcale nie skrząc sobie drogi, a napotkawszy znajomego sąsiada, opowiedział mu o celu przybycia posła Derena, dodając, że lepiejby było tego posła zgładzić, aniżeli wysyłać i pozbywać się Laszki, której rad tyłu we wsi potrzebuje. Lecz towarzyszy, nieco uczciwszy od Berbardysa, zgromił go, dodając: — Niech go Allah gdzieindziej opuści, aniżeli by go miał dzinom (duchom) w Leitanie oddać...

Takich spotykał więcej, a każdemu otwierał serce i o tej zbrodniczej myśli zgładzenia posła Derena opowiadał, zalecał, jako najlepsze pozbycie się nieproszonego gościa.

Każdy, nibyto w wierze uczciwej, zaniechał zamiaru, kryjąc potaknięcie, co czytał z ócz jaśniej Berbardys, aniżeli z mowy, która oszukuje myśli, jak powiada Koran.

Wkońcu dotarł do ustronnej chałupki, niby lepianki, niby skleconej na prędce budy, gdzie mu wskazano mieszkanie Laszki-znachorki. Ucieszył się, bo ją chciał

poznać, aby doznać jej czaru, boć podobno i oczyma (wzrokiem) leczyła, a Berbardys cierpiał na ból oczu od upałów, w czasie których często musiał w winnicy pracować.

Pozdrowił ją po turecku, ale później ormjańskim językiem przemówił, który Laszka rozumiała, gdyż mu w tym samym odpowiedziała.

— Przychodzę, jako posłaniec posłańca trzybuńczucznego baszy, Derena, który chce w twoje oczy popatrzyć, byś go uzdrowiła, jako i ja, mający do cna wzrok zepsuty! — pokornie, ale też i śmiało mówił, patrząc w jej smutne oblicze, a oczy, pełne melancholji i zamyślenia głębokiego... jakby patrzyły wdal, której bezkresu nie sięgną, jedynie chyba w myślach...

Tekla Szaniawska, Laszka, wzięta chytrze do niewoli i cudem umknąwszy z niej, aby w Lietasanie ukryć się, nieco się przeraziła, lecz okupiwszy dotychczasową niewolę tylu cierpieniami, odrzekła spokojnie: — Więc cóż mam uczynić, bo twoje oczy patrzą zdrowiem, a tylko od słońca zepsute, leczyć je musisz zimną wodą kryniczną, zaś tych baszy nie znam, a gdzie mi je poznać należy, powiedz, a udam się natychmiast! — Spokój, z jakim mówiła, widocznie oddziałał na Berbardysa, bo rzekł: — Oto ze mną się udaj!

Wzięła nieco ziół i lepsze okrycie, uczyniła znak krzyża, a kiedy zobaczyła Berbardysa za swoją siedzibą, już na drodze, pośpieszyła za nim. Szli oboje zwyczajem wschodnim, osobno i w milczeniu. Dopiero przed swoją winnicą, wyrzekł do niej Berbardys: — Oto kres naszej drogi, a moja ubożuchna winnica!

Weszli do wnętrza zabudowania, gdzie Luilkasim, widocznie znudzony, aż ryknął, a Berbardys odrzekł spokojnie: — Twój rozkaz posłańcu wielki wielkiego baszy spełniłem, oto Laszka, aby leczyła twoje dolegliwości!

— Czy jeździ konno? — zwrócił się w stronę Tekli Szaniawskiej, Luilkasim.

— Tutaj kobiety, jak i w Lechistanie, jeżdżą, boć tylko konno można podróżować i pieszo, ukloniła się na ukłon, wcale rycerski, Luilkasima.

— Więc wyruszymy natychmiast do zamku Baszy!
— odrzekł jej Luilkasim.

— A konie gotowe! — znalazła bodaj takie słowa, nieco przerażona Tekla Szaniawska.

— Jeden gotowy, drugiego Berbardys sam dostarczył! — zwrócił się do zakłopotanego.

Sporo upłynęło czasu, zanim po zakłęciach, a setnych razach, wcale dolegliwych, postarał się Berbardys o rumaka, osiodłanego, aby nań wsiadła Tekla Szaniawska, posiliwszy się nieco, wyjechała wraz z Luilkasimem na drogę, zrazu osobno, apotem złączyli się i sługa baszy jął się rozpytywać o lekarstwa, jakie zna, a ta odpowiadała, dosyć łamiąc sobie język w niewprawioną turecką mowę, gdy po ormiańsku wcale gładko mówiła, jako że Lietasan był właściwie osadą przeważnie Ormian niewolników hadlujących i tem, czem tylko mogli. Od Luilkasima dowiedziała się, że jedzie leczyć chorą Laszkę... To oczywista sprawiło jej niepomalu rozkosz, gdyż spodziewała się usłyszeć własną mowę po tylu, tylu latach... ,

Zachód słońca olśnił oczy jadących. Ludzie wschodu lubią piękne obrazy przyrody. Dla nich słońce i dal nieba, skąpana w czerwieni, to chwila rozkosznego dumania, wśród którego „kraszają“ myśli swoje, nieraz najbardziej smętne, mieniając w wesołe, rozkoszne... Luilkasim wiedział, że za tyle trudów, a obecnie za przywiezienie ze sobą znachorki, otrzyma obiecaną nagrodę... Nadewszystko, że będzie mógł uprowadzić sobie dziewczkę o jakiej marzył. Oto Deren otrzymał w darze trzy przepiękne Ormianki. Wszak mu je obiecał! On nie chce wszystkich, ale jedną, która go też — jak Laszka-Olenka Derena, oczarowała... Bo wschodni ludzie wierzą, iż oczyma człowiek człowieka sobie zniewala. „Popatrz w oczy, a znajdziesz przyjaciela“, lub „oczy kobiety, gdy

cię dojrzą nie ujdiesz przed niemi". — I też Luilkasim nie uszedł, bo go dojrzały natychmiast... I patrzyły weń, jak ta czerwień zachodu, pełna czaru, jakby chciała ludzi znewolić, by szli jeno w kraj, gdzie to słońce się kąpie, a dla nich życie...

A Łaszce Tekli Szaniawskiej, przypomniał ten zachód znów jej ojczyznę. Na zachodzie Polska... Jej kraj, inny, boć tak w marzeniu, rozkochaniu i zadumaniu najpiękniejszy na świecie... W dzieciństwie, że ledwie go poznała, a już niewola kazała jej zapomnieć... Lecz nie zapomni człowiek w niewoli kraju własnego... Tam to słońce, ilekroć zachodzi, jakżeż weseli ludzi po pracy, a tutaj jej tylko ból i większe cierpienie przynosi... Zdawała się modlić, przypomniawszy sobie może dzwony kościoła, które po zachodzie, w mroku, wzywały na modlitwę...

Luilkasim zaś o Ormiance marzył... Weźmie ją, obejmie, a potem zawiezie do swoich, gdzie może ją ukryć przed oczyma drugich... Czy tylko Deren pozwoli mu, bodaj na okres trzyksiężycowy się oddalić, aby ją odwiedzić i wrócić. Bo zechce go trzymać, lubo ta zna-chorka będzie tłumaczką... Ale czy jej Deren zawierzy? Więc znów ją rozpytywać, gdzie mieszka, czy chętnieby została, chociaż tutaj wobec Derena nikt nie miał własnej woli... Zawsze jednak wybadać się godzi, aby przestrzec pana swego. Lecz Tekla Szaniawska, już tyle razy badana, znała nawskróś cel podobnych pytań, umiała na nie odpowiedzieć tak, że żaden nie pomiarkował, co w duszy tej się na dnie mieści, czy też treść odpowiedzi, czy też plan odmienny, ukryty przed słowami.

Patrzyła również, jak Luilkasim, marzeniami, aby łowić słoneczny zachód, aby pogodą jego opromienić własne myśli, a nie mieszać ich ze zwątpieniem, czy też czarnymi myślami obrazów, któreby zastąpiły te piękne, jasne... Jechali wolno, a tak, jakby w takt obrazów, które sobie malowali, każdy swoją przyszłość, w barwach najpiękniejszych...

X.

— Opuścić tego miejsca niepodobnem, boć zaraz nas schwyca, mnie zabiją, a ciebie strzec będą gorzej, aniżeli eunuchy haremowych dziewczek... Ale, Olenko, nie trać nadziei w Boga, iluż on wybawił z niewoli... A może cię zesłał do tego kraju i miejsca, abyś cudu jakiego dokonała... Wojna niechybnie wybuchnie... Tutaj już mówią o tem głośno... Więc cierpliwie czekajmy! — uspakała Tekla, ciągle strwożoną Oleńkę Bandurównę, lubo Derena nie było, a jedynie Luilkasim pokazywał się zrzadka jej oczom. Chodziły po parku, na wybrzeżu, a czasem i łódką puszczały się na niedalekiej przestrzeni spokojnych fal morza, aby topić w głębinie tęsknotę, a dałą spokojną leczyc troskę o powrót do brzegów Ojczyzny...

Morze niesłychanie uspokajało Bandurównę, przypominając jej dale stepu, tak dziwnie podobne do morskiej, ukojnej powierzchni, na krańcach dalekich złączonych ze ziemią, jako i na stepie, gdzie też morza traw znowu się bratają z niebem wdali, u swoich brzegów horyzontu.

— A kiedy wróci Deren? — zapytała Oleńka.

— Wiesz, że tutaj nikt nie wie o planach baszy, czy syna baszy, oprócz niego. Najzaufańszy, Luilkasim, w ostatniej chwili, gdy się zjawi poseł, przygotowuje odpowiednio do rozkazu komnatę panu i zarządzi, aby mu nie brakło niczego... Tutaj ludzie są, jak na tureckich dywanach, potworkami, nie ludźmi, a tylko właściciel dywanu może się nimi bawić, jak oczy swoje bawi, patrząc na wzorzyste tkaniny.

Tekla mówiła już stylem wschodnich ludzi, boć się zżyła z ich sposobem, a zresztą milczenie jej dawało większą rozkosz, aniżeli słowa, które częściej ze łzami mieszała, aniżeli z tutejszem słońcem... A zresztą: marzyła o powrocie; ucieczkę, że ledwie przy Tekli uplarowała, ale tak niefortunnie, iż wychowana w niewoli Laszka, odrazu jej zburzyła domek z kamyczków nad brzegiem dzikich fal morza...

Zresztą nie rozstawały się ze sobą. Tekla rada, że mówiła po polsku, lubo mocno z ruska odpowiadającej jej Bandurówniej, zaś Olenka, zawdzięczając tej Laszce życie, boć i ją wyleczyła, koila przy niej smutek, trawiąc go naprzemian z gawędami, a już na morzu z falami, gdy coraz częściej i dla chłodu miłego, łódkę przenosiły nad altany czy kioski ogrodowe. Raz wybrały się tak, gdy niespodziewanie nadciągnęła czarna chmura burzy. Ale, jak zdziwiły się, kiedy tuż za niemi znalazł się — w drugiej łódcie — jeden ze sług Derena; łodzie sprzągnął i szczęśliwie odwiózł Laszki do brzegu...

— Jak nas tu otaczają skrzydlatą opieką... — pomyślała Tekla, a niebawem, gdy przepadł sługa w zaroślach, dodała po polsku:

— Widzisz, choćby w czas burzy nam się uciec zachciało, dostaliby nas przecież, jak tym razem...

— A czy i ciebie też pilnują, bo możebyś umknęła i dała znać ojcu, braciom o mnie... — ozwała się śmieiej jakoś Oleńka.

— Ja tu nie mam cienia własnego, bo i ten do nich należy — zamknęła jej wogóle usta na podobne zachcianki.

Kiedy wróciły do pokoi zacisznych, burza rozszalała straszna. Błyskawice darły niebo w jasne platy, czerwone, a tak gorejące blaskiem, że przez szczeliny zdawały się rozpałać tajemne ogniska... Bandurówna nieco się strwożyła, ale Tekla, nawykłszy do burz tutejszych, rzadkich, ale tak gwałtownych, iż ludzie zwali ten czas, walką najgorszych duchów... uspokajała, odwracając uwagę silnem opowiadaniem o powrocie do Ojczyzny, kiedy wojna wybuchnie...

— Deren, kiedy będzie wyruszał na wojnę, zabierze ciebie, jasnowłosa, ze sobą, a wówczas trafisz do swoich, lub zniewolisz go, aby cię odwiózł... Sama znajdziesz sposób, boć znasz go już, a on nie odmówi ci niczego — pocieszała j pieśczołliwie.

— A czy długoś w niewoli, kochana Teklo?

— O! moja Oleńko, ja nie pamiętam dobrze, jak to było! Wiem, że paliła się wioska, a wtem wpadli do

domu dzicy Tatarzy, związali wszystkich, a mnie rzucili na wóz, jechałam długo, szczęśliwie, że się mną opiekowała jakaś baba; nie umiem ci opowiedzieć wszystkiego, aliści jedno powiem, że szczęśliwie się dostałam do agi, gdzie mię chowano wraz z dziećmi jego... Aga zginął w parę lat później na wojnie, a mnie pozostało tylko uciec lub zginąć, bo działy się straszne sceny w jego domu... Wybrałam ucieczkę i tak bezwiednie dotarłam do wsi, gdzie mieszkali Armeńczycy. Znasz ich pewnie! Ten Luilkasim, zdaje się, że pochodzenia armeńskiego, tylko zbisurmanił się, boć też go musieli wziąć w młodości wcześniej w niewolę. Armeńczycy nie dali mi zginąć. Znalazłam schronienie u kupca, gdzie pomagałam w pracy domowników. Tam mieszkał, jakby znachor... Leczył ziołami i wodą. Upatrzył sobie mnie i pomagał mu we wszystkim, nauczyłam się rozpoznawać choroby, warzyć zioła, robić maście. I tak przeżyłam młodość wśród pracy ze znachorem. Aż w pewną noc napadli na wieś Tatarzy, złupili ją doszczętnie, znachor ze mną umknął w przebraniu tatarskiem...

Wtem syk błyskawicy zgrzytem i dźwiękiem złowieszczym przeszył ciszę komnatową. Huk grzmotu tak silny, że aż zatrzęsły się niemal ściany, oznajmiał, że gdzieś w pobliżu uderzył. Oleńka o mało, że nie runęła na ziemię, ale ją podtrzymała Tekla; żegnały się obie, szepcząc ciche modlitwy. Doleciał ich uszu krzyk! Zapalił się kiosk ogrodowy od pioruna, a służba gasiła pożar, aby się dalej nie rozniósł.

— Mów mi o sobie dalej, bom ciekawa, jak ci się wiodło w przebraniu? — jakoś ośmieliła się Oleńka, aby rozerwać myśli, jeszcze pod wrażeniem pioruna, nie zupełnie uspokojone.

— W przebraniu dotarłam ze znachorem do wsi, Leitasanu, gdzie znachora zamordowali, myśląc, że jest prawdziwym Tatarem, a mnie, gdym krzyczała po polsku, jakoś oszczędzili, a nawet dali dobry ludziska dach nad głową. Leżała tam chora kobieta. Zaczęłam ją leczyć, a szczęście dopisało, boć i wyzdrowiała, mnie odtąd uważali za znachorkę, a trzymali, abym leczyła. Dali mi

nawet schronienie w szopie osobnej, jaką oni zwa „pałacem“, bo u nich jeden wyraz na wszystkie rodzaje domów. Znają szopy, nie umiając stawiać takich, jak to w Polsce nawet po wsiach spotykać można. Te ich „kucze“ lub „kuczmy“, przypominają po futorach, stajnie lub sklecone klecie przy dworach.

— I takeś mieszkała, Teklo, w takiej kleci?

— Przynajmniej na wolności! a wiesz, że chleb wolny lepszy od pałaców w niewoli. Pamiętam, jak tam zjechał jakiś basza, czy jego wysłannik, dali mu najlepszy „dom“, kuchnię w Leitasanie a właściciela przywiązali do słupa, aby pilnował tak godnie pana. U nas to i chamów najgorszych lepiej potraktują, aniżeli tutaj — jak w Leitasanie — znakomitego zgoła człowieka, a tylko, że Armeńczykiem, za bydlę uważają. Choć Turcy, wszyscy poganie, czy tam jacyś mahometanie, nie godni, abyśmy ich domy nawet przekroczyli. Ale cóż począć! Żyjemy obie w ich pałacach — niewoli.

— O! boli, boli serce, gdy tak mówisz, Teklo!

— Tobie się znaczy jednak wolność... — pocieszała ją Tekla.

— E! gdzie tam, kto raz w sidła wpadł ich, niech zapomni o wolności, a nie mam siły, by te sidła rozzerwać!

— Tu nie siły — jasnowłosa — lecz rozumu trzeba, a tobie go Bóg dał, tylko usidlij Derena, a sama potem się uwolnisz...

— Łacniej jeść u nas chleb ze solą, aniżeli ich przysmaki, bołą bowiem od nich wnętrzości, tak i z moją wolnością... Teklo!

Odezwał się głos muezina, przeciągły, monotony, wzywający na modły.

Do komnaty weszły dwie służebne przynosząc dywan; rozścieliły go na posadzce kamiennej, a w nyszy ustawiły dwa taboreciki. Tekla i Oleńka patrzyły w milczeniu na ich, zresztą codzienną pracę podobną. Potem wyszły, a Tekla rzekła: — Pewnie Deren chce cię tak zturczyć, byś się do proroka z nim modliła!

— Nie! przeciwnie, spytał się, czy mię to nie męczy, a że mu na wszystko odpowiadam tak, toteż codzięń czynią służebnice wołę pana, aby zwyczajem, modlić się. On raz przy mnie chciał się modlić, lecz ktoś wszedł i od tego czasu nigdy tego nie czynił, a nawet nie wiem, jak się taki poganin modli?

— Znam ich zwyczaj, biją pokłony w stronę Mekki, a potem szepcą z Koranu jakieś zaklęcia... Kiedy skończą te szepty, udają się do niszy, by tam na stołeczkach położyć po dwie monety, jakie później odnoszą muezinowi słudzy! Dziwi mię, że kobiety wniosły dywan i stołeczki.

— Bo tak sobie życzyłam, aby nie wchodzili niewolnicy lub eunchy, gdzie ja mieszkam.

— O! to widać, że tyś dla nich większą, aniżeli nakaz koranu!

— A co to ten ich koran? — spytała się Oleńka ciekawie.

— Jak u nas Pismo święte, które czytają osoby duchowne!

— Pleban, co niedzielę świętą Ewangelję czyta, to tak ich muezin z Koranu...

— Ano, podobnie, tylko u nich ciągle o różnych wędrówkach proroka, a u nas z żywota Zbawiciela...

— Ażeś Teklo nie zapomniała, bo ja byłabym i mówić zdolala zgola zapomnieć.

— Widzisz, u Ormianina mieszkał też Polak, a ten ci mię uczył codzięń wiary ojców naszych, zem też nie poganka, a tyko chrześcijanka, jemu zawdzięczam. Nauczył mię i czytać z książki, bo miałci ją w takiej skrytce, iż mu jej nie zabrali. Nocami przy pochodniach, jakoże ten Polak pilnował wozów z towarem, czytał mi, a ja słuchałam go i dziękowałam ze łzami.

— A gdzież ten Polak? — spytała Oleńka.

— Pewnie wolny w Ojczyźnie! a może i zginął...

— Lecz czas gołąbko, abyś spać się udała, sen krzepi człowieka, a nieraz zsyła w nieszczęściach miłe o nich zapomnienie!

— Oj, ja we śnie widzę stroskanych: ojca, matuszkę i braci moich!

— Widać, że ich wnet zobaczysz, bo mi mówił ów Polak, że komu się śni Polska w niewoli, ten pewno do niej powróci! — — —

— Oby twe słowa były, jak te plebana, który czytając ewangelję raz mówił, że wszystko się sprawdzi, co Bóg we śnie zsyła.

— Widzisz gołąbko, nie wierzysz, iż powrócisz, jakże cię słowy nie mylą, a co w świętej wierze, łącznie i święcie się sprawdzi.

Noc już powoli wdzierała się we wnętrza komnaty. Ciężki snu, niby arabeski ciemne w kątach, a obie kobiety, mówiące szeptem, jakby przykrywał welonem cienistej szaty. Lubo przez otwory, weneckiem szkłem barwnem przysłonięte, wdzierała się jaśń, jakby z oddali czy morza, lub księżyc, który gdzieś wypełznął, aby oblewać potokiem srebrnych fal te nadmorskie okolice, w krajinie marzeń ale i cierpień ludzkich. Księżyc dumał z jednymi i drugimi: usypiał, czy blaskiem cieszył strapione, o wolności kobiety — Laszki, to znów się radował z Luilkasimem, który otrzymawszy piękną Ormiankę, jako mu przyrzekł Deren, siedł z nią ku brzegom, aby w nocy rozmawiać wolniej, swobodniej...

— Więc róż nie chcesz, choćbym ci je garściami znosił... mówił tklivem słowem uczuć Luilkasim.

— Cóż mi po różach, gdym niewolnicą tylko — szepnęła wylekła Ormianka, niepomiernie zdziwiona, że Luilkasim nie kazał jej przy pochodniach pracować w przędzalni muślinów, ale wiodł ją, by się przechadzała, jak ta haremowa dziewczka — — —

— O! tulipanowa księżniczko, wszak cię chcę wolną uczynić, a ty mi prawisz o niewoli — jeszcze pieszczotliwiej mówił aniżeli raz pierwszy do niej, rozkochany Luilkasim.

— Przecz mi każesz się cieszyć, to i będę, abys nie gniewał się na mnie, abym nie zaznała gniewu twego.

— O! tęczowa latarko moja, prędzej tutaj morze się wzburzy, aniżeli ma myśl koło ciebie, a cóż dopiero na ciebie.

— Więc, jeżeliś tak mi życzliwy, jako to morze żeglarzom, gdy płyną ku przystani, odprawże mię do mego domu, gdzie wyrosła, a gdzie czekają mię ojcowie moi.

— Pójdiesz kwiecie rozkwitnięty na tę samą łąkę, skąd cię dla mnie zerwano, ale i ja z tobą.

— A jakże, kiedyś obcy nam mową i sercem, które mnie kocha, ale nie tych ludzi, tam w naszej okolicy?

— Doświadczysz, że nietylko ciebie, ale i ludzi tamtejszych kochać będę i oni mnie, boć tyś jest tą różdżką, która czaruje w człowieku serce jego i zniewala, by tak, jak twoje kochało...

I byliby może noc całą przedrzeźniali ptaki, ukryte w zaroślach, gdyby nie plusk fali, łoskotny, wcale nie łódki, ale dużej łodzi...

Obydwoje, jakoże na brzegu byli krawędzi, cofnęli się, a Luilkasim dał kochance znak, aby upadła na ziemię. On uczynił toż samo i czołgał się tak do miejsca, gdzie można było przybić z łodzią. Ukrył się, gdy kochanka leżąc, czekała na jego przybycie. Łódź istotnie, jakby ku tej przystani zmierzała. Zrazu powoli, a potem, za silniejszym uderzeniem wiosel, które słyhać już było, docierała jakby przed ucieczką...

Luilkasim mógł dostrzec w łodzi ludzi, zgoła mu obcych, wcale nie w strojach, jakie tu nosili w tej miejscowości... To go zastanowiło. A zresztą nikt nie wie, że tutaj i zameczek.

Łódź coraz to szybciej się wdzierала w ten widocznie dobry kąt, aby móc lądować, względnie dobić do brzegu, zresztą gdzieindziej tak skalistego, iż nie możnaby nawet marzyć o zbliżeniu się... Ale, to ktoś świadom i wtajemniczony, skoro tak odważnie mierzył! Już się zbliżyli.

Luilkasim zaparł dech w piersiach, a cały się we wzrok zamienił, zaś tak się tem przeraził, iż zapomniał, że przecież łatwo go zobaczą zgóry!

Istotnie, ktoś z łodzi dał znak, że coś spostrzegł, bo i słowa zdradziły pewną radość.

— Ty umiesz po turecku, więc zagadniesz tego tam czatownika! — krzyknął Samuel Pucniewski, śmiałek, który przedsiębrał wyprawę, aby zbadać, jak to Turkowie gotują się na wyprawę do Polski.

— Do rozkazu Waszmości, byśmy go tylko dostali, bo tu ludzie, jak duchy, często chyłkiem przepadają, niby dwojakiej natury człowieka i czarta będąc...

— Nie praw szlachetny Grzybosiu kazań, ale capnij tego czarta, jak go chcesz, byśmy go mieli.

— Ano do rzeczy się wezmę, a Waszmość bacz z lukiem w rękę, by mię czasem wesprzeć w potrzebie.

Łódź dobiła, a Grzybowski uczyniwszy skok, istotnie zmierzył ku Luilkasimowi i zanim ten miał czas po sztylecik sięgnąć, już go kleszczył w swoich nie rękach, ale siódlach prawdziwych.

— O psi synu, czy może pocziwe nasienie, gadasz ludzkim językiem? — a trzymał Luilkasima, że aż mu chrupnęły kości z bólu a nie z radości!

— Znam język wasz, ale któżście są, że tak śmieie aż tutaj dotarliście... Wszak nikt nie zna tej oto przystani!

— Mówisz jak człowiek, więc cię nieco popuszczę, tylko nie waż się uciekać, bo nas tu moc w łodzi i wnetbyśmy ci rady dali; cóż to za osada na tej przyczepce ziemi, boć to zgoła skały? — a mów prawdę, boć my, nie zbóje, ale goście!

— Mieszka tu trzybuńczyczny basza, Deren, a tylko go widać, a stanie w swojej obronie! — zuchwale odrzekł sługa.

— My na wodzie, on na lądzie, a wiesz, że ryba swobodniejsza od czworonoga na ziemi..., a i dwunogim może uciec, choćby sióła Bóg wie, jakie mieli!

— Widzę, żeście na mnie je nastawili dobrze, ale czy sami nie wpadniecie, w to wątpię przeczyć, a twierdzić muszę!

— Słuchaj! nie chcemy ci długo wydobywać języka z gęby, którym mieiesz niezłe, ale gadaj: możemy tu lądować i czekać do rana, czy też związawszy ciebie, uciekać.

I znów go tak objął pan Grzybowski, że Luilkasim, nie wiedział, czy się dać związać, czy też gadać prawdę. Przypomniała mu się kochanka Ormianka!

— Jeżeli nie będąc w złych zamiarach, chcecie tylko lądować, to Allah z wami, ale nie dłużej nad ciszę nocy i pierwszy świt, lubo się do zamku nie dostaniecie, bo tamby was nie wpuszczono...

— To już rzecz nie twoja! bityś, ale i my kuci, więc jak to przysłowie: pies pana, ale i pan psa słuchać musi, więc posłuchamy cię, tylko musisz się stawić przed oczy pana.

Teraz go schwycił Grzybowski oburącz, przyparł do siebie i rzekł:

Albo przedemną za rękę, lub w moich skrzydłach!

— Przed Waszmością za rękę!

Szedł Luilkasim, aby stanąć przed obliczem Imci Pucniewskiego, który rad z czynu Grzybosia, aż zarchotał śmiechem.

— Wart jesteś Waszmość całej mojej piwnicy, by wypić za tve zdrowie!

— Tymczasem chlipnę wody, bo do piwnicy daleko, a ten potulny baranek, niech nam opowie, boć zna niezgorzej nasz język odemnie. Widocznie tłumacz różnych tajemnic z Polski swojemu trzybuńczucznemu baszy, któremu jeżeli nie dwa, to jednego buńczuka pozazdrościmy!

— Anoś z humorem Grzybosiu! Gadaj i rób za mnie, bo mię już morze zmęczyło i radbym na ląd, bodaj na obcy stąpić.

Grzybowski opowiedział dyskurs z Luilkasimem, a oglądając się ku brzegowi, zobaczył Ormiankę, która podeszła tuż ku falom.

— O! rarytne te brzegi, boć jak do Odysseusa, śpieszy ku Waszmości jakaś Nausikaa, a tylko pewnie z haremu Mości Derena, czy Durenia.

— Nie! — wtrącił się zaraz Luilkasim — wcale nie z haremu, a tylko moja dziewczka, którą tutaj mam jedyną! — mówił szczerze.

— Widzę, żeś dobrze służył Panu, skoro ci pozwolił na dziewczkę, tutaj w łasce ponoć rzadko komu danej, chyba, że ją ukradnie i przepadnie z nią bez wieści.

— Wiesz Grzybosi, że to nie Turek, ale Ormjanin, jak mu patrzy z ócz i mowa jego wcale dobrze zdradzał — ozwał się po łacinie Pucniewski, myśląc, że przecież Luilkasim tej mowy nie rozumie. I tak też było.

— Łądujem, czy tak wraz z tym synem Allaha, popuhamy na skrawku fal...

— E! wiesz co Grzybosi, niechby nam wskazał drogę, a pojedziemy, bo i poco tutaj witać trójzębnego baszę...

— Trzybuńczuczno baszę! — poprawił Luilkasim.

— Niech tak będzie, ale, gdzie droga najbliższa, aby się stąd wydostać? — mów prawdę, bo jakim Pucniewski, że ci sprawię pucówkę, jakiej i Turcy rzadko komu sprawić umieją!

— Jeździecie ku południowi, a potem w zachodnią stronę, nie zbliżając się ku brzegom, dojedziecie do Erzercha, znanego tutaj, tam kupcy łądują. Podacie się za kupców. Jeżeli zaś nie chcecie się spotkać z brzegiem, wyminąć Erzerha i jechać, aż się dostaniecie na pełne morze, a tam znacie lepiej odemnie drogi tajemne ku Waszej Ojczyźnie, boć jeżdżą, aż za często z Polski łodziami i pod sam Sambuł.

— Nieźle to nam prawisz, boć znam tę małą rybacką, czy złodziei-kupców, Erzerhę, więc ci wierzę. Oby tylko tak bliską była, jak tve, może prawdziwe słowa!

— Oto na dziewczkę tę, która tam za mną szlocha, przysięgam, aby ją mi Allah zachował, jako i was na falach tu obcych!

— Więc bywaj! wszak i pohańcy ludźmi są, a nie bydłętami. A Grzybowski, porwał Luilkasima i z łodzi tak nim cisnął, że ten odskoczywszy, już, a był na łdzie...

Wiosła uderzyły w fale i łódź odplynęła szybko.

Luilkasim wrócił do ukochanej, by teraz ją odprowadzić w komnatę swojej kryjówki.

X.

Deren, zawiósłszy obfite dary władcy i panu swojemu, wracał, aby natychmiast wyruszyć z pocztem zarymym, boć zanosilo się na wielką wojnę z Lechistanem (Polską). Jechał wcale szybko, ale, co chwila przeszkody tamowały mu drogę. Oto zaraz na początku, opuściwszy stolicę, wataha jakichś opryszków, mając jego poczet, za kupiecki, napadła, a że napad był zniecka, wytracił sporo ludzi, nie dowiedziawszy się w żaden sposób, z kim walczył, kto go się ważył tak bezczelnie napaść podle niemal „dachu dachów“, jak zwano pałac wielkiego władcy Turcji...

Jacyś pewnie śmiałkowie lub może nasłani zbirowie, tak się mu dali we znaki. Szczęściem, że wielu Ormjan się kręciło, że też wielu z nich chciało jechać na Krym, gdzie zawsze można nagromadzić towarów, a tu i ówdzie swoich spotkać, lub bodaj się ukryć przed panami tej wrogiej Ormjan, ziemi...

Zebrał więc poczet wcale pokaźny, bo przeszło dwustu ludzi, a mając poddostatkiem broni, worów, a i niemniej żywności, ruszył, aby coprędzej dostać się do siedziby, gdzie mógłby może i niepostrzeżenie tę wojnę przeżyć...

— Tylko gniew i wola Pana-władcy tak sroga, tak wszechwładna, że biednemu Derenowi topiła myśli, jak wosk się topi, gdy na niego słońce ześle promień silniejszy...

— Któż w tym kraju może mieć swoją wolę? — pomyślał smutnie Deren. A potem szedł w myślach, zresztą bezpiecznych, bo ich nie zdradzi nikt, coraz swobodniej ku wyzwoleniu.

— Jakby to było dobrze osiąść, gdzieś w skalistej wybrzeża stronie i tam radować się życiem... wolnem z Bandurówną!

— Ale — jakaś, niby myśl, zesłannik burzy, odrazu go otrzeźwiła z podobnych zachcianek — co począć, gdyby kryjówkę znaleźli... Wlec go będą u wozu, lub przytroczą do konia pierwszego lepszego baszy, w oczach jego każą zgwałcić Bandurównę, aby go wogóle męczyć srodze, zanim duch opuści ciało.

O! widział Deren, jak ukarano setki śmiałków, jak nieraz i wielcy w tym kraju, zasłużeni, jak tylko padł cień podejrzeń, szli w jassy, może gorszy, aniżeli niewolników wojennych, lub kupionych.

Przed gniewem sultana nie uszedł nikt w tym kraju, chyba się go wyrzec na zawsze.

Zaczął mu się Lechistan podobać, gdzie wolność szlachecka, istotnie tchnie ludzkością i wyższością od tej niewoli wolnych może w roku panowania nad skrawkiem ziemi, ale rzuconych w lochy lub na tortury, jeżeli tylko się cośkolwiek nie spodoba władcy.

W jego oczach, dwóch agów, dowódców najlepszych janczarów, stracono w okrutny sposób za to, że jeden ukrył w haremie własną haremkę, którą zobaczył sultan raz podle ogrodu, gdy szła na spotkanie dziewic-sultanic, by się im pokłonić... a drugi, że wydał za wiele na uzbrojenie, zaś posądzono go, iż ukradł dla siebie pieniądze...

Pierwszego, związanego bito w oczach sultanic, a potem nurzano w wodzie, aby znów go do nieżywego stanu smagać. Drugiego psy szarpały, aż zginął podle proga końskiej stajni w oczach janczarów, którzy mu grali, by głuszyć jęki.

Cierpnął Deren i wił się, skomlać wyrazi zaklęć, że onby nie chciał takiej nagrody... Aby myśli odsunąć od siebie, podjechał ku dowódcy Armeńczyków i spytał: — Ilu tu pewnych w tej załodze? — mów, ale prawdę, bo-bym cię nagrodił za kłamstwo sowicie. — Patrzył w oczy chytrze młodego junaka.

— Oni wszyscy wierni, ale tutaj wierność jak cza-prak, można na każdego konia włożyć i uda się, tak i oni, dziś Panu, jutro innemu, służyć będą.

— A gdyby im obiecać spore sumy, a i coś więcej?

— Możeby to ich nakłoniło do prawdziwej wierności!

— Otóż daj każdemu z kasy mojej tyle, by mógł sobie u Ormian kupić wyprawę własną, zaś żywności nie żałować, boć droga niedaleka, a po drodze ryb i suszonych sucharów sporo dostać można. Niechże mi wiernie służą!

Młody dowódca, gdy postój odbywano, ogłosił wolę i rozkaz Derena, a kiedy ze szkatuły dostali złote monety, zaś żywność wcale dobra zaspokoila wilcze apetyty, szli wszyscy ławą, aby w pokłonach ślubować wierność Derenowi.

Każdego dotkliwie zwyczajem, targał za włosy, lub kopnął, aby temsamem przyjąć do wiadomości zapewnienie wiernej służby jemu a nie innemu, choćby obiecywał złote góry.

— Możecie i o wolności myśleć, kiedy przyjdzie czas spokojniejszy, a ty „ago“ — zwrócił się do junakadowódcy, możesz nosić odznakę, jak janczarski komendant.

— Tu wola niech będzie największą łaską Twoją, Panie i Władco mój.

Kiedy usłyszał Deren te słowa, zdjął pierścień z palca i dał mu go pocałować, a mały też amulet dotknęły usta rozradowanego agi u Derena. Każdy bowiem mógł na własną rękę mianować sobie dowódców, o ile miał pieniędzy na utrzymywanie armji. Tylko w czasie wojny bezwzględnie się poddawał dowódcy sultana lub innego wodza, o ile nie sam sultan prowadził armję do boju.

Mając kilka sług, którzy ocaleli z tej znienacka groźnej opresji, jednemu polecił baczyć, czy dowódca nie łże lub nie godzi na jego życie, śledzić wprost jak cień tego człowieka, drugiemu pilnować wozów, zaś dziesięciu, może najlepiej uzbrojonych, otaczało jego wygodną kolasę, gdzie naprzemian leżał, to siedział, a też zwyczajem ówczesnym żuł jakieś sobie ziarenka, by spluwać dokoła, mając wcale wygodne miejsce, bezpieczne.

I marzył sobie o Bandurównej!

Ona go przecież pokocha... Wszak jej ofiarował serce i miłość bezgraniczną, tulił ją, spełniał życzenia, jakby najwierniejszy pies i sługa. Wyrzucił wszystkie dziewice z haremu; mieszkały podle pałacyku, osobno, a żadnej nie wolno było przestąpić progu, gdzie Laszka... królowała. Nie pragnął nic od niej, okrom słowa — kwiatu, lub uśmiechu, blasku jasnego, słonecznego z jej oblicza, które dlań było najcudniejszym z obrazów ludzkich, a wcieleniem niemal całej poezji wschodu, którą on, syn i twórca bajek czarujących, znał, a wcielał w obraz tej Laszki, niby zjawy i wizji, jaką czytał w Koranie lub słyszał o podobnych z ust różnych magów...

I teraz, gdy podróżował brzegiem morza, gdy niemal codziennie widział toń szarą w dali, a błękitno-różową z brzegów, nurzał w niej marzenia, by je jeszcze bardziej wykapać, uszlachetnić, aby w nie ubrać ukochaną Laszkę i z nią sobie stworzyć żywot inny, aniżeli ci władcy haremu, lecz żebracy szczęścia, jakie można dzielić — w co teraz dopiero wierzył Deren, z jedną kobietą tylko. W tym synie wschodu, który żył odwiecznie w wielożeństwie, nagle się jakaś chęć monogamji, niby pod wpływem Polski, wynurzyła, świetlana w marzeniach i budowaniu przyszłości z Bandurówną.

— A gdyby tak przenieść się do Lechistanu?

— Możeby go szlachcicem zrobili i żyłby narówni z innymi... Ale wiara? Wszak on w ich oczach... poga nin, jak ci są giaurami u Turków... Niewierny, czy mógłby się stać „wiernym“... On już się stał wiernym Oleńki!

A miłość to i wiara... W Koranie czytał: wierzyć, to przemienić się w motyla, który wszędzie jeno słodycz znajduje, bo kocha tę kwiatów moc, jak wierzący, ją pije z tajemnic niezbadanych, ku tej rozkoszy i zniweczenia bólów, aby móc stopniami osiągnąć najwyższy, w sferze najczystszej, w sferze wcieleń boskich.

Przypomniał sobie, że w orszaku jego jest śpiewak i grajek, Tarafa, z pochodzenia Arab, ale umiejący i tu-recką piosnkę w jego języku mu zaśpiewać, więc zawołał na sługę, by ten Tarafę przywołał.

Biedny Arab myślał, że gniew w srogiej karze spadnie na jego barki, toteż wystraszony, że ledwie mógł spojrzeć na Derena, stanął przed nim. Ale ten uśmiechnął się i rzekł wcale przyjaźnie: — Znaszli piosnkę miłą, zaśpiewaj mi!

— Oby ci panie tylko serce uradować mogła! — odrzekł, uspokojony wewnątrz Arab, lubo chytrem okiem jeszcze szukał wyrazu istotnego w twarzy Derena.

Deren opuścił kolasę, dosiadł swego bachmata i kazał Arabowi, aby szedł tuż koło niego i śpiewał. Arab nie kazał sobie życzenia powtarzać, ale odrazu zanucił smętnie pieśń miłą:

Ciężko, gorzko mi bez ciebie,
co po słońku mi na niebie,
co po rosie na tych drzewach,
co po ptaszkach gwarach, śpiewach:
wszystko mroczy mnie żalobą,
gdym nie z tobą!

a kiedy przeciągła nuta ostatnich słów zaczęła już ginąć w echach, Arab po chwili zaczął:

ciężko, gorzko mi bez ciebie,
co po słońku mi na niebie,
słońko moje stokroć czystsze,
i jaśniejsze — i ognistsze!
rozświeć, rozświeć, słońko złote,
mą tęsknotę!

I jakby w takt tej pieśni, zachód rozlał czerwień, by nią oświecić dalekie krańce, a w odbłaskach i morze, jakie przejrzało z poza skał, niby ukryte tafle lub lustra w pałacach sultańskich. Deren, spowity pieśnią, oczarowany krajobrazem, o mało, że się nie zwałił z niskiego zresztą bachmata, ale ocknąwszy się niebawem, jął pytać Araba: — Skąd umiesz te piosnki? U nas inaczej nuca i śpiewają?

— Oto piosenka Majumy, śpiewana u nas często, gdy młody zapragnie dziewczyny i chce się jej przypodobać.

— A znasz inne, boć widzę, żeś jakby poeta lub nasz derwisz, który śpiewa ale tylko wyimki z Koranu...

— U nas nie godzi się Koranu śpiewać, natomiast pieśni miłosne lub te, które opiewają boje, nucimy dowolnie a ku uciezce rzesz, gdyż w zwyczaju naszym słuchają je na bazarach liczne tłumy i nieraz hojnie za to płacą!

Masz psi synu i tę garść odemnie, bobyś myślał, że ja darmo chcę pieśni. — I dał mu spory woreczek, co-prawda drobnych monet, ale Arabowi aż się oczy rozradowały, boć nigdy takiej sumy nie posiadał. Schował ją, oglądając się, czy kto nie widzi, ale orszak wysunął się znacznie naprzód, że Deren zawołał:

— Ale musimy podążyć, by nam się nie przytrafiło nieszczęście... i kiwnął nań, a spiąwszy bachmata, nieco przyspieszył biegu.

Arab włókł się, radując serce sakiewką, która mile dotykała jego ciała, drażniąc je, ale i myśli różnemi planami: — Gdyby tak ukryć się w tych skałach i wrócić do swoich... — popatrzył tęsknie w jary i jakieś zaułki skalne, które nad wybrzeżem stworzyły, jakby ulice, pełne tajemniczych skrętów i niedocieczonych kryjówek.

Ten Deren, zgoła jakiś wojownik, czy też może zbójnik, bo mu Arab nie dowierzał, wpatrzywszy się w głąb oczu, nie mogących ukryć przed Arabem swoich planów, wcale awanturnicznych. Rad był Tafara, że Deren pędził, nie oglądając się za nim, ani też nie próbując zniweczyć planu jego uciezki. To też, kiedy Deren dobiegał do orszaku, zniknąwszy snadnie z przed oczu Tarafy, ten, co rychlej, jak kot, wpadł między skały i nuże, pośród nich biec, jak kot zwinny, gdy go psy osaczają i rad, że im uszedł w miejsce, gdzie trudniej o zwęsenie, aniżeli o nieszczęsne zabłądzenie, gdy kot panem położenia... Skały istotnie tworzyły labirynt przedziwny, tak, że Arab mógł je mierzyć nie dniami, lecz tygodniami, by sobie w nich szukać miejsca...

Orszak Derena posuwał się szybko, aby przed nocą gdzieś bezpieczniej zdążyć. Nie chciał się Deren spotkać z Tatarami, aby przypadkiem nie trzeba się bronić było,

bo nie był pewny ludzi, którzy służyli, jak „czapraki koniom“, wtedy, gdy mocno siedzi się na nich, rzemień cały i nie rwie się... Wolał dotrzeć do swej siedziby, aby postanowić zresztą dumny plan, jaki może już dawniej się zrodził, a tylko chwila upojen z Bandurówną odsunęła go, by znowu odżył w fantastycznej głowie Derena. Wszyscy z jego rodu snuli dumne i fantastyczne plany, więc i on, nieodrodny potomek, budował kolorowe pałace obok własnych, też pełnych uroku wschodniego. Oby zniewolić sobie Bandurównę. — Ona musi mu ulec, albo zdoła ją nakłonić... Już się w nim odzywał władca harem, gdy wtem coś potrąciło o niedawno zasłyszaną pieśń...

Wspomniał sobie Araba, mimowoli się oglądnał, lecz go nie widział.

— Gdzie Tarafa? — spytał sługę, który kolasy pilnował.

— Z tobą i za tobą szedł Panie, a nie widzieliśmy go, więc pewnie zdążył powoli, aby tylko nie przepaść z nocą, bo to w ich zwyczajach...

— A tyś go znał, że tak mówisz o nim? — spytał groźnie Deren.

— Panie, pytałeś o niego, więc, co wie sługa, mów wszystko, lubo nieznaną mej myśli, obcy ten Arab... — pokornie odezwał się pachoł.

— Wy wszyscy macie jednakie psie myśli i uczucia, tylko was nie zamknąć, w kajdany nie zakuć, jesteście pokorni i chytry równocześnie! — perorował Deren.

— Nie myśl Panie o swym słudze gorzej, aniżeli było w istocie, bobyś mógł gniewem zapalać, gdy ci się godzi jedynie radością żyć i wracać szczęśliwie — bałamutnie lecz sprytnie odrzekł pachoł.

— Widzę a i słyszę, żeś ty musiał dawniej nie wozów pilnować, ale chyba wiersze układać, bo mówisz jak ten pies czarny, który się wlecze krok za krokiem za nami.

— Panie! układałem wiersze, a zaśpiewałbym ci może piękniejsze, aniżeli ten, któremu kazałeś śpiewać, by rozkoszować, a może smucić tylko myśli swoje... Bo

tamten wiecznie smutny, skryty i posepny, nie znał innych, a tylko te, które łyzy wyciskają, a wór smutku rzucają na barki człowiekowi.

— Więc zdaj pilnowanie na drugiego, a choć ku mnie i śpiewaj mi, abyśmy mogli się przekonać, którego pieśni lepsze.

Jednym susem, niby ten zwinny żbik, odrazu opuścił swoje miejsce, aby stanąć przy Derenie, rozglądając się i zmiarkować, że Arab przepadł, a więc on jeden będzie tu śpiewakiem.

Nie długo czekał Deren, boć Enbalep, jak zwano go, istotnie śpiewak, mistrell, w swojej ojczyźnie, dostawszy się do niewoli, nie zaprzestał nucić piosnek, do których muzykę i słowa, sam wdzięcznie układał.

Podobno, iż co najpiękniejsze z tych piosnek, zawdzięczał swojemu mistrzowi, u którego młodość wczesną spędził, a obdarzony pamięcią, nie uronił ani jednego słowa z tych „pozłacanych“ pieśni, jak Arabowie zwykli nazywać, co piękniejsze poematy w swojej ojczyźnie. Wiedząc, że Deren jest rycerzem i kawalerem wielkiej fantazji, więc też zaczął mu nucić rycerską wespół piosnkę, Skargę Abli, do której melodję sam dorobił, zaś pieśń samą, będącą w różnych okolicach popularną, a też w kilku odmianach, stosownie do upodobań, nagiął i on potrosze do znanych mu wypraw Derena, a po części i miłosnych jego tajemnic, o których przecież wiedzieli słudzy, boć mimo odsuwania ich od spraw pana, oni znali nieraz lepiej jego „myśli i słowa“, aniżeli się sam spodziewał.

Wojownicy mego ludu,
złamcie pęta mej niedoli:
powiadomcie wy Antara
o żalósnej mej niewoli.

Odkąd wdał od swej gazeli
odszedł lew niepokonany:
wszystkie naraz pęta grożą
jego biednej ukochanej...

Ból wyczerpał moje serce —
 wszystkich sił wysączył soki:
 ileż cierpień teraz znoszę,
 mając wokół jego mroki!

Za najmniejszym wiatru wianiem
 na samotne padam łoże:
 jak więdnący kwiat w ogrodzie,
 co bez światła żyć nie może...

Toć im większa moja klęska,
 tem szczęśliwsze moje wrogi,
 odkąd przed tym moim panem
 moich drzwi zamknęli progi.

ileż obelg i poniżeń
 znoszę tu przez czas ten cały:
 toż na widok mej rozpaczy
 nawet głązy by płakały.

Wojownicy, błagam, byście
 Antarowi powiedzieli,
 że jedynie lew potrafi
 bronić życia mej gazeli...

Pieśń smętna, ale szczerze przez Enbalepa śpiewana, drgnęła echem jakowychś wspomnień u Derena, skoro się zadumał i niemal milcząco jechał, aż wtem, nadbiegł z przodu jadący „aga“ nowomianowany i stanął przed Derenem: — Pani! oto w oddali tysiąca kroków pali się wieś czy też większe ognisko niewiadomej przyczyny, czy tam mamy dążyć, czy też ominąć, bo droga krótszą byłaby nad brzegiem morza, jak dotychczas. — Czekał odpowiedzi, dziwiąc się, że Deren nie mówi, aż w dobrą chwilę się ozwał: — Jedźmy wzdłuż morza. — Istotnie i stamtąd nieco światła, więc można było wygodnie podróżyć. Deren, nurząc swe myśli w zapamiętanych słowach pieśni, spytał Enbalepa: — Dawnoś w niewoli, boć u mnie, o ile pamięć mnie nie myli, dopiero rok jesteś?

— Paniel niewola moja od wczesnych lat młodości, a że już trzydziestą piątą oglądam, więc liczę na trzydzieści, jakie w niewoli się przeżyło...

— A skądże pieśni tak piękne umiesz, niewola ich nie nauczyła cię?

— Wraz z moim mistrzem od piątego roku byliśmy na dworze baszy w Arabji, gdzie już się śpiewało za nim pieśni wojenne, lub uderzało pałeczkami w instrument czterostrunny...

— O ile mi służyć będziesz wiernie, obdarzę cię wolnością, ale musisz mi towarzyszyć i na wojnę... Znasz sztukę władania mieczem?

— O! Panie, oby stał i tobie była tak posłuszną, jak mnie, gdym nieraz ją szcerbił na tatarskich lub lackich karkach...

— Byłeś widzę w wyprawach ze swym baszą? — spojrzal groźnie pod blask łuny w oczy Enbalepa, Deren, gdy oto w niedalekiej odległości od łuny jechali.

— Walczyłem nie u jego boku, bo tam godniejsi byli i ścierali się, ale nieraz i w pierwszych szeregach stanąć mi przyszło!

— No! łiesz lub nie, ale i tego doświadczę, a potem, jako ci słowo dałem, że cię uczynię wolnym panem swojej woli, gdy mi okażesz wierność, której potrzebuję i potrzebować będę długo...

— Niech Ałlach! wraz z tobą i twą myślą będzie, jako to niebo nad nami, prawdą i jasnością.

Istotnie, lubo noc zwieszała się, niby ciężkie zasłony, gdzieś wdali, nad morzem i jego brzegiem, jaśń biła ze sklepu lazurowego, jakby za nim księżyc lub zgoła światłość łuny się paliła... Zwykle nad morzem takie niebo, o ile pogoda rozsiewa tę czystą, bezmgielną toń, w odbiciu morza spotęgowaną, by noc zmienić w widną, jasną... Nad morzem takie cudowne odbłaski nieraz łudzą, że się nie nocą, ale w brzaskach zorzy podróżuje...

Enbalep rozradował się w sercu, że może kiedyś wolnym się stanie! I nie żałował, że pieśni tej wyuczył się, boć jej może zawdzięczać będzie wolność... Często

bowiem ludzie oddają skarby i dzielą się nimi, aby w ten sposób opłacić piękno... A przecież pieśń ta kryje piękno podwójnie; w tonach melodji, w czarujących słowach rymów...

Przepowiadała Enbalepowi stara, ślepa żebraczka u wrót cmentarnych, gdy szedł ze swoim mistrzem odwiedzić mogiłę wielkiego poety, że pieśń go zbawi, jako że uczynił ofiarę ze swojego życia... Ona uratowała życie niejednemu w oczach rozgniewanego sultana, a i tatarscy chanowie darzą pieśniarzy hojnie, często i wolno puszczając, bo wiedzą, że w pieśni zaklęcie, często ukryte, może się spełnić, gdy ją śpiewak ku chwale nuci, a równocześnie i przekleństwo dołączy... Takie snuł myśli Enbalep.

Kiedy nazajutrz odpoczywali nieco dłużej, bo burza nie pozwoliła się im wybrać natychmiast w drogę po spoczynku, Deren spytał się o Tarafę?

— Panie! — odrzekł wierny sługa — Tarafa, niby kamień rzucony w odmęt morza, zginął, ale oby Allah ukarał jego bezkarność wobec ciebie.

— Kazałbym ciebie rzezać tutaj, byś mię wcześniej o tem powiadomił?

— Nie chciałem zagniewać twego oblicza! Panie, jakożem sługą, by tylko dobrze czynić Panu swemu i dobre obwieszczać mu sprawy!

— Łiesz, psie, boś pewnie z Tarafą się zmówił, ale powiesz prawdę, gdy cię spytamy różgą...

Runął wierny sługa, a Deren, kazał go adze oświadczyć, co ten uczynił sprawnie i szybko. Pod razami wyznał, że Tarafa nietylko o ucieczce, ale o zabiciu Derena, marzył.

— Wiem już prawdę, miej go na baczności, aby też mu się nie zachciało myśleć zbyt śmiało, jak Tarafie, a czynić śmieiej!

— Dobrze, Panie, zatraci wszelkie myśli pod mojem okiem czujnem, które potrafi i wgłąb myśli sięgnąć...

Dotąd jechali bez rzadkich niespodzianek, lubo częstych w podobnych wyprawach, spokojnie, by wzdłuż morza dotrzeć do siedziby Derena. Enbalep nucił jeszcze

piosenki Derenowi, ale miłosne, bo takich pragnął Deren, im bliżej był ukochanej Laszki. Więc opiewał tęsknoty zakochanych lub miłość płonącej zorzy, gdy burze ją chcą słońce przed obliczami zakochanych w jej czarującym świetle, to znów o kwiatach, które kwitną tylko w pewne noce, aby je mogli znaleźć zbłąkani, a nimi zdobić skronie ukochanej dziewicy... Minstrell istotnie szukał coraz to nowych, spamiętanych piosnek, lub śmiało a dobrze układał improwizowane, gdy z natęctwem a w głosie tłumioną grozą rozkazu, dopraszał się o nie Deren. A za nie zapłata wolności snuła Enbelepowi wprost chramy rozkoszy, gdy będzie mógł i on być panem woli swojej. W leniwej duszy Araba przecież wolność była też skarbem bezcennej wartości. Bo, cóżby mu było i po wygodach, a nawet dostatkach, gdyby każdy kaprys pana i władcy zwisał nad nim, niby te chmury burzy na hasającym po falach okręcie, który może jedna burzy chwila znieść z lekkością przedziwną, jak gniew i ręka z mieczem jego głowę, gdy w niewoli ją trzyma, jakby nie na własnym karku.

Znając już natury ludzkie, mógł wierzyć rycerskiemu słowu Derena, który przecież nie był trzcina w tem, co zasię obiecał Enbelepowi za jego pieśni tak wdzięczne i słodkie, pieśni miłosne.

XI.

Na dworze Sultana*) przybycia posłów z Lechistanu oczekiwano napróżno... Już kraj ten nie drżał przed potencją turecką, bo miał królem wielkiego pogromcę największego wówczas z wrogów Polski, Sultana... Więc mógł dumnie stawić czoło, ale też i zacząć armję, aby strzegła granic Rzeczypospolitej. Zaś król, Jan III Sobieski nie spoczywał, ale nękał i nękał swoich wrogów tureckich... To też rady, jakie odbywały się w komna-

*) Mahometa IV, nazwę opuszczamy, gdyż nigdy ani padyszacha, ani sultana nazwiskiem nie tytułowano.

tach Sultana, kończono jednym okrzykiem: — „Oby zginął ten władca Lechistanu, który zasłania nam blask półksiężyca swoim krzyżem, a jego szabla, oby rdzewiała w pochwie, nie szczyrbiała się na naszych karkach walczyńskich“... Sultana uderzał swoich dowódców kindżalem lub kawalkiem żelaznej sztaby, jaką z jednej z twierdz, na Polsce zdobytych, przywieziono, aby była dobrym znakiem upadku innych.

Znudzony Sultana obietkami, że posłowie nadejdą, a o tych ani znaku lub też jakiegokolwiek wieści od pojmanych nie miano, kazał zwołać pod koniec roku 1674 naradę, czyby nie należało uderzyć znów na Polskę?

— Cóż Ibrahimie sądzisz o tej wyprawie nowej — zagadnął Sultana leżącego wygodnie Ibrahima, tłuszciocha (Szyszmana), (który się radował ostatnio śliczną dziewczicą, jaką mu z Persji przysłano, tam skradzioną w drodze, gdy właśnie miała się udać do jednego z miejsc cudownych, aby złożyć ofiary w cennych darach).

— Władco mój i Paniel sąd mój płynie z twojej woli dla mnie świętej, ale, jeżeli śmiem mówić i własne zdanie, to... — tu urwał, bo Sultana zmierzył go, aż mu słowo utknęło w gardle, a opasłej wcale szyi.

— Mów, bo tę sztabę rozbiję na twojej głowie lub twoją głowę ona pogruchocel!

— Paniel niech sztaba — o ile mą głowę ma rozbić, wprzód twierdzę polską nam przysporzy, a teraz słuchaj, Władco Jasny i Wielki: schwytano niedawno oddział jakiegoś tam szlachcica, który szedł sobie ku naszym granicom, podobno w jakiejś sprawie osobistej, prosić twej łaski, pewnie za niewolnikiem krewniakiem, otóż od niego dowiedzieliśmy się, że nowy król, Sobieski, który jak ogień żre płomieniem naszą Ojczyznę, gotuje się do wojny, a tylko chwilowo zbiera posiłki i pyta się swoją radę sejmową o zgodę, czy też o pieniądze na tę wyprawę prosi... Musimy uprzedzić króla, by raczej on nas, a nie my jego o pokój się znów pytali...

— Mówisz jak ten, który zgubił wory na pustyni napelnione wodą, a szukał pereł kosztownych. Czy możemy być gotowymi do walki?

— W tej mierze dam nietylko ja, ale i inni odpowiedź, abys się przekonał Władco, że zgodnie obliczamy wszelką przyszłość.

— Więc zwołaj Nuradyna, a też i pomniejszych agów i baszów, aby nam wszystko wyjawili, a nie taili, bo głupcem nie jestem i znam w słowach plewy, a potrafię je rozpoznać od ziarn dobrych.

Na chwilę znikł Ibrahim w oddalonych komnatach pałacu, a Sultán kopnął drzemiącego karła, by wstał u stóp jego.

— Ukryj się psie jednooki w drugiej komnacie, a bacz, kto tam podsłuchuje, abys mi, gdy dam znak sztabą (uderzę o tarczę!) przyszedł i powiedział.

— A jak nie będzie nikogo — zabelkotał raczej skuczeniem lub skomleniem swoją mowę belkotu, karzeł Orim.

— Psiel nie pytam cię ni kazuję o nikogo, ale o tego, który tam będzie napewno a teraz zgiń, lub spraw się dobrze, boć bym skończył twe i tak niepotrzebne dnię żywota! — kopnięciem zmusił go do zwinnego potoczenia się i zniknięcia tak tajemniczego, że najwprawniejsze oko ne mogłoby odgadnąć, czy to Orim się potoczył, czy też cień jakowys z oddalonych komnat smugą musnął błyskawicznie przestrzeń.

Ibrahim włókl za sobą wcale niechętnego, gburowatego Nuradyna, który też nie miał miru na dworze Sultana. Lecz przed władcą wyprostował się i co sił starczy bił pokłony należne, aż Sultán, mając już dosyć tych oznak zewnętrznych, ryknął:

— Siądź lub się połóż, boś widocznie obżarty, że tak stękasz, zamiast się radować, iż cię chcę widzieć na moje oczy! — I z tobą i te psy, nienasycone!

— Panie, jużem strawił wszystko, a gotowem oddać dla ciebie...

— Milcz i oddaj psom swoim, psie, w budzie mojej najgorszy!

Nuradyn odrazu struchlał, ale przecie wiedział, że bezeń nie obejdzie się dzisiaj Sułtan, więc rozciągnął się wygodnie, a fajkę długą już miał ochotę odświeżyć węgielkiem, gdy sztaba zleciała nań niespodziewanie.

— Czy armja nasza gotową, abyście wyruszyli na Lechistan, gdy stamtąd nie kwapią się o pokój? — ale mów prawdę, boś ty jeden z największych łgarzy w mojej radzie, a tylko chciałbyś podarki i lupy chować bez końca.

— Władco! — rzekł Nuradyn spokojnie, odsunawszy sztabę, która go wcale dotkliwie ugodziła — armja nasza wielka i może sobie życzyć zwycięstwa!

— Ibrahimie, a ty co na to odpowiesz, względnie dopowiesz?

— Jest w tem prawda, oby ją tylko jeszcze prawda zwycięstwa potwierdziła!

— Mój ojciec — rzekł Sułtan — mawiał: „Zwycięzcą ten, który nigdy o zwycięstwie nie mówi“, a wy, psy, tem się salwujecie przed gniewem moim!

— Więc wierz nam Władco, że istotę mówimy wierną, prawdziwą: armja nasza wielka i tym razem damy radę „hazemu“ w Polsce.

— Zdobycie musicie nie tam małe zameczki, ale boddaj wielkie miasto, które zwą — jak to Nuradyn?

— Warszawą, stolicą państwa! — odrzekł, głupio wytrzeszczywszy oczy.

— Stolicy nie weźmiesz, bo daleko, ale gdybyć zdobył tę ongi ruskiej ziemi!

— Lwów — Panie i Władco — dorzucił Ibrahim!

— On go nie zdobędzie, bo nawet nazwy zapomniał!

— A jak myślisz, czy zdobywszy Lwów, możnaby ugiąć kark tego króla?

— Panie! wiesz, że radbym jego nie kark, ale głowę, jak Żółkiewskiego, rzucić do twych stóp, ale to głowa nieco większa, a i królewską jest, więc trudniejszą do ścięcia! — odrzekł, nie tając lęku przed Sobieskim, Ibrahim.

— Psie! moi przodkowie takich głów ścinali setkami, a ty tej jednej nie możesz!

— Bo głowa nie każda przeznaczona mieczowi... — próbował Ibrahim oponować.

— Twoja spadnie, gdy nie będę widział tamtej! — odrzekł Sultán.

A Ibrahim tylko się pochylał w ukłonach, co za nim czynił Nuradyn.

— Odejdźcie do swych planów wojny, jakie mi pokażecie, a ja tymczasem zapytam kogo innego jeszcze o radę!

Odeszli, nie śmiejąc nawet pary z ust wypuścić, aby więcej nie nużyć Władcy, zresztą niezręcznymi dzisiaj odpowiedziami.

Znów, by migot blasku, wpadł karzeł, aby się znaleźć u stóp Sultána.

— Kogoś widział? mów psie, ale znakiem, aby nikt tu nie słyszał.

A karzeł uczynił rękoma jakieś sploty palców, a na ścianie zobaczył Sultán wyraźnie głowę kobiecą.

— Napewno żal jej, że Ibrahim wyruszy na wojnę. Kocha niewierna, aby jemu i sobie, zgubę zgotować — pomyślał Sultán.

— Znasz starego Kime? — spytał karła, gdy ten prawie, że ukrył się zupełnie w fałdach sukni i pośród dywanów.

— Zająknął karzeł, że ledwie ludzkim głosem, potakując!

— Otóż! — podniósł głos Sultán — idź i sprowadź go natychmiast.

Znów karzeł w susach, niby zwierz, zniknął z komnaty, aby spełnić rozkaz, gdy Sultán, uderzając trzykroć w tarczę, dawał znak jednej ze Sultanic, aby weszła.

Zakwefiona, uroczą w tej tajemniczej, swej sukni, smukłą i czarującą, jak dziwne zjawisko kobiece, czy też jakowejś rusalki, weszła po chwili Sulejka, ongi ulubienica i jedyna z haremowych dziewczyc, ukochana przez serce sultańskie, pani swych komnat, bogactw i dumna z władzy swojej nad sultánem. Lecz miłość jej ku Ibrahimowi, rycerskiemu, ale z gruntu fałszywe-

mu człowiekowi, jakoś oziębła stosunek jej do Sultana. Lecz jeszcze Sultán cenił jej piękno, jej tajemniczą władzę najswiętszej z róż jego ogrodu, skoro, czekając parę tych chwil, zanim odgłos kroków doszedł z komnaty Sulejki, i niepokoić się począł, a nawet trawić tęsknotą i zazdrością.

A kiedy weszła, mimowoli powstał, by ją powitać.

I ona złożyła ukłon, lecz w ruchach dumnej władczyni raczej, aniżeli haremowej dziewczki.

— Mów jak tve zdrowie, azali cię co nie boli? — słodko się ozwał Sultán.

— Nigdy się nie skarżyłam w twoich komnatach, Panie, tembardziej i dzisiaj tylko dziękować mogę za bezgraniczne łaski twoje! — mówiła spokojnie, co najwidoczniej drażniło Władcę, bo zmrużył oczy, by lepiej się jej przypatrzeć.

— A czemu nie chadzasz po ogrodach, czemu nie używasz jazdy łodzią, jaką ci wyłącznie sprawilem, lecz siedzisz w komnatach samotna?

— Troskliwość twoja Panie, wielka, lecz moja samotność wcale mi się nie przykrzy, owszem czuję, że mi lepiej oddawać się życiu w komnatach, aniżeli odchodzić od ciebie Paniel!

— Czybyś się lękała o mnie?! — pytał, badawczo patrząc na Sulejkę.

— Panie, życie władców często narażone, czas niepewny, a któż cię obroni, kto cię nie otoczy opieką, jak nie ja, która ci winną jestem życie moje!

— Jak szczeremi te słowa, tak drogą mi opieka twoja, lecz droższem i życie twoje, jakiego doznawaj w pełni rozkoszy, swobody.

— A któżby godził na me życie? — może coś ci wiadomem, gdy ja nic nie wiem, droga mej myśli sennej i na jawie, Sulejko.

— Paniel! w tem państwie niewolników, wszyscy są raczej schowani za zasłony kłamstwa i podłości, aniżeli otwarci, więc trzeba się każdego obawiać, zaś, zaręczam, że w ucho moje nie dostało się żadne słowo oba-

wy lub lęku, aby nim był ktoś z otoczenia podejrzeń godny.

— Sulejko! dzisiaj niechaj się bawię, ja i ty, wraz z tymi, których każesz, by weselili nasze, chwilowo tak stroskane serca. Wybieraj, ja sproszę wesolków i muzykę, ty, dziewczki i każesz im tańczyć. Wiesz, że taniec przenoszę nad wszelkie zabawy i widowiska.

— Oto zaraz przyjdą tanecznice, które już dawno nie weseliły nas w tych komnatach, boć sprawy wojny, tak zabierały dni rozkoszy, aby cię Panie trudzić tylko i niepokoić o te losy orężnej przyszłości...

— Nie mów tego! Niech Ibrahim i Nuradyn obaj wodzowie, łamią głowy w myślach, jak cięcia szabli i naszych włóczy krwawe rzuty!

Tu spojrzął, czy Sulejka nie zmieni się w ruchu... Lecz ta obojętnie słuchała słów i nazwiska Ibrahima... A czemu go śledzi, czemu — jak wiem, o niego się dowiaduje... Dzisiaj się muszę przekonać...

— Więc idź, by sprosić tanecznice... i ja też wyjdę na chwilę!

Sulejka, skłoniwszy się zwyczajem wschodnim nisko, opuściła komnatę, zaś Sultán powiódł wzrokiem za nią, jakby i w tej chwili chciał przeniknąć jej zamysły, jakby chciał tę niewolnicę zmienić w szczerą i oddaną towarzyszkę życia, gdy tylko mu była wierną sultanicą, tak długo, dopóki i on na tronie władnym panem. Wiedział: niech tylko bunt wzniecą, obalą go, a nikt się nie ujmie za ongi władcą, a nawet zemstę wyrze w trójnasób.

Oddał się Władca, ten dumny i mroźny, lecz w duszy tchórzliwy, różnorakim marzeniom, co zwykł czynić w lenistwie umysłu, braku woli, a już żadnej inicjatywy, boć takim on był na tronie. Jedyne chytróść i podejrzliwość, co chwilę mu jakiś plan podsuwały, tym razem, aby się lepiej przekonać, czy istotnie kocha Sulejka Ibrahima, obmyślił dość płytką zabawę — widowisko.

Stary Kima był wprost sobowtórem Ibrahima. Więc nieraz go brano za wodza wojsk i stąd często były kro-

tochwile w Stambule. Raz szedł sobie Kima podle pałacu Sultana. Wtem pada przed nim aga janczarski, błagając o wstawiennictwo za nim, gdyż oskarżono go o zdradę niesłusznie, niewinnie...

— Ibrahimie, wodzu nasz wielki, w łaskach jesteś u swego pana — Władcy naszego Wielkiego, przemów, by nie karał mię, najwierniejszego z wiernych... — tarztał się w kornej postawie u nóg Kimy, biedny aga.

— Pójdę do Władcy, czy mię wysłucha, nie wiem? Ty, czekaj tutaj!

I poszedł Kima, straż go nie zatrzymywała, myśląc, że Ibrahim przed jej oczyma się przesunął... Wszedł Kima, a i Sultán, zrazu nie poznał, iż to sobowtór Ibrahima...

— Lepiejbyś nie wchodził, bo pewnie niesiesz wieść o klęsce nowej — odrazu go Sultán strofował. A Kima nabrawszy ducha, rzekł spokojnie: — Panie, jam nigdy nie był u ciebie zwiastunem klęsk, ale jedynie wesołości, boć jestem nie Ibrahimem i Ibrahimem...

— Toś ty, psie o podobnej tak twarzy do naszego Wodza... Ubawiłeś nas, więc i tym razem radzi jesteśmy, żeś przyszedł, lecz z czem? — wesoło rzekł.

— Panie, aga Nupachim, wierny z wiernych, nie popełnił złego czynu, o jaki go podejrzewają! Wierzaj, jako mnie, Kimie staremu wierzyć i ufać można, pokornie za nim proszę i błagam, a niech moja prośba trafi by słońce radości poprzedniej, do serca Mego Największego Pana...

— Niech Nupachim dalej sprawuje swój urząd..., a ty, będziesz nas bawił w czasie uczy, gdy cię posadzimy obok Ibrahima.

Tak mu się owa przypomniała scena, wesoła... Boć całą ucztę naigrawał sobie do woli z Ibrahima... I teraz obymyślał, jak będzie Sulejka patrzeć na scenę krotocwilną i tragiczną zarazem... Postanowił udać pojedynek między Ibrahimem — Kimą, a swym młodym agą, który się już i odznaczył, a czyhał na naczelną władzę, aby tę odebrać Ibrahimowi, ogólnie nie nazbyt lubianemu wodzowi... Jedynie Sulejka przemawiała za nim,

a Sultan podejrzewał, że się kocha w tym szpetnym z wyglądu, lecz o pięknej postawie i ruchach urodzonego żołnierza... Wszedł do komnaty karzeł, oznajmiając, że Kima czeka. Sultan od razu się rozpogodził: — Niechaj przyjdzie! — Wszedł Kima, kornie chyląc w skłonach głowę przed najwyższą władzą i tym człowiekiem, jedynym w państwie samych niewolników...

— Dzisiaj zabawisz nas, ubrawszy się w strój, jako wódz naczelny, by stoczyć pojedynek z młodym agą, za którym ongi prosileś, a który istotnie godzien był i jest, by go wywyższyć, a nie karać za to, że są mu zawistni, lubo starzy wodzowie w tem państwie... Sądzę, że rozumiesz, o co mi się rozchodzi... A teraz idź i gotuj się, abyśmy na rozkaz cię tutaj widzieli.

Chyląc głowę czuł biedny Kima, że może dzisiaj tę głowę utracić mu przyjdzie... Jeżeli nie spełni woli, nie zdoła zaspokoić nienasyconego władcę i pana...

Już zbliżała się pora tej chwili, gdy dwór przemienił się w jakąś, by gospodę wesółków, huczącą i trawiącą czas na weselości rozig^o nej, choć nad głową każdego wisiał miecz, gdyby oko władcy spojrzelo nań w nielase, a już w gniewie sam musiałby chyba prosić o karę i przynieść topór na własną głowę...

Orszak dziewic, zebranych z szerokiego kraju, niby perły z dna wielkiego morza, strojnych w przepyszne szaty muślinowe, wzorzyste spięcia, u ramion, z boku, na głowę związane chusty jasnych barw, przypominały prawdziwy ogród, gdzie każdy kwiat walczy o piękniejszy powab w słońcu, jak tu wśród rześatego światła, te stroje *^o bbiety, lubo już niektóre w przekwitłych leciech młodości... Obok nich tanecznicze, jednakowo przystrojone, niby galerja figurynek, lub główek, osadzonych na białych postumentach gibkich nóżek, gołych... Bo władca tylko taki taniec uznawał za rozkosz prawdziwą, za tę chwilę weselości, która pęta zmysły i wodzi je w tanecznym obłędzie po wschodniej krainie bajek... A za niemi, bosonogiemi tanecznicami, długa rzesza grajków, przybranych w fantastyczne stroje, a trzymających jeszcze bardziej fantastyczne instrumenty...

Każdy lśnił od dzwoneczków z blachy, mieniając w blaskach rozlanego światła, niby woda z fontanny, przyskując się lśnięciami kroplami po szerokiej sadzawce dokoła... Grajkowie stworzyli taki korowód. Rozciągnięte dywany, corazto bogatsze, im bliżej komnat wielkiego władcy... W olbrzymiej sali już miejsca na wzniesienie zajęli dygnitarze, oczekujący na przyście Sultana. I w dziedzińcu, agowie pośpieszyli się, aby też nie opóźnić wzięciem zabawy, boby nie mogli się spodziewać w niej udziału przenigdy...

Sulejka wiedziała, że taniec jej będzie najmilszy oku władcy, ale też i Ibrahimowemu... Ostatni sycił wzrok jej kibicią, którą okrywała dzisiaj srebrnobiała szata, lekka, a głowę tulili strusie pióra, ułożone w girlandę, przepasane złotem, haftowanemi dokoła droginami kamieniami i kokardami, które zdobiły ją uroczo, w pełni wdzięku i tej subtelności, jaką wyczuwało każde oko, a cóż dopiero ludzi, którzy ten przepych rozkoszny przenosili nad wszystko, w nim streszczali się jako ludzie wy rafinowanego smaku i przeczuleń, a żądni tej krancowej orgji zmysłów, aby nią się odrywać od życia ustawicznych planów podbojowych, ustawicznej gry na szachownicach walk i zmiennych, lubo w dotychczasowej glorioznych losów, które wróżyły raczej upadek, aniżeli wielkość tego państwa, do niedawna potęgi nad potęgami...

Szmary dolatywały do sali, gdzie w milczeniu oczekiwano władcę. Cisza wielkiej sali powoli udzielała się i sąsiednim, boć przed wyjściem Słońca, nikt nie śmiał się chwalić, że posiada blask życia...

Fanfara janczarska oznajmiła, że Władca już w drodze do komnaty zabawowej. Pochyliły się stojących głowy, zadygotały kolana i ręce, jakby je przeszył lęk o życie, zaparty oddech tłumił w piersi wszelką ochotę do ozwania się, lub nawet głośniejszego oddechu. Ibrahim witał sultana, a agowie i inni z dowódców, czy też baszów różnorodnych, bili pokłony, niby poruszane wichrem wierzchołki wysokich drzew, a chyląc się niemal ku ziemi...

Sułtan leniwie spojrział na otoczenie, a też leniwie przyjął te objawy niewolnicze, które go nudziły, lubo ich nie unikał, owszem, jak bawiący się kot myszami, czuł pewne zadowolenie z tych holdów i zginań, które niejednemu i ból fizyczny sprawiały. Ucieszył go widok licznych gości tatarskich, którzy widocznie co dopiero przybyli, zapewne z oświadczeniem posług w czasie zamierzonej wyprawy. Toteż im oddał dowody zadowolenia pewnej sympatji, a kiwnięciem skłonił Ibrahima, aby koło nieugo usiadł. Ten zaszczyt oczy zawistne przeszły, jakby stoma sztyletami, odtrąconego od łaski ich, gdy jego, darzy niebywała, sultańska...

— Czy tatarskich posłów przyjąłeś już u siebie? — spytał półgłosem, gdy się wszyscy oficjalnie witali, po przybyciu Sultana.

— Mamy zapewnioną pomoc, a watahy mają sporo języka... Jest też z nimi jakiś poseł z Lechistanu, który domaga się kilku jeńców... oraz o jakąś mu tam dziewczkę się rozchodzi, skradzioną przez Derena...

— Okup wziąć, a dziewczki niechaj szukają u Derena, gdy mogą! — odrzekł sucho Sułtan, a po chwili dorzucił: — Deren, to awanturnik, niechby raczej spraw wojennych pilnował. Czy go masz zamiar zabrać z sobą?

— Pójdzie w przedniej straży, bo zna już kraj, a też ma takich, którzy dobrze znają język...

— Nie żałujesz, że cię chcemy wyprowadzić? — nagle spytał, gdy oto wśród muzyki janczarskiej, wchodziła Sulejka...

— Zawszem gotów, aby służyć tarczą i piersią twój tron, władcy i pana mojego.

Ostatnie słowo wymawiał dość szorstko, co zauważył sułtan aż nadto dobrze. Lecz, nie było już czasu na poufne rozmowy. Sulejka stanęła by złożyć ukłon, zaś niebawem uderzyła w struny jakaś cicha, melodyjnie smętna muzyka. Jej akordy, że ledwie dawały od czasu do czasu, by śmiechem — znać, iż ktoś wśród szlochu cichego się bawi... Sulejka zaczęła taniec, aby zabawę swoim występem odrazu przemienić w szaloną brawurę i rozkoszną chwilę upojenia... Tańczyła, niby opowieść



<http://rcin.org.pl>

o scenach miłosnych objęć, zakłęć, szeptów, aż je gdzieś uniesie fala i na szczytach miłosnej ekstazy przemieni w szal bezgraniczny... Sultan, ale i całe otoczenie łowiło te ruchy, a Ibrahim zdawał się je, jakby obserwację najintensywniejszej walki, wprost z najdrobniejszym szczegółem obejmować, całym jestestwem zmieniać się w tan, jakby sam na sam z Sulejką...

Nie uszło to rozkochanie przed wzrokiem Ibrahima, czujnej do granic przesady podejrzliwości Sultana... Zmierzył go oczyma, a Ibrahim, jakby naprzekór spojrzął tak groźnie, że Sultan zląkł się w głębi, czyżby straconą była ta piękność dla niego, a przeznaczoną dla Ibrahima... Wnet ich rozłączyć trzeba na zawsze... Lecz niechaj teraz i ona się męczy wzrokiem...

Gdy się taniec skończył, gdy muzyka huknęła wartkim potokiem dźwięków, Sultan, odbierał hołd Sulejki, a głaszcząc jej biodra, przymilając się ku jej kibici, drażnił tak namiętnie w tej rozkoszy pastwienia się oczy Ibrahima, że ten kłął a może i wił się w myślach bezskutecznej niemocy, a nawet rozpaczy, w żarze jedynie płomieni, które go na popiół becsiły przemieniały... Wiedział, że tlić się będzie potem jego dusza i myśli, a Sultan, niby ten władca raj, zbierze owoce, choćby zakazane, sam jeden dla siebie. — Boć on tym węzłem rajskim, on tym kusicielem rozkoszy, ale dla samego siebie, gdy Ibrahim dozna jadu i goryczy...

Potem odtańczyły w wirach i tych rozmaitych, mieszanych figur, tańce, niby dziewczęta ze szkoły Sulejki, wszystkie zgrabne, a umiejętnie wyuczone przez dobrą mistrzynię do tego stopnia, że i jej stylem zdołały się już przejąć... I ten taniec nagrodzono okrzykiem, ale wszystkim snadnie igrały w myślach opiumowe widzenia, to też, gdy wniesiono piecyki i fajki, a niewolnicy rozżarzone węgielki kładli, skwapliwie ujęto w ręce cybuchy, jakie poprzez długi otwór sływały wraz ze śliną do ust, mile drażniąc podniebienia...

— Dobrze i coś z rycerskich zabaw zobaczyć dla odmiany, ozwał się władca i mrugnął, dając karłowi znak, a ten skoczywszy nagle, jak pies zęby wbił w stojącego

w kotarze cieniu Kime, w stroju Ibrahimowym, a w nim do złudzeń granic ostatnich, do niego podobny.

Dobyl krzywego miecza z pochwy i ku adze Nupachimowi się zbliżył:

— Ratowałem cię od zguby, teraz okaż się godnym łaski Władcy, a mojej szabli, jako rycerski przeciwnik.

— Chcesz walki, niech ci i tak będzie, boć widocznem i taka wola Sultana, skoro nie sprzeciwia się temu — odrzekł twardo aga, nie zdziwiony, ale też wcale nie uznający wyzwania za igraszkę lub zgola krotochwilę...

Zaczął się pojedynek, lecz aga zgóry mógł widzieć, iż doń zwycięstwo należy, zaś nieco oburzony, iż mu łaskę swoją przypomniał kłown-błazen, a nie rycerz, Ibrahim, za jakiego go wówczas wziął, gdy istotnie żebrał o pomoc i wstawienie się, powziął myśl pozbycia się go, aby też nie mieć dowodu upokorzenia i hańby. Natarł więc z gwałtownością wilka, który ofiarę chce za wszelką cenę usunąć z drogi, a wówczas szabla, niby kły, wdarła się w trzewia, by sobowtór Ibrahima runął i zginął na ziemi...

Rzucili się słudzy, a aga, odpasawszy miecz, położył go u stóp Sultana. Wyniesiono sobowtóra, Sulejka zbłądła, lecz niebawem oczy jej spotkały się z żywemi Ibrahima.

— Kocha go! — mam dowód, choćby przy tej ofierze biednego Kima — pomyślał sultan, a no wysłać go corychlej, a ją wywieźć, aby nie wiedziała wogóle, co się z nim dzieje... A potem go zgładziwszy, aby nie psuł nam i chwil zabawy... Te myśli już wraz z końcem zabawy, która po pojedynku nieco się zmieniła w przyciszoną, jakby wynikiem przestרחu — bawiły szatańsko Sultana...

Sulejkę gładził, do niej przemawiał rozkosznie i zabawnie, a karłowi kazał oddać szablę Nupachimowi na dowód, że ceni waleczność jego i wcale nie gani go za czyn...

— Czyby ten i prawdziwego Ibrahima nie zgładził... — pomyślał i o tem Sultan!

Ibrahim tymczasem zabawiał tatarskich gości, obiecując im dziewczki, jakich widocznie zapragnęli, a ci mu znów mówili, że podobną do Sulejki widzieli, zdaje się u Derena...

— Jest to Laszka, jaką on ukradł w Lechistanie...

— A tu za nią i poseł*) przyjechał...

— Derenowi trudno wydrzeć, boć Sułtan go otacza względami za wielkie zasługi ojca...

— My i takim porywaliśmy branki, a ostatecznie nic się nikomu złego nie stało...

— Tu trzeba złączyć sprawę Derena z wojną, a wówczas i zapłata wamby się dostała...

Umiał chytrą tatarską dla siebie wyzyskać chytry Ibrahim.

Śpiących lub upojonych opiumem agów i baszów wynosili słudzy do nysz lub dalekich komnat przestronnych, gdzie czekały na nich dziewczęta, albo też niewolnicy z różnymi chłodnikami słodkimi, zaś Sulejka wraz z tanecznicami i dworem niewiast, skłoniwszy się siedmiokrotnie, odeszła, aby czekać w sali osobnej na przybycie Władcy, lub samotnie przepędzić, po niemilem wrażeniu z pojedynku, noc na wygodnej, pośród papug i różnorodnego ptactwa, rozeslanej, by runi, ze skór miękkich, lśniących włosiem czystem posłaniu... Zrzuciła z siebie szaty, aby odpocząć, zanim nie przerwie samotności jej Władca...

Lecz Sułtan nie myślał już o niej, mając ważne sprawy z tatarskimi posłami do omówienia. Wiedział, że od ich pomocy zależy niemal istnienie państwa ottomańskiego... W tej Bramie oni, tatarzy, tworzyli dwa skrzydła, odpadną — wróg wejdzie, nie znalazłszy żadnej zapory... A i tron swój właściwie tatarom zawdzięcza... Dla nich trzeba się było i o dziewczki postarać... Znów usłużny karzeł spełnił szereg życzeń swojego Pana. Ten napozór nie człowiek, ale raczej półzwierzę, przecież był dla Sułtana jedyną wyręką, spełniając sporo usług, nieraz naraz,

*) Był to zwyczajny sobie szlachcic, posługujący celem wymiany jeńców.

boć znał tajniki pałacu, a i kraju, lepiej od władców różnych prowincyj. I Sułtan się ździwił, gdy mu karzel powtórzył rozmowę Ibrahima z tatarskimi gośćmi.

— To pewnie jakiś duch zły, przenikliwy w tej ludzkiej nawpół skórze... — pomyślał Sułtan, — ale dla nas wart na wagę złota i najdroższych kamieni...

— Więc dla nich masz już gotowe dziewczki?

Chrząkał, a na ścianie z zygzaków palcami, ukazywał różne obrazki, których jakby z kartek książki, czytał odpowiedź dosadną sułtan.

Upewniwszy się, że apetyty dzikie, tatarskie będą nasycone żądzą do syta, pchnął karła, a sam odszedł do komnaty, gdzie czekali ci wszyscy, którzy należeli do wyprawy najbliższej.

Tam zadecydowano definitywnie i ostatecznie przesądzono wymarsz, ilość armij i szlaki jakimi podążą, nadto wszystkie szczegóły, dowódców i oddziałów, dotyczące.

Ibrahim został naczelnym wodzem. Nuradyn do pomocy, zaś Deren wraz z Nupachimem mieli stworzyć oddziały wywiadowcze, którym pomagać będą tatarskie watahy, aby corychlej zasięgnąć wiadomości. Posła z Lechistanu zbędą obietnicą, zaś Laszkę każą, aby odebrał sobie posel u Derena...

Po tej naradzie powlókł się zmęczony Sułtan do Sulejki...

XII.

Znowu nie spała od Tatarów polska granica... Lubo roku 1674, wczesną jesienią, cofnęły się wojska tatarskie i tureckie za Dniestr, to już po zbiorach 1675 roku zawisło widmo wojny nad wszystkimi. Wiedziano już, że ciągnie groźny z nazwiska Ibrahim-Tłuścioch wraz z hanem tatarskim. Wszędzie słowo, lubo na kresach tak zwykle, jak wyrazy codzien odmawianego pacierza: wojna, tym razem jakoś dziwnie trawiło i niepokoiło załogę i ludzi w Trembowli...

Brat Symeon, przebrawszy się za Tatara, stanął przed tymczasowym komendantem, podstarościm Tomaszem Kozłowskim: — Otom gotów, a tylko chciałbym wiedzieć, czy tutaj, czy też gdzieindziej do Jego Mości Królowi, zanieść — gdy Bóg dozwoli, odpowiedź...

Kozłowski, aż drgnął, ale znany mu głos brata Symeona, więc nie lękał się zbyt, że to może duch, jako że był strasznie załobonny, a tylko odrzekł:

— Co do Trembowli, ja tu tymczasowo sprawuję rządy, które zdam wedle rozkazu Mości Mikołaja Sieniawskiego, komu on rozkaże, ale co do chęci służenia tej oto twierdzy, toć niech i Wasza ją pomoc oszczędzi, jeżeli się da — od upadku, boć nie wiem, czy przetrwamy? — odrzekł kwaśno Kozłowski.

— Bóg z nami, a księżyc musi się pokłonić Krzyżowi, jak czytali uczeni, gdy Sobieski, nasz król i Pan, został pomazańcem Bożym. Pytam się Waszmości Pana dlatego oto, że może świadom snadniej rozkazów, odemnie!

— Czekaj Waszmość, Bracie Symeonie, Sieniawski co tykło a tu się zjawi, wówczas mu powiem, że ktoś się chce z nim zobaczyć...

I odszedł brat Symeon, boć chciał się naradzić jeszcze z innymi, najchętniej zaś chciał zobaczyć Pawlenkę, który, wylizawszy się z rany, chciał wraz z nim wyruszyć, boć nieco liznął tatarszczyzny, a już znał ich sposoby walki, a też inne sposoby wywiadzenia tych „psich i kocich synów“ w pole... Toteż podszedł ku bramie głównej gdzie w kącie stał Pawlenko, kłaniając się w pas, po kozacku, przebranemu Bratu Symeonowi. A ten go, pozdrowiwszy mile, rzekł: — Dobrze, że cię widzę, bom właśnie myślał, iż nikt inny od ciebie lepiej mi służyć nie będzie, ale musisz strój, jako i mój, włożyć na siebie!

— Mogę się zaraz przebrać, jeżeli tylko Wasza Mość, Brat Symeon, zaczekać raczy! — odrzekł wesoło i z chęcią gorącą Pawlenko, któremu pilno zasie było leżeć w ogień walki, aniżeli czekać na Derena spotkanie w murach twierdzy.

— Czekaj będę na cię w mojej celi, gdzie i różnych odprawię ludzi, jacy mej pomocy potrzebują, nim zniknę im znów na długo z przed oczu...

I poszli obaj w różne strony: Brat Symeon do klasztoru, Pawlenko do szop zamkowych, gdzie miał strój tatarski, wcale niezły, bo zdarty jednemu z lepszych, z watahy, jaką rozbito niedawno pod Trembowłą.

W celi Brata Symeona czekało mnóstwo chorych. Ci, na widok Tataru, jękli, ale jakież ich zdziwienie, gdy tenże do nich mową Symeona, znaną wszystkim, mówił pieszczotliwie, każdego opatrując... Był i stary Hleszczawa, któremu wzrok się coś popsował, a tylko trochę widział na lewe oko. Brat Symeon opatrzył i nieco obmył ropiące się powieki, jednak jakoś nie wróżył sobie, aby ten biedak wyzdrowiał... — Niech już nie widzi hańby, jeżeliby miała spaść na gród trembowelski — pomyślał... A Hleszczawa jęczał, bo ból straszny, gdy Brat Symeon zaglądał do źrenicy, gdzie jakaś narośl, czy też pryszczyk, uniemożliwiały patrzenie, a nieczystość zgoła, zdołała te oczy zepsuć do reszty... Obmywszy i nieco ciepłymi plasterami z mąki jakowejś okładłszy, rzekł braciszкови, aby Hleszczawę zaprowadził do jego celi i ułożył, a tam o nim pamiętał.

Potem leczył nogi, ręce a i Żydów się naszło sporo, którzy chorowali na jakieś wrzody, pękające i niosące taki smród, iż w całej celi pełno go było. I tych Symeon obmywał i smarował, nie bojąc się lubo zaraźliwemi były te opuchłe miejsca, boć czynił to z wielkiej miłości bliźniego.

Młody żydek, któremu opatrzył ranę na głowie, dobył z kieszeni list i dał go Bratu Symeonowi, a ten schował, aby go na osobności przeczytać. Wiedział, iż dotyczy spraw Trembowli i zamku! A kiedy tę robotę skończył, sam się mył, aby, przebrawszy się w habit, iść jeszcze na modlitwę, gdy wtem nadszedł Pawlenko.

— Na schwał Tatar z ciebie! Ale, czy też umiesz ich podchodzić?

— Nieraz ich się podchodziło, to może przez czas choroby nie wyszło z głowy, lubo mówią, że chory zapomina czynów zdrowego!

— Da Bóg, że sobie na chwałę Bożą i grodu naszego przypomniesz, a teraz chodź, abysmy Boga prosili o łaskę, boć na wojnie, a w naszej roli jeszcze trudniej o ocalenie, ale Bóg zawsze z dobrymi...

Zniknęli obaj we wnętrzu świątyni, a braciszek, aż eniemiał z przerażenia, że Tatar hańbi progi Boże, a że ten był z bratem Symeonem, więc myślał, iż pewnie przezeń nawrócony...

Leżeli obaj krzyżem, a brat Symeon, żarliwie się zatopił w modlitwie, boć już Pawlenko dawno wstał, gdy po długiej chwili dźwignął się Symeon, ale jakby rozpromieniony, jakby nadzieją i widzeniem jakimś podniesion na duchu, bo, gdy już opuścili świątynię, a znaleźli się w krużganku klasztornym, rzekł Brat Symeon: — Tym razem przetrwamy, da Bóg i Matka Chrystusa Pana, szczęśliwie!

— Na chwałę Bożą, a i tego grodu! — odrzekł w tym tonie, co zakonnik, przebrany za Tatara Pawlenko, lubo go coś dławilo, iż nie będzie mieć on szczęścia, o jakim marzył i jakiego osiąść pragnął. — Coś nim drgnęło, by zobaczył cień Derena, na ścianie tego krużganka...

Nie dostrzegł pomieszanía brat Symeon, bo corychlej schronił się Pawlenko, jakby przed cieniem w arkadę, myśląc, że pójdą w górę do celi jego.

— Tam Hleszczawa leży, jakoże oczy stracił, a ledwo na lewe nieco widzi.

— Ejże! czyżby go już ślepotą miała — rzekł boleśnie ze współczuciem Pawlenko...

— Może się wyleczy! a tymczasem chodźmy do refektarza się pokrzepić i gdy nikt ze zamku nie przyjdzie, w drogę wyruszymy.

Zaledwie weszli do refektarza, gdy oto braciszek przystąpił do Symeona i rzekł cicho: — Oto kozak ze zamku, gdzie wzywają Brata, jakoże Pan Sieniawski przyjechał! — i ucałował rękę Symeona, a nie pomалу się zdziwił postaci Pawlenki-Tatara...

— Widzisz! pójdziemy na zamek obydwaj! — I odeszli, aby corychlej zobaczyć Pana Mikołaja, który służył ze srogości, a nie znał żadnych względów, zaś nie pytał, kto kim jest, a tylko, czy mu w drogę nie wchodzi... Nielubiany, a też zgoła dumny i groźny, lubo nie odznaczył się, a tylko wśród braci szlachty miał mir, jako nieustraszony, gdy z kim stanął w zawody. Choćby djablem był, to go się Sieniawski nie bał... Sieniawskiemu nie spodobał się podstarość Kozłowski, jako że wiódł ród z podlejszej szlachty, a był podobno niedołęgą, jak mawiał Sieniawski; „nie na komendanta, ale może komejdjanta“. Chociaż Kozłowski miał zalety serca i umysłu, a tylko był słaby i miękki, stąd nie spodobał się Sieniawskiemu.

Rozparty w głównej sali, Sieniawski czekał i niepokoił się, aż przyjdzie Ojciec, czy tam jakiś zakonnik, lubo znany i Jego Królewskiej Mości z nazwiska i posług.

Znał Sieniawskiego i Symeon, skoro też nie z Pawlenką, ale sam wszedł, aby przypadkiem nie musieć powiedzieć, iż ten nie jest szlachcicem, a tylko zacnym wolontarjuszem i chętnym do najniebezpieczniejszych posług, aby je oddać Zamkowi, lubo wiedział, iż tą drogą uzyska może Bandurównę... Może go uszlachcą, a też on marzył o wielkich zaszczytach, mając wcale mocną rękę i odwagę zgoła szlachecką...

Symeona wpuszczono natychmiast. Sieniawski, ani nie skinął na ukłon, a tylko gromkim głosem rzekł: — Widzę, że i sługa Boży, doznawszy łaski królewskiej, zhardział i czekać każe na siebie!

— Nie, Mości Panie, ale miałem sporo chorych, a też Bogu chciałem się polecić — odrzekł pokornie, ale z powagą zakonnik.

— Więc chcesz bracie Symeonie, jako że ze szlachty pochodzisz, szukać Tatarów i o nich nam znać dawać... Dobrze, ale czy nie masz wiadomości jakich, mając tylu tutaj znajomych.

— Otrzymałem list, który niosę Waszmości! — wydobyl od Żyda dany mu list z pieczęcią szlachecką, a doń wcale czytelnie adresowany.

Sieniawski sięgnął niedbale, podsunął się ku kominowi, a że przeczytał adres Symeona, więc zwrócił się doń: — Czytaj, boć do ciebie adresowany!

Symeon rozdarł pieczęć i rozłożył dużą kartę, czytając na głos:

— Zacny i miły zawsze mojej pamięci Ojczy Symeonie! Szczęśliwie wracaliśmy po żegludze wesolej na falach morza, które istotnie się okazało gościnnem, bośmy żadnej przygody nie doznali, okrom jakiejś zgola fantastycznej, gdyśmy oto podle skały jednej znaleźli milego kawalera, który znając nasz język, wyłuszczył nam powody naszej niefortunnej jazdy, a fortunną wskazał. Ale to Cię, Ojczulku, nie obchodzi, co wiem, to też opowieść dalszą zostawię na czasy weselsze! Tymczasem, gdyśmy już opłynęli brzegi, znaleźliśmy jednego, zda się Araba, z orszaku jakiegoś Derena, jak twierdzi mój kompan, właściciela onej skały z zabawną przygodą, a na niej ukrytego zameczku, zda się przed Tatarami, którzy tam niechętnie widzą tureckich baszów, a ten ci takim, czy nawet dwakroć, lub trzykroć większym od od niego, tego zwykłego... Ale widzę, że pletę smalone duby, za co mię wysmagasz, Cny Symeonie, a rzeknę teraz, pisząc nieco ważniejszych spraw. Otóż ów Arab, aczkolwiek udaje niiby to rysopisa, wygadał się, jako żeśmy mu nie pożałowali torturek, iż wojna ułożona, że sam Ibrahim Tłusty poprowadzi wraz z hanem krymskim wojsko, a moc go mają te przeklęte biesy. Ten Arab mówił, że chcą zdobyć Lwów i wartoby o tem ostrzec Jego Królewską Mość, boć wiem, że niedaleko Lwowa, a mnie nijak się ruszyć stąd, gdyż muszę moc spraw uregulować. Żydowin, jaki list się odnieść ofiarował pewny, ale, że go tam poturbowali, nie wiem, czy dojdzie. Lecz Bogu go, lubo judasza i zbója, któren Ci Chrysta krzyżował, polecilem, a to z tej ważnej przyczyny, iż Arab ów wydał mi się szelmą i oczajduszą. Zaś fortyfikujcie Trembowłę, boć pewnie i o nią zawadzą,

mając chęć okolenia Lwowa i oddalania granicy od Kamieńca coraz dalej, bo wiedzą Turkowie, iż tę twierdzę wnet im oddać przyjdzie, a wówczas w Polsce wszystko dla nich stracone. Jakoż wykoncypowałem z różnych stron zbierając wiadomości, a sądząc je wedle dotychczasowych walk i planów, które zdaje się, ci Turcy, nie tyle rozumem, ile chytrą sposobią i gdyby nasz Król Jegomość miał ich armję, światy do nas, całe większy od ich włości, należał. Tyle polecając rozwadze i działaniu, a ścieląc się do stóp Ojca Symeona, jako sługi Bożego, proszę o modły, gdyby mą duszę Turczynowi się zachciało wysłać ze świata, zaś kiedy się we mnie boryka, bym łaskę Bożą miał, jako Ojciec Symeon, a jego oddany przyjaciel i brat, Pucniewski.

— Więc trzeba Królowi Jego Mości posłać najlepiej ten list, a skądże Waszmaść zna tego Pucniewskiego?

— Coprawda dawno o nim zapomniałem, a list, że przysłał, to traf istny. Do Króla Jego Mości go zaraz prześlę, ale co ja mam zrobić? Czy też języka dostawać? — spytał Symeon.

— Lepiej tu zostać, a przyda się brat Symeon zamkowi, a kogoś z zuchwalszych, o ile jest, wysłać zaraz, choćby na zwiady! — odrzekł Sieniawski.

— Właśnie jest tutaj Pawlenko, nawet się przebrał za Tatar! — odpowiedział Symeon, a nazwisko namyślnie wymienił, czekając, co powie Sieniawski.

— Niech się zwie nawet czort, byleby nam służył, bo dzisiaj nietyle my, ile honor tej twierdzy, jaką nasz Król Jegomość tak mianem dostojnem ostatniej po Kamieńcu fortecy, nazwał, co my musimy stwierdzić, że godną tegoż jest w pełni. A co Waszmość-Bracie sądzicie o Kozłowskim — zagadnął Sieniawski.

— Dobry, ale nie na wodza tej fortecy, na komendanta trzebaby jakiegoś silnego, a nie tak miękkiego, jakby dworzanin, a jakim jest podstarościc...

— Zgoda! tuś mi się udał Symeonie. Wyślijże tego tam, jak się zwie, twój zaufany, że sądzę, a i nasz, a też i ów list od tego tam Pucniewskiego, a jutro bądź na

radzie, gdy zamianuję komendanta, zresztą w myśl polecenia i Jego Królewskiej Mości, którą mi to zalecił, a ja wykonam wedle sumienia i mojej powagi, jaką mamy tutaj! — odrzekł, ale już wyniosłe Sieniawski. — Również zostawimy część wojska — dodał — bo nie taję, iż ta forteca ludzi zgoła nie ma!

Już chciał Brat Symeon odejść, gdy Sieniawski jeszcze go zatrzymał: — Przypadłeś mi do serca księżulku, w tobie zdaje się żołnierz siedzi, gdybym miał wpływy w Rzymie, zostałbyś generałem lub przełożonym nad klasztorami w Polsce całej, ale tak niech cię uściskam, co rzadko czynię, chyba z takim, że godzien, by go Sieniawski pokochał! — Istotnie zaczął obejmować księdza i uścisnęli się wcale serdecznie, a na pożegnanie rzekł: — Tylko jutro bądź na radzie!

I wyszedł Symeon, aby dać zlecenia Pawlence, że on sam wyjedzie, a Symeon będzie miał pieczę, aby tego Derena, za wszelką cenę dostać żywego. Co mówili — i Symeon, pobłogosławiwszy Pawlenkę, polecił jechać ku południowi, aby tam spotkać niechybnie ślady już nadciągającej armji, a bodaj jakie wysłane na zwiady szyki. Miał zaś Pawlenko trzech ze sobą kozaków, jakich mu dał Sieniawski, względnie, jakich miał dostać brat Symeon, gdyby był sam wyruszał. I tych przebrano po tatarsku, aby odrazu zmylili czujne już w zagonach strażę i szpiegi, jakich wysłał Ibrahim, aby zbadali wszystko dokoła Lwowa. Boć o tem, co pisał Pucniewski, niemal już i w Trembowli wiedziano, gdyż wówczas setki ludzi puszczono, aby wszereż i wzdłuż badali ruchy wojska. Zresztą i król Sobieski, wiedząc, jakie usługi oddaje taka tajemnicza poczta, utrzymywał ją wcale liczną, a nawet wprost imponującą, co mu pozwalało najściślej kontrolować ruchy nieprzyjacielskie. Dworzanin królewski, IMCI Adam Polanowski prowadził nawet spis i dokładne wiadomości tej „wojennej poczty“, do której wpisano i Pawlenkę na polecenie brata Symeona. Jako znak, miał na kapocie pod strojem tatarskim: I. R. III. wyszyte! Po tych znakach poznawano i dawano wiarę ludziom z „wojennej poczty“.

XIII.

Był dzień upalny. Słońce przeniknęło szczeliny, aby zewsząd resztki wilgoci, czy też ukrytych kropel, perel zebrać i zanieść hen na górne królestwo chmur, gdzie pałace z obłoków burzył lekki wietrzyk stepowy. Liście zeschłe, że ledwie drgnęły, aby mową swych szeptów cichych nieść tajemnicę życia, ukrytą w ich nerwach zielonych... Nad Gniezną, która sączyła, że ledwie falą za falą, nie było już pól, szumiących lanami zboża, ale rżyska, wypalone słońcem, zdały się napróżno czekać, by je zaorano... Nikt nie miał czasu, boć każdego serce miał lęk przed wojną.

Niedawno temu na tych polach Achmet basza, z rozkazu już ciągnącego Ibrahima, straszył gród trembowelski i gdyby atak nieoczekiwany a z taką furją, jakiej się wódz turecki wcale nie spodziewał, owa dzielna potyczka pułkownika, Marcina Bogusza, byłaby już Trembowla się stała ofiarą nawały tureckiej. A siła opowiadań krążyło o tej śmiałej wyprawie nocnej pana pułkownika. Miałci on wśród swoich podobnusińskiego do Achmeda baszy, człowieka z pochodzenia tatarskiego, ale, że już lat parę spędził w „wcale rozkosznej niewoli w Polsce“, nie chciał wracać do Turcji, tem mniej do swoich na Krym, ale został w obozie naszym, oddając liczne usługi nieocenione. I tym razem, na czele garstki, rzucił się na prawe skrzydło wojsk Achmeta, że można było ten podjazd tak nazwać, gdyż przewyższał siły znacznie polskie, a strwożeni tatarowie, iż ich wódz własny bije i siecze, krzyząc, jak Achmet, słowa przekląć, jakby pomieszaniami zmysłów dostał, przerazili się i miasto do swoich, ku naszym pędzili, a tych pan Marcin Bogusz, że tęgi kawaler, wraz z chorągwią kozacką do cna zgromił, aż wylękły Achmet basza, iżby mógł wytracić swój podjazd do reszty, co rychlej umykał, by się z Ibrahimelem połączyć... Teraz należało wyteńczyć wszystkie siły, aby Trembowla się oparła niebawem zemście Ibrahimowej... Boć miał się za co mścić...

Z rozkazu króla Sieniawski zwołał radę zamkową, a że wszyscy czuli „trwogę za oknami“, nie oponowali zbyt, ani też nie oszczędzili sumptów, aby twierdzę przemienić w fortecę niezdobytą. I nawołując Sieniawski do ofiarności, gdy takiej potrzebuje ten gród przesławny, nieoczekiwanie przemówił do zebranych w te słowa:

— Wodza nam tu zasię potrzeba tęgiego, któryby zarówno w obozie, jak i w fortecy umiał radzić, a też wyprowadzić z ciężkich terminów miasto i załogę. Jakoż mi to zalecił Jego Królewska Mość, Jan Sobieski, nasz Pan i Wódz największy, czynię na rozkaz Królewski, komendantem twierdzy, urodzonego Jana Samuela Chrzanowskiego, kapitana pułku dragońskiego, dając mu do boku połowę tych dragonów, którymi dowodził — jak wiadomem, urodzony Jan Cetner, starosta szczurowiecki. Nie będę słał nowego komendanta, boć widzieliśmy na własne oczy jego czyny, jakich dokonał nieustraszony ten mąż, energją i z rzadkiem poświęceniem dla dobra Naszej Rzeczypospolitej. Znając zaś sposób wojowania z Tatarami, śmiem wnosić, że będzie mógł się im opierać, że odeprze tę nawałę, choćby jej moc i siła z piekłem się zbratała. Jan Samuel Chrzanowski, niech żyje! — I huknęły głosy, a kanonada z murów fortecy jakby na znak oblężenia, dała znać trzydziestoma strzałami, że wodzem jej nowy, ale równie dzielny jak inni, Chrzanowski.

Forteca była wcale dobrze przygotowaną, boć ją jeszcze Pan Rafał z Bożymia, Makowiecki, zdolny fortyfikator, w wielkie działa zaopatrzył, fosy i mury kazał naprawić, a też i broń wszelką nagromadzić. Lecz to wszystko jeszcze raz trzeba było uzupełnić, dodać tu i ówdzie, co przecież brakło w takiej fortecy, nadto, że się gotowano do zamknięcia w niej, trzeba było żywność dostateczną nagromadzić. To też Chrzanowski zwołał zaraz brać szlachtę oraz przedniejszych mieszczan i rzekł do nich: — Oto nam przyjdzie tutaj ciężkie przeżyć terminy, boć i Rzeczpospolita je społem przeżywa, więc musimy radzić nietylko słowem, jakoż

ono krzepi tylko ducha, lecz i czynem, byśmy mogli jako ludzie sprostać tej opresji. Ojciec Symeonie, zwracam się do ciebie, byś szedł, bodaj natychmiast wraz z pacholikami i głosił, aby wszyscy, co mają tylko zbytecznego, a i chcący schować w te mury, znosili, co mogą, a ciebie młody rycerzu, Zamiechowski, jakożes synem sławetnego ojca, śpiesz corychlej na mury, a tam sprawdź, czy wszystko w porządku i gotowości należytej. — Bez szemrania spełniano te rozkazy!

Chrzezanowski, jakoże chciał się dowiedzieć, co słychać w okolicy, posłał natychmiast trzy oddzialiki po dziesięciu ludzi, aby „jęzika podostatkiem“ pewnego przynieśli. Siedział nad planem fortecy i coś kreślił w miejscu, gdzie most na Gnieźnie, jakby widocznie chciał go może gdzieindziej przesunąć, gdy Kozak wszedł, donosząc, iż wrócił oddział młodego Zawilskiego, który na ochotnika zwerbował dziesięciu „orłów stepowych“, jak zwano ludzi, mieszkających w odludnych futorach, a znajdujących step w całej rozciągłości.

— Cóżes nam przyniósł za wiadomości? Czy step mówi? — spytał Zawilskiego.

— O! już gwaro, a oto przyprowadzam tego jeńca, niechaj mówiniechaj mówi! — odrzekł Zawilski, a ze sieni pchnął tego jeńca, który wcale wesoły i niestrwożony stanął przed Chrzezanowskim. Ten spojrział nań bystro i rzekł tonem rozkazu: — Gdzie wojska Ibrahima się znajdują?

Jeniec odrzekł śmiało: — Tego nie powiem, gdyż myśmy wyruszyli na przedzie z naszym dowódcą. Wszak ja się dostał, jako z jednej ze straży przednich!

— A który waszym dowódcą? — nie pomijając z ócz ruchu najmniejszego jeńca.

— Moim panem i dowódcą jest basza Deren! — znów głos mu czysto potwierdził, że prawdę mówi.

Ludzie tamtejsi, aż nadto dobrze znali w głosie prawdę lub kłamstwo. Zwłaszcza, jeżeli jeniec dostał się z przedniej straży, nie mogło być inaczej, aniżeli mówił. Więc się tylko spytał Chrzezanowski: — Kto jest

owym baszą, czy też zwykłym agą, a tylko w twojem mniemaniu baszą?

— Jest nim Deren, który często bywał i w tym kraju, ale nie sądzę, by podjechał aż pod sam gród, skoro mnieście dostali, gdyż oddaliłem się za daleko, szukając nie tyle Trembowli, ile zagrody Bandury, szlachcica, a to z polecenia baszy Derena! — opowiedział całą prawdę szczerze jeniec, któremu widocznie nie chciało się szukać Bandury.

— Czy znasz jakiego Bandurę? — zwrócił się Chrzanowski do Zawilskiego.

— Znaję go tu w okolicy, lubo mieszka daleko za Trembowlą, że mu ukradł córkę jakiś tam awanturnik stepowy, być może, że i ten, o którym jeniec mówi.

— A czy twój basza ma istotnie przy sobie córkę tego szlachcica? — znów się zwrócił Chrzanowski do jeńca, oczywista po turecku, którym to językiem władał, a Zawilskiemu tłumaczył, gdyż okrom paru wyrazów, nie znał go zbytnio.

— Ów szlachcic, Bandura, jest ojcem tej Laszki u mojego Pana, a nawet niosłem list do niego, jaki mi jednak skradli słudzy, czy żołnierze tego agi — wskazywał z szacunkiem na Zawilskiego.

— Czy waszmość wie o jakim liście, u tego jeńca znalezionym — zwrócił się Chrzanowski do Zawilskiego.

— Oto go mam! — dobył z zanadrza list, oddając go Chrzanowskiemu. Zdumiał komendant, że list był pisany łacińskimi literami i po polsku, a też z pieczęcią, jakby zgoła szlachecki... Że miał nakaz i takie odczytywać, więc przy Zawilskim rozdarł pieczęć i czytał jednak po cichu, bo nie wiedział istotnie, co zawiera. Z miny i wesołej wcale twarzy Chrzanowskiego, wnosił Zawilski, że treść podoba się komendantowi. A kiedy skończył, zwrócił się do jeńca: — Zostaniesz u nas! Pan Zawilski wskaże ci, co będziesz robił, a w swoim czasie pójdziesz sobie, gdzie zechcesz!

Odszedł jeniec, a pan Chrzanowski ozwał się do Zawilskiego: — Zdaje się, że ten jeniec szukał sposobu,

aby się dostać w nasze ręce! Czekam na przybycie Brata Symeona, aby zdecydować o losie jeńca i o treści listu. Tymczasem waść zechcesz dopilnować, aby rusznice, samopały, kosy i dzidy, nagromadzone po szopach, odpowiednio zbadane, rozdane były każdemu zarówno chłopom, mieszczanom i co lepszym hajdukom! — Zawilski zasalutował po wojskowemu i odszedł, nie myśląc wcale o jeńcu, boć go te sprawy nie obchodziły, że tu w grę wchodzi szlachcic Bandura oraz jego córka w tureckiej niewoli... Lecz jakoś mimowoli myśli dokoła tej sprawy nieopuszczały i gotów był jeszcze z jeńcem rozmówić się, lecz wprzód spełnić musiał rozkaz, a odłożył dyskurs z pojmanym na noc...

W zamku zakotłowało. By w ulu, lub w klatce, gdzie różnoraki zwierz, skryty, oczekiwał coraz to gorszego losu... To zdyszany pacholek przylatywał, oznajmiając, iż widział na własne oczy długie szeregi jeźdźców, za chwilę żydowin, który włókł się hen z południa, przekradał z towarem, przyniósł wiadomość o oddziałach tatarskich jakiegoś znaczniejszego z dowódców, bo były w karnych szeregach, a nie jako ta dzicz tatarska w luźnych watahach...

Ojciec Symeon zbierał na wozy wszelakie zapasy, a te zwieziono do fortecy; ściągał też dary w złocie, a nadto podatki w naturze, aby godnie przygotować gród, który miał przetrwać może najcięższą z prób swego położenia, jako placówki, wysuniętej ku obronie Rzeczypospolitej, na tej ziemi rubieżnej.

Nie szczędziła szlachta niczego, lubo nie obfitowała w zbyt wielkie zapasy, a już, że ledwie mogła się pochwalić trzema lub może, co najwięcej, pięcioma sztukami bydła, gdyż prawie wszystko sprzątały z pastwisk wrogie watahy tatarskie, nieraz wraz z pastuchami, że tylko psy wracały do domu, jeżeli i tych nie ubito, lub nie zabrano na mięso, którem podobno tatarzyn nie gardził... Mieszczanie może większe ilości posiadali zapasów, ale te zakopywali do piwnic, lub w ogródkach koło domów, tak, że istotnie trzebaby skopać wszystkie, aby się dowiedzieć, gdzie i co który z nich ukrył. To

zaś, czego jeszcze ukryć nie zdołali, ofiarowali chętnie i ku zdumieniu Ojca Symeona, nad miarę, jaką się zobowiązali. Strach widocznie i widmo śmierci kazały czynić ofiary z mienia, aby później ten i ów nie żałował, że dla „tatarzyna i turka przechował, co najlepszego, a sam nie miał ni kawałkiem chleba zaspokoić głodu“. — Zresztą Symeon umiał przemówić tak pogodnie i tak przekonywująco, że trafił słowy, jakoby strzałą tatarską, tylko nie ranił, ale nieraz leczył i wlewał otuchę, że: „gród ten, jeżeli Boga i Serca ludzkie będzie miał za patronów i obrońców, przetrwa i przy królewskiej pomocy, nie zginie!“ — Mieszczanie chętnie też ćwiczyli się w rzemiośle wojskowem, a zwłaszcza w szeregach artylerji, aby w chwili śmierci od kuli, mógł nowy zastąpić nieboszczyka, a tak bez ubytku twierdza nie będzie się lękała wroga...

Powoli urosła liczba obrońców, tak, że mógł pan Chrzanowski, komendant jej, się cieszyć, iż ten jego obowiązek wraz z nim spełnia wcale spora liczba, której on tutaj niemal hetmanił...

A mówiono też i o pani Annie Chrzanowskiej, jako że będąc żoną komendanta, też się krzątała dokoła pracy, też zdołała nieraz i radą mądrą zdziwić niejednego, że lubo jest białogłową, ma myśl rycerską a i nieraz dobrą w potrzebie tej stateczną i zbawienną. Tak ona też i pomyślała wraz z Ojcem Symeonem o przygotowaniu różnych ziół, aby można nieraz choremu w miarę możności przyjść z pomocą. A wszyscy się niepomiernie dziwili, jak ona decyzją szybko rozstrzygała, jak umiała przekonać i zapalać, że i sam komendant ulegał, lubo to nie było w zwyczaju białogłowy dopuszczać do spraw wojskowych, zaś już w takiej chwili, raczej ich unikano... Naprzekór panią Annę chętnie widzieli wszyscy na naradach, jako że jej słowo nierz utrafiło snadniej w zamiarze skutecznym, aniżeli głosy różnych ludzi, którzy słowami chcieli zdobywać, a czasem, że ledwie potrafili dobrze z samopału ustrzeżić... Takich było na szczęście niewielu, ale też za stu gardłowali i krzyczeli, zwłaszcza, gdy jeszcze nie za-

brakło miodu i wina, jakiego dostarczano, aby na niczem nie zbywało walecznej załodzie w obliczu śmierci...

Tak to wszyscy niemal znękani, szukali chwili spokojnej, ale o tem nie było mowy... Ojciec Symeon, spełniwszy swoją powinność wedle rozkazu komendanta, przybył, aby zdać relację i zarazem upewnić, że niczego nie zabraknie...

— O! mam dla Ojca i niespodziankę w liście oto tego jeńca, jakiego nam przyprowadził Zawilski.

Ojciec Symeon, przybliżywszy się do kominka, skąd buchały snopy skier, a i światło jasne, odczytał list, aby zaś nie zmylić się w treści, uczynił to dwakroć..., a potem rzekł: — Ten Deren albo chce nas w pole wywieźć, albo — istotnie myśli przejść do nas, bo go może i ta Bandurówna do tego zmusiła... Ale w niej kocha się ów Pawlenko... Prawda, nie mówiłem komendantowi...

Tu jął treściwie opowiadać całą historję, jak ją znał z ust Hleszczawy i Pawlenki.

Pana komendanta nie tyle zajęła historja miłosna, ile sam fakt, że ktoś z Turcji, tak nam wrogiej, chce naraz przejść do Polski, ofiaruje przyjaźń, zaś Rzeczypospolitej służbę, a da tego dowody, jak zapewniał Deren, stokrotne i prawdziwe...

— Widocznie jakiś gładzysz, zakochany w tej Bandurówniej, skoro się ważył na taki krok! Ano, daj Boże! zobaczymy! Tymczasem każę pilnować tego jeńca, a czekać będziemy dowodu, zaś o ile Bandurę spotkamy, nie omieszkamy mu donieść, że taki list do niego posiadamy.

— Różnie Bóg się opiekuje naszą Rzeczpospolitą, skoro nawet wrogów zsyła, aby i ci, jako wierne jej cyny, nam służyli — odrzekł, spoważniawszy, brat Symeon.

— Ojcie i Bracie! nieraz mieliśmy dowody, że tak już było, toż ten doda tylko do tamtych przykład, że w Polsce wszyscy znajdują dach nad głową, o ile tylko kochają tę ziemię, o ile jej służą, a wszędzie znajdują braci... Boć Polak nigdy inaczej nie tytułuje równie z nim zamieszkującego tę ziemię...

— O! tak Mości komendanciel! jeżeli przetrwamy tutaj oblężenie, to i gorsze terminy, jakie Bóg ześle na nas, zdołamy przebyć, boć wróżę Polsce zwycięstwo i wielką jeszcze drogę przyszłości, lubo od naszego króla, po licznych w tej Ojczyźnie ludzi, wszyscy nam głoszą upadek i srom za nasze grzechy... Ale wielkie i zmiłowanie Boże!

Aż zdumiał komendant, gdy jaśniało oblicze ojca i braciszka, jak zwali Symeona, by świętego, w aureoli słonecznej niemal, gdy już izbę ciemność zalegała, tylko od czasu do czasu buchnął płomień z kominka, by rozświetlić — jako i te myśli, wewnątrz, gdzie w kącie, a i dookoła czaiło się niebezpieczeństwo i wroga siła wraza, żeby tę fortecę jako i Rzeczpospolitą zgładzić... Lecz potęga półksiężycy nie mogła sprostać skromnego sile krzyża, jaki i nad tą fortecą panował.

XIII.

Jak było do przewidzenia a jak też wszyscy wyprokrowali, zemsta Ibrahima, nie kazała długo na się czekać Trembowli i jej załodze. Ibrahim, mając srogą nienawiść w sercu do brózdzącego mu we wszystkim Nuradyna, a też, chcąc go skompromitować przed Padyaszchem wysłał go wraz z Tatarami pod Lwów, a sam okrażał twierdze i zamki, by tej trembowelskiej dać się nazawsze we znaki. — Wszystkie zmiatał zdobywca okrutny, boć przewidujący król polski, Jan III Sobieski, przeniósł niebezpieczeństwo i walną rozprawę gdzieindziej; ściągnął zewsząd siły pod Lwów, i do samego tego grodu, stąd więc łatwym był i triumf Ibrahima... A jednak Buczacz mu się oparł. — Zwołał naradę i wśród dąsów, wrzasnął: — Zostawię tę twierdzę, a inną trzeba nam zdobyć... Wicie, którą? — spytał groźnie.

Milczenie zaległo namiot, że szelest much, łączących po nim, dolatywał do uszu tatarskich i tureckich, których uszy tak podobno delikatne, jak nietoperzy (które to zwierzęta mają najdelikatniejszy słuch na świecie)...

A kiedy nikt nie ważył się odpowiedzieć, groźny Ibrahim, krzyknął wszystkim, że aż drgnął namiot: — **Trembowle!**

I już nazajutrz, a było to 19 września, roku pańskiego 1675, ruszyła ta chmara, te ruchome niemal namioty w stronę, gdzie krzyk wodza, niby wściekłości i zemsty, miał zgotować nie tej fortecy, ale sobie... hańbę... Krzyk głośny, również echem dotarł rychło, boć jeszcze dnia tego wieczorem, do Trembowli...

Lecz nikt nie zadrzał, nikt nie uląkł się, ani też nie targał włosów na głowie... Wszyscy jakoś trwali w mocnej wierze, lubo ją trzeba było okupić czynem hartu i woli. A takim — polski obrońca przedmurza Chrześcijaństwa — się odznaczał... On, wiedział, że tutaj żyje poto, aby... „spala od tatar granica“, kiedy on czuwał! Nikogo też z ludnej załogi nie zdziwił las namiotów, ta cdrazu, by z pod ziemi wypełzła moc pohaństwa, jaka w dniu 20 września, tego roku Pańskiego 1675, na polach plebanowieckich, gdzie ongi Jan III Sobieski, stawał, okazała licznej załodze, że przed jej murami niebezpieczeństwo, ale i beztrwożnym mała zasię stąd trwoga...

Schwyconego mieszczanina, Kozuba, Ibrahim spytał: — Co tam porabia załoga w fortecy? — A Kozub odrzekł rezolutnie:

— Czeka, kiedy Waszmość przyśle posła pokoju...

Rozgniewany Ibrahim, kazał Kozuba powiesić, a ten, będąc już na wysokości drąga, gdzie u szczytu chorągiew się zwieszala, schwycił ją jeszcze w ręce i zdarł, co tak rozsierdziło Wodza, iż kazał go zdjąć i w ogniu mieli go smażyć... Wnet stos uczynili Tatarowie, nieliczni, ale zawsze do takiej roboty skorzy. Wtedy przyszła Ibrahimowi inna myśl do głowy, aby podejściem zdobyć fortecę. Kazał zawołać, corychlej Kozuba, ogień ugasić, a do siedzącego w namiocie, Marka Makowieckiego, którego w Zawałowie wziął do niewoli, rzecze: — Znasz tego komendanta, pisz mu list, by się poddał, a możesz być pełen łaski mojej i Padyszacha! — Chcąc, nie chcąc, siadł Makowiecki, aby umaczać pióro w inkauscie i na-

pisać, jako mu dyktował Ibrahim, a on, tłumacząc sobie na polski język, jał barwnie i wcale ponętnie pisać, a gdy skończył sporej treści pismo, opatrzył je podpisem, dał pieczęć swoją i rzekł Ibrahimowi: — jako żywo, ulegnie ponęci! boć mu siła rzeczy wypisałem, które zniewolą Chrzanowskiego, by się poddał...

— Obyś tylko nie lżył, boć prędzej, aniżeli Chrzanowski łaski, możesz doznać gniewu, a teraz ten Kozub, któremu wolność daruję, niechaj list zanieś, bo sądzę, że za łaskę życia, to uczyni...

Kozub z obojętnością wziął list i niebawem opuścił obóz...

Na dany znak, że poseł przychodzi, sam Chrzanowski, zszedł aby odebrać wiadomość.

— Któż cię przysłał? — spytał Kozuba, odbierając wręczony list.

— Sam Ibrahim, który mię już wieszał, a i spalić o mało nie kazał, lecz zawoławszy Makowieckiego, kazał mu ten list napisać, co ten snadniej uczynił... Jaki, nie wiem! Jest ich siła, ale Bóg nad nami, więc i my ufni w siłę i Bożą i własną...

— Widzę, żeś wcale mądry, a stwierdzasz, boś nie dał łatwo sobie życia odebrać!

— Czy odpowiedź zanieś? — spytał go Chrzanowski, gdy ojciec Symeon, już odczytał pismo Makowieckiego.

— Jak komendant rozkaże! — odrzekł spokojnie Kozub.

— Ciebie zostawię, — rzecze Chrzanowski, wtem, jakby sobie coś przypomniawszy naraz: — A mam tu jeńca, — ten ją odniesie!

— Boże Bóg da, że, lubo jestem mieszczaninem, nie szlachcicem, oddam życie za tę fortecę, aby służyć godnie Rzeczypospolitej, skoro mię jej imię salwowało od śmierci...

— Udałeś się mi, więc idź, a dadzą ci tam zajęcie, bo go u nas nie brak, jeżeli tylko ręce ochocze, a serce też po woli umysłu, każe się poświęcać... — odrzekł i odprawił go komendant.

Nie tracąc czasu, Chrzanowski odpisał i Makowickiemu i Ibrahimowi. Pierwszemu, robiąc wyrzuty, że śmie w niewoli siedzieć spokojnie, a drugich do niej namawiać, niby ten faryzeusz, zaś Ibrahimowi, żeby nie myślał, iż on, szlachcic polski, kiedykolwiek dbał o laski Pohańca, a już jego, które ma w niższej wartości od psiej wierności... Bo ta jego wierność, jako paganina, nawet zwierzęcia nie zdoła przekonać, gdy on psiej pewny, jego za zgola niepewną i natrętną uważa... A kiedy listy były gotowe, zawołał owego jeńca, Tatara, rzeczając doń: — Idź i oddaj owe listy, a żeś Tatarem, nic złego ci nie uczynią, zaś swemu Panu powiedz, iż baczyć będziemy, czy jego słowa, do szlachcica Bandury pisane, są fałszem, czyli też prawdą... Więc i jemu się przyśłużysz!

Tatarski jeniec odrzekł: — Wrócę tu, jak tylko rozkaz Waszmości spełnię!

— Widzę, żeś do nas przyłgnał, a więc cię czekam i wiem, że spełnisz nasz rozkaz!

— Gdy już obliczono, że Ibrahim list czyta, kazał Chrzanowski wymierzyć działo, aby zniszczył jego pocisk most na Gnieźnie. I zanim wściekły Ibrahim przeczytał, że Chrzanowski go niższym od psa cenić się ważył, wydał rozkaz, aby oddziały janczarskie się przeprowiły przez most i atakowały mury, huknęło działo, a celny strzał odrazu zniweczył most tak, że część armat została wprost odcięta, zaś druga w miejscu błotnem, musiała długo czekać, zanim je wydobyto.

Hasło do boju dane, rozpoczęło istne krwawe zapasy!

Do fortecy trembowelskiej przekradło się kilku szlachty braci, uciekającej z pod Brzeżan, Podhajec i Zawałowa. Z tych utworzył Chrzanowski, oddziałek, któremu kazał nękać, wcale nieprzygotowanych na to Turków. W jednej z potyczek zginęło wprawdzie naszych pięciu, (a wszystkich było do czterdziestu), ale przyprowadzili ze stu jeńców, a tych użyto do sypania fosy a potem wału, aby można ostrzeliwać obóz łączniej. Ale i wróg, by z innej strony dotrzeć do murów, pracował



<http://rcin.org.pl>

wysiłkiem, przy pochodniach w nocy, wznosząc o jakie trzysta kroków od zamku, wysoki nasyp, skąd ośm dział, miało straszyć i nękać mury „Trembowelskiej tarczy“, jak ją przeważał Ibrahim...

Pierwsze strzały, jakoś nie uczyniły zbytniego wyłomu, a jedna z kul, wpadłszy do szopy, gdzie właśnie konie wraz z oddziałkiem Pawlenki na wywiad, wyprowadzono, zaryła się w ziemię, zadrasnąwszy lekko dach, wcale ga nawet nie uszkodziła... W odpowiedzi wysłał Zamiechowski młody, trzy celne strzały, które, jak obrońcy widzieli, dotarły szczęśliwie do trzech namiotów, aby je coprędzej usunąć. Pod osłoną kanonady, gdy cała waga skupiła się w ogień strzałów obustronnie, mógł teraz Pawlenko, w przebraniu, wraz ze swoimi, dotrzeć aż w środek obozu... Jechał buńczucznie, to też myślano, iż z rozkazem do któregoś z wodzów. Ale on szukał pośród namiotów, jakby mu znanego... I o dziwo! Spotkał Luilkasima, który niósł, jakby jakieś zawiątko!

— Sfój! — wrzasnął Pawlenko — gdzie Deren i Laska?

Oslupiały zrazu Luilkasim, zmiarkował rychło, że trzeba jednak życie ratować, więc odrzekł: — W tyle za namiotami, jego namiot, poznasz po trzech buńczykach na froncie...

— Prowadź i milcz, bom tu silniejszy od ciebie!

Istotnie nie widać było, aby się kto kręcił, a jeżeli się i znalazł, to biegł, lub niósł strawę, bezbronny!

Kiedy się zbliżali do Derenowego namiotu, tatar-jeniec, który zaniósł listy i teraz wśród Derenowych ludzi rej wodził, dostrzegłszy Pawlenkę, przypadł co tchu do Derena, aby mu oznajmić, kto się zbliża.

— Drwisz chyba! bom go dawno zabił!

— Ale on, panie mój, jako i słońce to na sklepie dzisiejszym, które nie myli w jasności ocz moich. — Znam go z twierdzy!

— Musimy go zgładzić! — rzekł Deren, albo wziąć go żywcem! I odrazu dał rozkaz, a dziesięciu szło już na spotkanie. Gdy się zbliżyli, czego nie dostrzegł Pawlenko,

nuże uderzyli nań, a Luilkasim wrzeszczał, że to z obozu fortecy podjazd.

Pawlenko wraz ze swoimi wnet ich ale położył, a gdyby nie Luilkasim, mogliby snadnie już uciec, lecz wtem otoczyła ich przeważna ilość tureckich łuczników i jeźdźców. Teraz zobaczył Pawlenko, iż nie żarty, nie tak łatwo się dowie, gdzie Deren... Tuż przed namiotem rozpoczął się bój tak wściekły, że istotnie wiadano kto właściwie atakuje, a kto się broni... Wszczął się zamęt, zwłaszcza, że i od strony fortecy, padały corazto gęściej pociski armatnie.

Lecz Pawlenko dzielnie walczył. Wiedział, czy też przeczuł, iż albo zwycięstwo, albo chlubna śmierć na tem polu go czeka... Pierwsze tylko okupi drugą... Zwarł się z dzielnym widać przeciwnikiem, ale dał mu radę, bo oto runął, zwałił się z konia, gdy mu Pawlenko rozplatał łeb, mimo, że dokoła niego dwóch ubiły strzały i następne zaczęły już trafiać w konia Pawlenki...

Lecz trzymał się wraz z wiernym wojownikiem-rumakiem... Wtem — zobaczył Derena! Aż go podniosło, riby szalona wichura, która i powalone dęby nieraz potrafi na chwilę bodaj ruszyć, aby im przypomnieć dawne w lesie, a teraz bezowocne szamotania...

Wiedział, że to tylko ostatni bój, że jedynie się zrywa, jak ptak-sokół, postrzelony, aby dowieść, iż żyje i gotów do lotu, lubo skrzydła wnet opadną...

— Psie i poganinie! mów, gdzie Olenka, czy żyje! — wrzasnął.

— Żyje, ale czas byś się o nią pytać zaprzestał... — odrzekł Deren.

— Więc zróbmy ostateczny porachunek!

Deren rozkazał zaprzestać boju, a też i Pawlenko swoim, aby tylko oni sami stoczyli, rozegrali ze sobą pojedynkę...

Deren miał przeciwnika już srodze zmęczonego, to też mógł liczyć na pokonanie, ale przecież Pawlenko, poczuwszy, że to ostatnia godzina, natarł nań tak gwałtownie, że ten mimo przytomności umysłu, nie zdzierzył, ale się cofnął i o mału, że nie otrzymał cięcia w sa-

mą głowę. Lecz Pawlenko chybił, zaś Deren, zmiarkował, iż trzeba tak go podejść, jak to ongi skutecznie uczynił. Okalał niby, aż nagle, gdy Pawlenko gotował się znów do powtórnego ataku, tym razem, godząc ku Derenowi, nie zdołał go dosięgnąć mieczem, bo Deren natychmiast zmienił kierunek i z całą furją uderzył w Pawlenkę, zwalając go na ziemię z konia. Co widząc ludzie Pawlenki rzucili się na Derena i jego ludzi, ale teraz tylko rozżarta walka, dokoła Pawlenki zakończyła się, lubo z olbrzymiemi stratami tureckimi, triumfem Derena, który nareszcie stracił rywalą...

Lecz o mało tej straty sam, własnym życiem nie przypłacił...

Boć oto Ibrahim, dowiedziawszy się o tej potyczce i pojedynku, zaś o tak wielkiej liczbie wytraconych żołnierzy, wpadł w szal i byłby Derena może i zabił, gdyby ten nie przypomniał mu imienia Sulejki, na której słowo, odrazu zmiękł i spytał: — Znasz ją, łotrze i marnotrawco żyć tylu wiernych Allaha i Padyszachowych ludzi, w walce o tę jedną niewierną, którą skradłeś jakiemuś giaurowi... Mów, co wiesz o Sulejce?

— Oto! uspokój się i nie zwij niewierną, Laskę, która ze mną żyje..., a wiedz, że kto wie, czy Sulejkę zastaniesz..., kiedy powrócisz do ojczyzny...

— Skąd wiesz o jakowychś tajemnicach, jakoże ci wstęp do Padyszacha wzbroniony, jako i każdemu? — sapał ze złości, że mu głos Derena tłumiał huk armat trembowelskich...

— Znasz karła, który wiernie służy Padyszachowi?... przerwał Deren.

— Mniej od ciebie, boś ty się też ukrywał, nie we faldach, ale w laskach Padyszacha, gdy tamten lizał stopy i palce, a ty szaty, aby nie poznali cię, żeś łotr i sprzeniewierca... — i utopił bystry wzrok w Derenie. Atoli huk działowy tak strasznie wstrząsnął namiotem, że Ibrahim mimowoli drgnął i jął ciszej mówić: — Mów o karle i Sulejce...

— Otóż karzeł, struty, gdy kończył życie, wyznał przed moim sługą, że albo Sulejki, albo twoje dni są po-

liczone... — odetchnął Deren, bo wiedział, że tem odsunie myśli Ibrahima od siebie, a skieruje je przeciwko Padyszachowi, zaś w wodzu tym wzbudzi jeno zemstę... Znał bowiem Ibrahima...

— Tak! tak... — odejdz i pilnuj się, abym cię nie wezwał do namiotu, bo cię żywego stąd nie wypuszczę więcej... — skinął, że ledwie na jego ukłon, a sam, pograżył się w myślach...

Kazał nazajutrz czynić podkopy i minami wysadzać, aby zbliżyć się, bo chciał coprędzej tę twierdzę zdobyć, aby potem, gdy wróci zwycięzcą, wykonać plan, jaki już zamierzał dawno...

Aliści podkopy, miasto szkodzić Trembowli, raczej Turkom przynosiły straty, bo przy każdym wysadzeniu, dwa lub trzy namioty runęły, lub zgoła się zapadły, a już ludzi ginęło po kilku, zupełnie niepotrzebnie... A zresztą mury jedne na stromej górze, zaś dolne, na silnych, głębokich fundamentach, nie drgnęły; załoga, ilekroć ją atakowano, dzielnie odpierała zaczepki, zaścielając trupem gęsto drogi, których już nie ważyli się przemierzać Turcy wtórym razem...

O zabiciu Pawlenki dowiedzieli się obrońcy Trembowli niebawem... Symeon oplakiwał go serdecznie, a nawet mszę zań odprawił zaraz następnego dnia, szukał Hleszczawy, lecz ten, albo zginął, albo nie zdołał się wcisnąć do zamku... jakoże niewidomy, kaleka, nie mógł otrzymać może i zezwolenia no pobyt...

— Trzebaby pomścić tego, lubo nie szlachcica, ale dzielnego junaka! — rzekł Chrzanowski i polecił w imię zabitego Pawlenki, stoczyć bój Zawilskiemu, boć nie wielu się tak, jak on paliło po Pawlence, do wycieczek poza mury... A też i rochodziło się, aby zaprzestali Turcy czynienia podkopów i wysadzania tuż pod murami ziemi, co zaczęło jednak już i grozić poważnie jednej części murów... Zawilski wraz z osiemnastoma zawalidrogami, którzy liczyli na całonocną pracę i zmęczenie Turków, że ich też nie oczekują przygotowani, wyruszył, wdzierając się pod sam namiot Ibrahima. I udało się im zapalić nagromadzone tam różne materjały, a też widocz-

nie i palne, bo odrazu buchnął płomień stoma językami ognistemi...

W świetle tej luny potracili Turcy głowy, a jedynie janczarowie, mając dzielnego age, Nupachima, uderzyli okrutnie na towarzyszy Zawilskiego. Lecz drogo ich kosztował ten rycerski animusz. Te zawałdrogi okazały się mistrzami w walce z janczarską piechotą. Nim, który legł, słał trupami, jakby czynił pomost, by po nim drugi w pomoc się przedostał do dalszej garstki...

Płonący namiot, w którym na szczęście nie było Ibrahima, bo radził w innym namiocie wraz z innymi nad zlikwidowaniem najszybszym walki, która go już znudziła, poniekąd stworzył zapórę dla janczarów...

Musieli uważać i osłaniać się, który namiot ratowali. To wyzyskał przewybornie Zawilski, aby móc coraz bardziej ich przyciskać, a też pomyśleć o ucieczce... I, gdyby nie w porę znowu ogień artylerji trembowelskiej, byłby Zawilski nie zamarzył z dziesięcioma pozostałymi o ucieczce, jaką ją mu utorowali sami janczarowie, aby w mniemaniu, że na nich ogień armatni skierowany, zawrócił nagle, a Zawilski, nie czekając na ich opamiętanie, czmychnął i dotarł szczęśliwie. Spotkał się z samym komendantem:

— Zuch z Waszmości, iluż też zginęło? — spytał Chrzanowski.

— Ośmiu, ale z tamtych, napewno ze stu, zaś namiot Ibrahima, jeżeli nie spłonął, to ze trzy im dobrze osmalił...

— To i taką szkodę wyrządziliście mu! — a potem dodał: — Oby więcej takich, jak Waszmość było, przetrwalibyśmy, ale tutaj już opadają niektórych siły i myślą... — nie dokończył Chrzanowski, bo jakowyś krzyk doszedł do uszu jego. Pożegnał Zawilskiego i dzielną garstkę okrytą za tak walne zwycięstwo triumfem glori wielkiej, udając się ku murom, skąd krzyk istotnie dochodził.

Dotarł granat do miejsca, gdzie mur słaby, już i mianami popsuty znacznie, runął, a że pod nim zginęło i w gruzach zwałisk dziesięciu szlachty, śmierć znalazło,

stąd trwoga i krzyk, przyczem nie obeszło się od wyzwania, a nawet głośnych wymówek, skierowanych w stronę komendanta, który właśnie nadszedł.

— Nie wytrzymamy! raczej poddać tę fortecę, boć nas wyrzną, jako to bydło... A tak wykupi rodzina, lub Rzeczpospolita... — gardłował gruby, opasły, wściekły, że już miodu coraz mniej było, Ożarski, szlachcic z futuro pod Kamieńcem, który, gdy padł, wyniósł się stamtąd, a teraz jeno straszyl załogę, przedstawiając ponury obraz upadku Kamieńca, jako niezbity dowód, że i Trembowla, podobny los wnet podzieli...

— Mości Ożarski — krzyknął komendant — niechżeż jego trwoga nęka jego serce, jako widzę tchórza, a nie nasze, gdy my wolimy tu zginąć, aniżeli widzieć ich chorągiew na murach Trembowli.

— Jakem Ożarski, tchórzem nie byłem, ależ i Waszmość nie jesteś Herkulesem, aby tego smoka Ibrahima pokonać mogłeś, a już nasz gród, nie grodem cyklopów, lecz garstki zmęczonej i zgoła strudzonej!...

— Ale garstki wiernej Rzeczypospolitej i honorowi, nadewszystko ufającej więcej Bogu, aniżeli słowom Waszmości.

— Tak! jako żywo! — ryknęła szlachta, lubo niektórzy potajemnie z Ożarskim przeciw Chrzanowskiemu trzymali...

— Sąd nad nim, zdrajcą! — krzyknął Zawilski, a Szczęsny Grodzicki, Grzymalski Jan i Michał, groźny ponurym wyglądem, jakby z tamtego świata, stary Grabowski, który tu przybył, aby zmazać winy młodości, olbrzymi wzrostem Setnarski, obok wielu innych zaczęli gromić Ożarskiego, domagając się sądu...

— Więc spraszam Waszmość Panów na naradę do tej sali, gdzie nieraz słyszeliście moje już słowa... zawyrokował, jakby Chrzanowski.

Ławą teraz sunęli wszyscy, z Ożarskim kilku załedwie, aby naradzić się i wydać wyrok na zdrajcę; lubo nie udowodniono Ożarskiemu jawnej zdrady dotychczas, posądzano go, iż ma w tem jakowys cel, aby się forteca poddała...

Ojciec Symeon wraz z Panią Anną leczył, bo też rannych wielu było. Ale i on się dowiedział o scenie z Ożarskim, zaś Pani Anna, nienawidząc Ożarskiego, który był gburowatym wobec kobiet, rzekła: — I ja, a już Ojciec Symeon, koniecznie, musimy tam słuchać nad czem radzić będą...

— Mąż Waść Pani ma tęą rękę i głowę, niczem Sieniawski, da sobie rady... nawet z trzydziestoma Ożarskimi.

Istotnie, Ożarski, zdołał trzydziestu przekonać, aby, gdy go odsądzą od czci i wiary, a już, gdyby nad nim sąd odbyć chcieli, wydać potajemnie zamek, a zemścić się nad Chrzanowskim, który chciał wolnego szlachcica, Ożarskiego, sądzić.

Jakoś działa umilkły. Widocznem było, że Ibrahim obmyślał, coś zgoła nowego... Zawsze bowiem takie milczenie poprzedzało atak furji wodza tureckiego.

Chrzanowski, gdy już wszyscy się zebrali, zabrał głos: — Mości Panowie! znalazł się tu obecny, urodzony Ożarski Piotr Tomasz, który chciałby, abyśmy się hańbą okryli, oddając fortecę i zamek Ibrahimowi, czego ja, jako żyw jestem, nie uczynię! Tak mi Boże dopomóż i ci, z Waszmościów, którzy przysięgali na ewangelję tej Rzeczypospolitej! — Milczenie zapanowało!

Wtem Ożarski, w gronie swoich, powstał, a zmierzwiwszy się wzrokiem z Chrzanowskim, lubo zrazu opuścił głowę, podniósł ją niebawem hardo i krzyczał raczej, aniżeli mówił: — Nie będę ja się spierał, czy w chwili, gdy nam powróż i nóż turecki grozi, należy mówić o ocaleniu lub o obronie, jaką zwę szalonych i raczej otwierających wrota ku większej zagładzie... Ale! Mości Panowie! my nic nie tracimy, twierdzę oddamy, a tak ją weźmie z powrotem nasz dzielny król, Jan III. Sobieski... Zaś, szcędząc życie wielu, tylko się łączniej Ojczyźnie przysłużymy!

— Zdrajco, coś może i Kamieniec w ten sposób oddał — wrzasnął Grzymalski, gdy wtem wpadła Pani Anna, żona komendanta, a przerażeni jej wyglądem oso-



B
IBL

<http://rcin.org.pl>

bliwym, zebrani, jakoś nie zdołali nawet mówić, czy też gromić nadal Ożarskiego.

— Mężu, wy szlachetni i zacni, a wolni tej Rzeczypospolitej Mości Panowie! nie godzi się słuchać takiej mowy, jaką tu oplugawił was pan Ożarski, ale trwać w służbie, jaką każdy przysięgał. Raczej tym sztyletem mego Pana i Męża przebiję, a drugim siebie, aniżelibym miała przeżyć tę hańbę, o jakiej śmie nam prawić szlachcie, czy też nie szlachcic... Ożarski!

— Słusznie! tego zdrajcę nauczyć trzeba! — darł się teraz Grabowski, ochryple.

— Przy Tobie komendancie i tobie Pani Zagna Białogłowo, nasze miejsce obrońców, a nie tchórzów...

I porwali się do szabel! Wtem Chrzanowski wstał groźnie:

— Do pochew panowie! ja sam tę sprawę rozstrzygnę. Pod sąd Waszmościa, Mości Ożarski, oddaję! Niech Imci Zawilski, Brat Symeon, oraz trzej z tamtej strony sądzą, a ja, jako komendant zadecyduję!

— Niech tak będzie! — Zgoda większości, a nie zdrajców... I możeby znów przyszło do szabel, gdy wtem wpadł Kozak, oznajmując, że jakowyś szlachcic chce się rozmówić z komendantem.

— Niech tutaj wejdzie! — rzekł, nieco wzburzony Chrzanowski.

Zdołało to nieco pohamować szlachtę, gdyż ciekawa z natury, teraz płonęła w dwójnasób także ciekawością. Wszedł olbrzym, ale tak pokrwawiony, tak poturbowany, że ledwie się włókł.

— Któż waszmość jesteś i jakim cudem się dostałeś w naszą fortecę? — zapytał komendant, gdy wszyscy milczeli i czekali odpowiedzi.

— Jestem Bandura! ongi zwali mię Bandrowskim. Wraz z trzema synami tutaj się dostać chciałem. Synowie zginęli, bo nas oddział tatarski, czy turecki dopadł, ja wyciąłem wszystkich, lubo po trupach własnych dzieci... Ale was, zaklinam! pomścijcie, a mnie starego... przyjmijcie... — Mówił urywanym głosem, boć niemocen i strasznie zbiedzony!

— Ja, z ojcem Symeonem, już nie opuszczę Waszmości, aż wyzdrowieje, a Waszmościów wzywam, by pomścili trzech urodzonych Bandrowskich, a dzisiaj którzy tam na polu w tej glorii, dali swe życie! — ozwała się Pani Chrzanowska.

— Pomścimy! pomścimy! wrzasnęła szlachta.

Ożarski czuł, że i trzydziestu mu nie pomoże. Oddał się sądowi.

— A kto chętny i gotów ze mną na nocną wycieczkę — ozwał się Zawilski, zmartwiony, że kilku z jego drużyny, przeszło na Ożarskiego stronę. Lecz miał i teraz dostateczną liczbę.

Zaś Panią Annę, zdjawszy tarczę, jaka wisiała na ścianie, olbrzymią, dwaj Grzymalscy, na niej wynieśli, a potem na tejże samej ułożywszy Bandrowskiego, lubo przez pół, też z sali tak chlubnie przenieśli, aby tam go ułożyć na łożu, zaś w troskliwą opiekę oddać, by rychło odzyskał siły...

Już i głód zaczynał nękać, brak wody, jakoże zepsowali Turcy rury, któremi ona płynęła do zamku, a studnia, nieco brudną posiadała... Choroby coraz to nowego obrońcę waliły z nóg, słowem zamek trwał, ale takim wysiłkiem, iż mógł istotnie dorównać tym wszystkim, o których dzieje mówiły głośno z przeszłości...

— Ileż to dni, a my tutaj się trzymamy? — spytał pan komendant starego Grabowskiego, osmalonego od wczorajszej, całodziennej strzelaniny!

— Już będzie dwa tygodnie, a czy zapasów na trzy dni starczy, wątpię!

— Wówczas wysadzimy twierdzę, a w gruzach z naszymi trupami ją chyba oddamy! — odrzekł wcale wesoło Chrzanowski.

— A co z Ożarskim? — zagadnął Grabowski.

— Nie widzę go, boć pono chory leży, otrzymawszy ranę od kamienia, gdy róg nam wieży zwałił pocisk turecki.

— Przyszło mu na koniec! wyleczy się, gdy też dozna w pełni, jako i my...

— Wal Waszmość, boć gotowy nabój — krzyknął Kozub, który ładował może najlepiej z całej załogi.

I Pan Grabowski wraz z nim i trzema kozakami, ustawivszy działo dał znak, by lont przyłożyć. Huk rozdarł powietrze w tej przed chwilą ciszy, a tak straszny, iż wszyscy, lubo oswojeni struchleli. Z góry wieżowej, krzyknął przez tubę kozak: „Nawprost oddziału, strzał celny dotarł!

— Brawo! dzielny z Waszmości kanonier i Pan Kącki by się nie powstydzil...

— Jako żywo! mój krewniak przez babkę Masłowską z domu! — odrzekł pan Grabowski, gdy z drugiej armaty należało znowu wypuścić nowy pocisk!

Ucieszył się Chrzanowski, że tak dzielnie trzyma się załoga, a cała sprawa z Ożarskim skończyła się bezkrwawym sądem. Skazali go na wartę wraz z Kozakami, którą to karę spełniał, boć inaczej nie mógł się oprzeć woli sądu i orzeczeniu bezstronnemu, a znów rozkazowi komendanta. Tam, gdy wartę pełnił, doznał tego wymiaru sprawiedliwości słuszniejszego, jak nazwał przygodę Ożarskiego Grabowski.

I tak dotrwali obrońcy do 4 października, a już wieczorem zamyślał komendant, że nazajutrz wysadzi zamek, aby chwalebnie pogrzebać się w gruzach, bohaterko. Ojciec Symeon, wraz z Panią Anną i co niewiast było w zamku, w narożnej kaplicy, trwał na modłach całą noc... Już szarzało, gdy oto niewiasty poszły na spacer, a Symeon udał się na pole, aby zobaczyć, co się dzieje. Straże czuwały. Świt rozdarł odrazu powietrze. Słońce, niby zbudzone zawsze, przezierało powoli jasne oko swoje, a ojciec Symeon, spoglądając w stronę obozu, stanął jak wryty, nie wierząc oczom: — Obóz zwinięty i tylko jakiś tam ślad, czy namiot ostatni pozostał! Ukląkł, zmówivszy krótkie dziękczynienie i leciał co sił starczyło z resztek niewyczerpania ku komendantowi. A ten też już dostrzegł, a tylko go zdziwił namiot pozostały...

— Ale, oto ktoś ku nam śpieszy? — ozwał się Ojciec Symeon...

— Jakby tatar lub turczyn... boć oczy mam radością lez pełne — odrzekł szczerze komendant.

Istotnie śpieszył się co tylko siły miał, sadząc na koniu przez rowy i doły, minami porobione, znany nam ongi tatarski jeniec.

— Toś ty! — ozwał się Chrzanowski, gdy go przed niego zaprowadziła warta.

— Od mego Pana, który czeka w tym oto namiocie!

— A jakoż, nie uciekł z Ibrahimem?

— Pozostał, a ten list powie, czego się od Waszmości dopraszał!

Wraz z Symeonem i już całym zbudzonym orszakiem radosnych w sercu obrońców, stanął na uboczu Chrzanowski i czytał na głos:

— Wielce pochwał godny, mężny Panie Chrzanowski, ja, dotychczas basza, a od dziś dnia wierny obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, chcę w Wasze ręce złożyć ślub, przyjąć Wiarę Polaków, aby też i drugi ślub w waszym kościele mię złączył z urodzoną Oleńką Bandurówną! Czekam, gdzie mi Waszmość każesz przybyć... Deren, sługa i od dzisiaj obywatel Rzeczypospolitej, a nowej wiary i obyczajów gorliwy zwolennik.

— Oto nagroda za nasze bohaterskie przetrwanie w tym terminie! — rzekł Chrzanowski, dając potem zlecenie, by je zaniósł ustnie Derenowi — jeniec, obecnie przezwany pachółkiem IMCI Derena.

— Mości Panowie! a teraz na modły dziękczynne, zaś tego śmiałka i zgoła nam oddanego Derena-baszę, przyjmijmy godnie i z należyłą czią!

— Niech żyje komendant! — Niech żyje!

I już wiwaty salw, ale z piersi gorącej, głosy szły stepem daleko, wolnym, gdzie znikł ślad Turka, a niebawem zwycięski król, Jan III Sobieski, szedł, niosąc odzież oswobodzonej Trembowli.

Deren wyjaśnił, jak to przejął list Ibrahima, a jak on weń wmówił, że będzie czyhał na sposobność, aby jeszcze dać znać, że wcale pomoc wraz z królem nie nadchodzi, aby nawrócił Ibrahim, a wziął Trembowłę i zni-

szczył jej ślad na ziemi polskiej... A teraz szedł służyć tej fortecy, a królowi i całemu narodowi poprzysiąc, że będzie im wierny, jako że się stał prawowitym małżonkiem Bandurówniej-Bandrowskiej.

Stary Bandura-Bandrowski zgodził się na ślub, a też i na wzięcie Derena pod swoją opiekę, co i Chrzanowski snadnie uczynił. Tak nazajutrz odbył się ślub, chrzest i huczne gody w Trembowelskiej fortecy, która pod koniec uczyta witała i samego króla, Bohatera-Bożego, jak go obcy zwali, a wielkiego pogromcę, zaś oswobodziciela Trembowli...

A stary dziad-lirnik uderzył przy królu i gościach weselnych w struny liry, by gędzić przy dźwiękach jej pieśni o tej chwale, wielkiej glorii Trembowelskiej, którą twierdza i Matce Boskiej zawdzięczała swe ocalenie:

Turki-bisurmany zamek obstupyły,
Trembowlu wże spałyły...
Naród mołył Bożu Maty:
— „Ne daj! ne daj! zahybaty.

A na nebi stało swytaty,
Pokazałaś Boża Maty.
— „Ta ne bojte sia bo chrystiane,
— „Ne dopuszczu bisurmaniw
— „Ne dam zahybaty!“

Kryknił perszyj raz tureckij basza:
— E pohynete — nedole wasza!
Striłyt —kuli szczo litajut,
Do nich nazad sia wertajut
Turkiw samych ubiwajut...

Kryknuw druhyj raz turecki basza:
— Ej pohynete, nedole wasza! —
Ta neset hławu w rukach stiatu
Pokłon Maty Bożij daty,
Ta szcze ne wiryt Turok prohlatyj. —

A gdy po chwili znów umilkły tony, śpiewał strofy końcowe:

— Ta chtiły bramę szturmowały,
Chtiły w niewolu zabrata,
Ta ne dopuściła Boża Maty! —

A w jassyr w hirkij doli,
W tiazenkij tureckij niewoli
Ludy płakały,
Boha blahały,
Na krzyżach leżały...
Taj skazała Boża Maty
I wam ne dam zahybaty! —

Pochyliło rycerswo głowy, a i król jął patrzeć
w dal, kędy płonęły w oczach jego stopy jakieś ofiarne,
daleko.

Lecz kiedy ocknęli się po nucie liry, rycerze i dzielni
obroncy, sam Król Jegomość wstał, a wśród ciszy rzekł
te słowa:

— Tobie komendancie dank oto mój i całej Rzeczy-
pospolitej, jako i cnej małżonce, a wszystkim urodzo-
nym szlachcicom — obrońcom, składam za trudy i pełne
poświęceń ofiary, zaś tego oto pana młodego, Derena,
nim Sejm nasz uchwali, już tutaj w poczet waszej bra-
ci szlacheckiej liczę i życzę, by ziemia, którą szczerze
ukochał, była mu lepszą matką, a wy bracia — bracią,
wśród której rad zamieszka i zaświadczy, że Polska
łączy wszystkich, a nie dzieli, jakoby wrogowie
chcieli! —

Po królewskim toaście rozdzielił Deren skarby mię-
dzy brać szlachtę, a wraz z Bandurą-Bandrowskim, na-
dewszystko z Oleńką, rad wszystkim, że w tej oto for-
tecy, wobec króla-bohatera a dzielnego pana Chrz-
nowskiego, on uwieńczył swoją miłość celem, jaki mu
los i nieba zgotowały, ku radości wielkiej, a w świetle
jasności — tej glorii Trembowelskiej.

Skończyłem w Krakowie 20. września 1925. roku.

MICHAŁ ASANKA-JAPOŁŁ.

Ważniejsze głosy prasy o książkach Michała Asanki-Japoła:

„UŚMIECH SOKRATESA“.

Są to miniaturowe dzieła sztuki, odznaczające się oryginalnością wyślowienia...

Dr. Krechowiecki.

Autor zebrał ośm nowelek... tematy różne, ale i różny sposób odtwarzania, dzięki stylowi i ciekawej nieraz akcji, jeśli i taka istnieje w noweli, czyta się je z niesłabnącem zainteresowaniem. Zbiór ten ma swoją wartość!

Dr. Kazimierz Lubecki.

Linja kompozycji niewyszukana, styl prosty, postacie żywe, a całość zwarta. Życzyć należy utalentowanemu autorowi, aby sięgnął coraz częściej po tematy, zwłaszcza z życia cyganerii artystycznej...

Antoni Waśkowski.

„MOWĄ WŁOSKICH POETÓW“.

Przekłady są dźwięczne i proste. Obejmują poetów od XVI w. (Chiabrera) poprzez XVII (Fiorentino) i XVIII (Ugo Foscolo itd.) aż do w. XIX i XX. Każdemu z 16 tłumaczo-nych autorów poświęca autor krótką charakterystykę.

Dr. Tadeusz Sinko („Illust. Kurj. Codz.“
nr. 40 z 9 II 1925).

Poeta z krak. parnasu: wdzięk i jakaś harmonijna nuta, może tu i ówdzie przerwana zbyt krótkim poematem, oto na pierwszy rzut, po pierwszym odczytaniu tych utworów Asanki-Japoła, który przebrnął sporo liryki włoskiej, boć od XVI do XX wiek, słowem, co może odrazu charakteryzować ten tomik!

K. Ś. W. (Gaz. Bydgoska Nr. 73 z d. 29 IV 1925.)

Mamy drobnutką antologję jakich dwudziestu liryków włoskich. Znajdujemy tu same tłumaczenia ładne, miłe, słodziutkie. Książeczkę czyta się z wielką korzyścią. Z podziwu dla Włoch... wypłynęła ta praca.

Dr. S. Windakiewicz.
(„Czas“ 8 IV 1925, nr. 82.)

List króla Italji do poety, tłumacza poetów włoskich.

Jego Królewskiej Mości bardzo się podobała Pańska praca.

Zawsze, gdy myślałem o włoskiej mowie, za wybitną jej cechę uważałem cudną melodyjność i śpiewność. W ten właśnie ton uderzył M. Asanka-Japołł...

Stanisław Kasztelowicz.
(„Polonja“, nr. 174 z 29 V 1925.)

Utwory liryczne poetów włoskich, świeżo przyswojone językowi naszemu przez M. Asankę-Japołła, w wytwornie wydany tomiku, poprawnym wierszem przyswojone, są piękną edycją i piękną książką tego, sympatycznego autora i licznych artykułów.

Ferdynand Hoesick. („Kurjer
Warszawski“ nr. 277 z 4 X 1925.)

Łącznikiem duchowym i ideowym między Italami i Polakami jest tomik: „Mową włoskich poetów“... Trzeba skorzystać z tych pięknych i gładkich przekładów.

Dr. Jan Magiera. („Dziennik
Narodowy“, nr. 29 z 13 II 1925.)

GRAJEK Z JASNOWIC:

Nowelki miło napisane, język wyłącznie literacki, nastrój sielankowy. Pachną poezją!

Musiół Paweł („Polska Zachodnia“.)

Z pogodą w duszy i z sercem szeroko otwartem zbliżył się do ludu śląskiego, aby spisać jego legendy i baśnie. Czytamy je z zajęciem i wdzięczni jesteśmy, że dał nam pocznąć piękno i fantazję ludu naszych kresów zachodnich.

Kazimierz Czachowski („Czas“.)

Przepiękne są motywy weselne. Przebogaty świat wsi śląskiej — piękne nowele, poświęcone górze Baraniej, zwłaszcza poetycka opowieść rusalek.

Autor oddaje duszę beskidzkiej natury, od źródeł Wisły, skąd „nasz ród“.

K. S. W. („Głos Narodu“.)



II-45.4M

alc. 337/88k

<http://rcin.org.pl>

